

Halldorson Phyllis

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Noel

GALARETKA TRUSKAWKOWA

Przepis Phyllis Halldorson

1 torebka galaretki truskawkowej (300 gramów)

2 szklanki wrzącej wody

800 gramów mrożonych truskawek

600 gramów pokrojonego ananasa z puszki

0,5 litra bitej śmietany

Galaretkę rozpuścić we wrzątku. Dodać truskawki oraz ananasy i dobrze wymieszać.

Wlać pół mieszanki do płaskiego i szerokiego naczynia, posmarować bitą śmietaną i wlać

drugą połowę. Przystudzić i wstawić do lodówki

Danie jest dziecinnie proste i doskonale na święta. Starcza dla wielu biesiadników i ma piękny czerwony, świąteczny kolor. Smacznego!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To była koszmarzna noc. Kapral Policji Greg Remington miał wrażenie, jakby cały świat przestępczy z okolic San Francisco skupił się na patrolowanym przez niego obszarze. Już od godziny powinien być w swoim domu w Brisbane na przedmieściach San Francisco, a musiał jeszcze napisać raport z nocnego patrolu. Otworzył drzwi policyjnego samochodu i spojrzał nako-legę, który siedział za kierownicą. Znajdowali się w parku Golden Gate. Wszędzie wokół leżały potłuczone butelki i kawałki ławek - pozostałości po bitwie gangów młodzieżowych. Choć na chodniku widniało wiele plam krwi, tym razem na szczęście nikt nie zginął. Greg nie mógł zrozumieć, skąd w tych dzieciakach bierze się tyle agresji.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Świątecznie przystrojone ulice tchnęły radością i spokojem. Nie dla wszystkich jednak był to czas radości.

- Nie wiem jak ty - odezwał się Greg do swojego towarzysza - ale ja na dzisiaj skończyłem. Zawiadam dyspozytora, że wracamy na komisariat.

Posterunkowy Dylan Griffith skinał głową i uruchomił silnik. Był to młody, dwudziestotrzyletni policjant świeżo po Akademii. Jeździł z Gregiem dopiero od dwóch dni i po

GWIAZDKA MIŁOŚCI

raz pierwszy w swej karierze miał okazję widzieć bitwę gangów. Był tym widokiem nieco wystraszony, lecz skutecznie to ukrywał.

Ruszyli. Greg rozparł się wygodnie w fotelu i spod lekko zmrużonych powiek obserwował drogę. Nagle w bocznym lusterku mignął jakiś dziwny kształt.

- Zatrzymaj się! - krzyknął. Dylan z całych sił nacisnął hamulec.

- Cofnij trochę. Coś dziwnego leży przy drodze - powiedział Greg już ciszej, po czym naszykował latarkę i odbezpieczył pistolet. Ostrożnie wysiadł z samochodu i trzymając przed sobą broń, skierował strumień światła na tajemniczy obiekt.

Na trawie leżała młoda kobieta. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej.

-, Hej, ty! - zawołał ostrym głosem. - Wstań i podejdź tutaj! Ręce w górze, wysoko! Młoda kobieta odwróciła głowę. Na czole miała wyraźnie widoczny ślad silnego stłuczenia. Podniosła rękę, aby zakryć oczy przed oślepiającym światłem, ale nie odezwała się ani słowem.

Greg dał znak Dylanowi, aby go ubezpieczał, schował pistolet do kabury i wolnym krokiem podszedł do dziewczyny. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Nie bój się - powiedział, wyciągając do niej dłoń. - Jestem policjantem. Nic ci nie grozi z mojej strony. Chcę tylko pomóc. Co się stało?

Uważnie spojrzała na jego brązowe włosy, brązowe oczy, ciemne wąsy i wreszcie na niebieski mundur. Najwidoczniej wzbudził w niej zaufanie, ponieważ przytknęła oczy, dotknęła dłonią czoła i powiedziała cichym głosem:

Noel 9

- Boli... Boli mnie głowa.

Nie wyglądała na prostytutkę czy osobę bezdomną. Była ubrana czysto i elegancko. Jej kręcone, ciemnobrazowe włosy opadały łagodnie na ramiona.

- Domyślam się, że boli - powiedział spokojnie. - Masz ogromnego guza. Czy ktoś cię uderzył? A może napadnięto cię i okradziono?

Oczy młodej kobiety wyrażały zupełną pustkę.

- Nie wiem... Nie pamiętam. Wiem tylko, że ocknęłam się tu, w trawie i bardzo bolała mnie głowa. - Rozejrzała się dokoła. - Próbowałam wstać... nie byłam w stanie.

Przezołgałam się kilka metrów, a potem... chyba straciłam przytomność. Gdzie jestem? Skąd się tutaj wzięłam?

- Jesteś w San Francisco, w parku Golden Gate.

Dziewczyna skinęła głową, lecz zdaje się, że słowa policjanta niewiele jej wyjaśniły. Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami.

- Zimno mi.

Greg zaklął cicho i pobiegł do samochodu. Jak mógł o tym nie pomyśleć? Był przecież środek grudnia, a ta dziewczyna od kilku godzin leżała na ziemi. Nic dziwnego, że zdążyła przemarznąć.

Wrócił po chwili z grubym kocem i owinał ją szczelnie.

- Znacznie lepiej - szepnęła i bez oporu pozwoliła, aby pomógł jej usiąść.

Greg otoczył ją ramionami. Przerażliwie drżała na całym ciele. Odwrócił się do Dylana. - Zadzwoń do dyspozytora. Niech przyśle tutaj karetkę. Znów pochylił się nad dziewczyną i przytulił ją, jak tylko potrafił najmocniej.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Karetka będzie najwcześniej za pół godziny! - zawołał Dylan, wychodząc z samochodu.

Greg zaklął cicho.

- Ona nie może tyle czekać. Zadzwoń jeszcze raz i powiedz, że sami przywieziemy ją do szpitala. - Odwrócił się do dziewczyny i odgarnął jej gęste, ciemne włosy. - Czy dasz radę wstać i dojść do samochodu? Tam jest sucho i ciepło.

- Spróbuję-szepnęła niepewnie.

Pomógł jej się podnieść i, wciąż obejmując, zaprowadził do policyjnego wozu. Kiedy puścił ją na chwilę, aby otworzyć drzwi, straciła równowagę i upadła wprost na tylne siedzenie. Musiała być w stanie bliskim hysterii, ponieważ zrazu wybuchnęła przeraźliwym śmiechem, a zaraz potem zaczęła łkać.

Greg usiadł obok i objął ją czule. Dylan włączył syrenę i na sygnale pomknęli przez miasto. Owszem, Greg doskonale wiedział, że młoda kobieta wtulająca się w niego na tylnym siedzeniu samochodu to jaskrawe naruszenie policyjnego regulaminu. Cóż z tego jednak, skoro przez wełniany koc tak wyraźnie wyczuwał jej pełne piersi, zaokrąglone biodła, przyjemnie zarysowane uda. Męskie hormony nie widziały różnicy między sytuacją prywatną a zawodową. W każdym wypadku zachowywały się tak samo. Kiedy dojechali do szpitala, polecił Dylanowi, aby wrócił na miejsce wypadku i przeszukał okolicę, a sam posadził dziewczynę na wózku i zawiózł na izbę przyjęć. - Co jej jest?-zapytała pielęgniarka siedząca za kontuarem.

- Rana głowy i szok pourazowy. Znalazłem ją w parku zupełnie przemarzniętą. Pielęgniarka skinęła powoli głową.

Noel

11

- Jej nazwisko? Wzruszył ramionami.

- Nie jest zbyt komunikatywna. Nie udało mi się z niej zbyt wiele wyciągnąć.

Kobieta wstała i położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Jak się nazywasz? - zapytała miłym, ciepłym głosem. Odpowiedzią był tylko zduszony płacz.

- W porządku. Nie czas teraz na pytania. Musicie chwilę poczekać na lekarza. - Wskazała ręką na pacjentów oczekujących w holu. - Święta nie są dla nas zbyt łaskawe.

Greg skinął ponuro głową. Jako policjant wiedział do-donale, że w czasie świąt liczba napadów, pobić i rozbojów w San Francisco gwałtownie wzrasta. Ciekawe dlaczego świąteczna atmosfera wyzwala w niektórych najgorsze instynkty?

Po dwudziestu minutach zamiast lekarza pojawiła się pielęgniarka. Greg znał ją doskonale. Kiedyś umówili się nawet kilka razy na randkę.

- Hola, hola, kogo ja widzę! - zawołała radośnie. - Mój ulubiony gliniarz z San Francisco. Co masz dla mnie tym razem, Greg?

- Cześć, Helenę - powiedział z uśmiechem i wskazał na dziewczynę siedzącą na wózku. - Wygląda na to, że została napadnięta. Jest zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek mogła powiedzieć.

Helenę pochyliła się i obejrzała ranę na czole kobiety.

- Cholerne łobuzy - mruknęła. - Mogliby sobie znaleźć bardziej wymagających przeciwników. - Wyprostowała się i zaczęła pchać przed siebie wózek. - Jedziemy na

GWIAZDKA MIŁOŚCI

salę zabiegową. Zbadam, czy nie ma innych obrażeń. Jeśli chcesz, Greg, możesz poczekać na zewnątrz.

Po niecałym kwadransie Helenę opuściła gabinet zabiegowy. Nie znalazła na ciele dziewczyny innych obrażeń, ale nie udało jej się także nic z niej wyciągnąć.

- Przyślę do niej lekarza, jak tylko będzie to możliwe - powiedziała z uśmiechem, po czym ruszyła w stronę izby przyjęć, aby zająć się kolejnym pacjentem.

Kiedy Greg wszedł do pustego gabinetu, dziewczyna leżała na stole zabiegowym. Miała na sobie szpitalną pidżamę. Wyraźnie ucieszyła się z jego obecności.

- To miło, że zostałeś. Uśmiechnął się szeroko.

- Obawiam się, że nieprędko dam ci spokój. Czy mogłabyś odpowiedzieć na kilka pytań?

- Spróbuję - szepnęła - ale wszystko miesza mi się w głowie.

Greg wyciągnął z kieszeni notes i pióro, po czym usiadł na krześle.

- Przede wszystkim muszę wiedzieć, jak się nazywasz. Zmrużyła lekko oczy.

- Nazywam się... - Zawahała się i zaczęła jeszcze raz. - Nazywam się... - Przerwała, jej twarz wykrzywił potworny grymas. - Nie wiem. Nie wiem, jak się nazywam - powtórzyła płacząco. - To potworne! Nie pamiętam własnego imienia!

Greg położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie denerwuj się. W końcu sobie przypomnisz. Urazy głowy mogą powodować chwilową amnezję. Czy pamiętasz może swój adres?'

Zacisnęła usta i potrząsnęła przecząco głową.

Noel

13

- Nie. Nie mam zielonego pojęcia, skąd się tu wzięłam. - Jej przerażone oczy napęłniły się łzami. - Nie pamiętam, co się stało. Co ja zrobię, jeśli nic nie pamiętam? Niewiele myśląc, Greg ujął ją czule za rękę.

- Nie przejmuj się. To minie. To tylko chwilowa utrata pamięci. - Uśmiechnął się łagodnie. - W szpitalu muszą cię umieścić w kartotece, więc wymyślimy ci jakieś nowe imię. Co ty na to?

Poruszyła się niespokojnie.

- A jak ty się nazywasz?

Odetchnął z ulgą. Nareszcie się czymś zainteresowała. To dobrze, że choć na chwilę przestała myśleć o własnym nieszczęściu.

- Ja nazywam się Gregor Remington, ale przyjaciele mówią na mnie Greg.

- Ładne imię - uśmiechnęła się - ale niestety nie ma kobiecego odpowiednika.

- Rzeczywiście, nie ma. Znajdziemy ci inne. Co byś powiedziała na... Noel? Tak, Noel.

Po raz drugi uśmiechnęła się. Wyglądała jeszcze młodziej niż przedtem.

- Noel - powtórzyła cicho. - Podoba mi się. A nazwisko?

- Musimy wymyślić coś niezwykłego. - Zastanowił się. - Może... Santa? Noel Santa.

Co ty na to? Miałem kolegę, który nazywał się Santa.

Delikatnie uścisnęła jego dłoń.

- Brzmi bardzo pięknie, Greg - szepnęła.

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, przyprawił go o przyjemny dreszcz.

- Cieszę się, że ci się podoba, Noel.

ROZDZIAŁ DRUGI

Noel leżała na szpitalnym łóżku i zastanawiała się, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy. Zrobiono jej rentgen czaszki, opatrzono ranę na czole i podano środki przeciwbólowe. Stan fizyczny nie obchodził jej jednak zbytnio. Najgorsze było to, że nadal niczego nie mogła sobie przypomnieć. Kim była? Skąd przyszła? Dokąd zmierzała? Czy na świecie były jakieś osoby, którym na niej zależało?

Miała wrażenie, jakby urodziła się po raz drugi. Nie miała ani przeszłości, ani przyszłości. Nie potrafiła powiedzieć, co robiła wczoraj i co będzie robić jutro. Była pewna tylko dwóch rzeczy: że leżała półprzytomna w parku i że przywiózł ją tutaj nieznajomy policjant.

Greg Remington. Był bardzo miły, współczujący. Ale nawet on w końcu ją opuścił. A może musiał tak zrobić? Tak, chyba musiał. Pielęgniarka zabrała ją do innej sali, a on nie mógł pójść z nią. Szkoda.

Potworny strach ścisnął jej żołądek. Co z nią będzie? Greg wymyślił dla niej imię, więc wszyscy nazywali ją teraz Noel, ale przecież naprawdę nazywała się inaczej. Czuła się jak towar opatrzony etykietką. Choć może wszystko jest tylko kwestią nazwy...

Czy miała rodziców? Przyjaciół? Może nawet męża

Noel

15

i dzieci? Boże, jak można funkcjonować, nie mając pojęcia o własnej przeszłości? Jej rozmyślania przerwał znajomy głos. Do pokoju wszedł Greg w towarzystwie lekarza.

- Dobre wieści! - zawołał już na progu. - Nie ma żadnego złamania ani wstrząsu mózgu.

Spojrzała z niedowierzaniem na lekarza, który skinął spokojnie głową.

- Dopóki nie minie ból, będziemy pani podawać leki. Ale to nic poważnego. Wiem, że chwilowa utrata pamięci jest bardzo przykra, wkrótce jednak przypomni sobie pani wszystko. Za kilka dni proszę się zgłosić do swojego lekarza na kontrolę.

- Ale... ale ja nie wiem, kto nim jest! - krzyknęła dramatycznie.

Lekarz nie zwrócił jednak na to uwagi i skierował się w stronę drzwi.

- Doktorze, proszę poczekać! - zawołał Greg. - Nie macie zamiaru zatrzymać jej w szpitalu na kilka dni?

Mężczyzna w białym fartuchu pokręcił przecząco głową.

- Nie ma takiej potrzeby. To nic poważnego. Policjant wyglądał na wzburzonego.

- Ale ona ma amnezję! Dokąd pójdzie? Lekarz rozłożył ręce.

- To już pański problem. Szpital jest przepelniony. Z tego, co wiem, policja ma własne szpitale przy aresztach śledczych. Może tam ją ulokujecie?

Noel oblał zimny pot.

- Nie! - Poderwała się gwałtownie i usiadła na łóżku.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Proszę, nie wsadzajcie mnie do więzienia... pomiędzy kryminalistów!

Greg złapał ją za rękę.

- Spokojnie, Noel. Nikt nie ma zamiaru wsadzać cię do więzienia.

Spojrzał pytająco na lekarza, ale ten wzruszył tylko ramionami.

- Przykro mi, nic nie mogę zrobić. Sam pan wie, w jakim stanie jest służba zdrowia. Nie mogę pozwolić, aby zdrowa osoba, która utrzymuje, że niczego nie pamięta, zajmowała miejsce poważnie chorym.

Noel ogarnęła wściekłość i chciała zaprotestować, ale Greg ubiegł ją.

- Jak to: „utrzymuje”, że niczego nie pamięta? - powtórzył ostrym głosem. - Czy sugeruje pan, że ona kłamie?

Lekarz westchnął ponuro.

- Wiele osób tak robi. Szczególnie gdy jest zimno i nie mają się gdzie podziać.

Przytulny, dobrze ogrzewany szpital jest miłym miejscem na spędzenie kilku nocy. -

Machnął ręką. - Ale są przecież schroniska dla bezdomnych.

Gregiem aż zatrzęsło.

- One także są przepełnione!

Przytulił mocno Noel i oboje patrzyli, jak lekarz bez słowa zamyka za sobą drzwi.

Wtuliła się mocniej w jego silne ramiona.

- Przysięgam, że nie kłamię. Naprawdę niczego nie pamiętam. Co ja zrobię? Dokąd pójdę? Nie mam nawet pieniędzy.

Pogłaskał ją po twarzy.

Noel

17

- Nie przejmuj się. Coś załatwimy. Dylan wrócił już z wizji lokalnej. Nie znalazł nic oprócz małej plamy krwi na betonowej ławce. Zapewne tam właśnie upadłaś. Czy pamiętasz, dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie potrafię.

- Czy miałaś ze sobą torebkę?

- Musiałam mieć - odpowiedziała spokojnie. - Zawsze noszę torebkę.

W oczach Grega zapłonęły dziwne ogniki.

- Skąd o tym wiesz?

Drgnęła. Właśnie, skąd to wiedziała?

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale jestem pewna, że zawsze nosiłam torebkę.

Większość kobiet je nosi.

- To prawda - przyznał po krótkim namyśle. - Dylan nie znalazł jednak niczego. A kurtka? Może miałaś kurtkę? Było przecież bardzo zimno.

Gorączkowo starała się coś sobie przypomnieć, ale widziała tylko białą ścianę.

- Nawet jeśli miałam kurtkę, to i tak tego nie pamiętam. Westchnął ciężko.

- No dobrze. Teraz nie ma co o tym rozmawiać. Ubierz się, pojedziemy na komisariat. Obdzwonimy kilka miejsc i może znajdziemy ci jakiś kąt do spania.

Zadrzała. Wizja spędzenia nocy w policyjnym szpitalu nie była zbyt przyjemna. Co będzie, jeśli w końcu Greg sobie pójdzie, a jakiś inny policjant potraktuje ją jak zwykłego więźnia? Odwróciła wzrok, aby nie dojrzał przerażenia w jej oczach. Nie było jednak rady. Musiała z nim pojechać.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

W samochodzie ponownie usiadł obok niej. Z rozkoszą wtuliła się w silne ramiona mężczyzny i przymknęła oczy. Był tak blisko. Czuła się przy nim spokojna i bezpieczna. Nagle wyczuła, że o jej biodro ociera się coś twardego.

Pistolet! Nie pomyślała o tym wcześniej. Wszyscy policjanci noszą przecież broń. Chciała zapytać go o to, ale bała się, że jeśli zacznie mówić, on odsunie się od niej. W komisariacie okazało się, że wszystkie szpitale przy aresztach również nie mają miejsc. Gdy Noel się o tym dowiedziała, zaczęła płakać. Greg przytulił ją mocno i zaprowadził do swojego pokoju.

- Usiądź tutaj i zaczekaj na mnie. Nie można tracić nadziei.

- Ale nie zostawisz mnie, prawda? - zapytała.

- Nie zostawię cię, kochanie. Obiecuję.

Kiedy wyszedł, wyciągnęła chusteczkę i otarła łzy. Kochanie. W jego ustach brzmiało to tak cudownie. Noel spostrzegła, że czuje się niezwykle przywiązana do tego policjanta. Dziwne, znają się wszakże tak krótko. Choć z drugiej strony, Greg jest przecież jedynym człowiekiem, jakiego zna. Tak jak obiecał, wrócił po chwili.

Wyglądał na zdenerwowanego, ale ton jego głosu był spokojny.

- Dylan napisze za mnie raport, możemy już jechać.

- Jechać? - zapytała nieśmiało. - Dokąd?

- Zabiorę cię do mojej matki.

- Do twojej matki?

- Tak. Polubisz ją. Jest pielęgniarką. Pracuje w klinice w Brisbane.

Noel zamyśliła się.

Noel

19

- To znaczy, że znalazłeś mi miejsce w szpitalu? - zapytała po chwili.

- Nie, Noel - uśmiechnął się - zabieram cię do domu. Mamy dom w Brisbane. Matka i siostra zajmują jedną jego część, a ja mieszkam w drugiej.

Noel nie zapytała już o nic więcej. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Greg wziął ją za rękę i zaprowadził na parking.

Była tak zmęczona, że w samochodzie od razu usnęła. Obudziło ją delikatne szarpnięcie za ramię.

- Obudź się, Noel. Jesteśmy w domu.

Podniosła powieki i tuż nad sobą zobaczyła oczy Grega. Były takie piękne i pełne współczucia. Miała wrażenie, że za chwile w nich utonie.

- Chodź, śpiochu.

- Mam nadzieję, że nie sprawiam wam kłopotu...

- Żadnego. Moja siostra, Bevin, jest stewardesą i rzadko bywa w domu. Mama zaś czuje się bardzo samotna i będzie zachwycona twoim towarzystwem.

To brzmiało jak poezja.

- Jesteś cudownym człowiekiem, Greg - wyszeptała drżącym głosem.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy; po chwili mężczyzna westchnął i otworzył drzwi.

Nocne powietrze otrzeźwiło ją. Na ganku zobaczyła postać kobiety. To zapewne matka Grega, pomyślała Noel. Choć musiała mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat, wyglądała znacznie młodziej. Miała przyjemną twarz, a jej ciemne włosy nie nosiły jeszcze śladów siwizny.

- Czekałam na was. Wchodźcie do środka.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Greg uśmiechnął się ciepło.

- Noel, to moja mama, Abigail Remington.

Starsza kobieta, zamiast podać Noel rękę, uściskała ją rfileno i pocałowała w policzek.

- Mów mi Abby. Możesz u nas zostać tak długo, jak tylko zechcesz. Wyglądasz na zmęczoną, zaraz przyniosę ci koszulę nocną mojej córki, a ty tymczasem pożegnaj się zGregiem.

Usiedli na kanapie w salonie. Noel zdjęła z ramion koc, którym była otulona, i spojrzała na swego wybawcę.

- Jak ja ci się odwdzięczę? Gdyby nie ty...

- To część mojej pracy - przerwał jej w pół zdania. Wyglądał na zakłopotanego. - My, policjanci, musimy pomagać ludziom.

- Chcesz powiedzieć, że każdy policjant użyłby mi swojego domu? - zapytała z przekornym uśmiechem.

- Nie - odparł łagodnie i momentalnie zmienił temat. - Mama idzie rano do pracy.

Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zapukaj w ścianę. Usłyszę cię. Jeśli nie zapukasz, to o dwunastej przyjdę i zabiorę cię na lunch. - Uśmiechnął się i delikatnie dotknął bandaża na jej czole. - Dobrej nocy, Noel. Nie martw się. Wkrótce odzyskasz pamięć. Do tego czasu będziesz pod naszą opieką.

ROZDZIAŁ TRZECI

Noel obudził rano świergot ptaków za oknem. Nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i przeciągnęła na łóżku. Dotknęła dłonią czoła i wtedy wyczuła kawałek materiału. Bandaż!

Otworzyła szeroko oczy. Co to za miejsce? Usiadła raptownie na łóżku i wszystko zawirowało jej przed oczami. Złapała się za głowę.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, co się stało i gdzie się znajduje. Znalazł ją w parku policjant o imieniu Greg i przywiózł do domu swojej matki. Była teraz w pokoju jego siostry, a on zapewne spał Wciąż w drugiej części domu po nocnym dyżurze. Nic więcej nie mogła sobie przypomnieć. Cóż, lekarz powiedział, że odzyska pamięć za kilka dni. Oby miał rację.

Rozejrzała się uważnie po pokoju. Urządzony był skromnie, ale z gustem. Przez grube zasłony sączyło się ciepłe światło poranka. Na ścianach wisiały akwarele i oryginalne plakaty. Meble wykonane były z jasnego drewna, a w rogu stał nowoczesny 19-calowy telewizor.

Spojrzała na szafkę nocną. Budzik wskazywał jedenastą dziesięć. Przypomniała sobie, że Greg wspominał o lunchu

GWIAZDKA MIŁOŚCI

w południe, wstała więc z łóżka i wyszła na korytarz w po-' szukiwaniu łazienki. Wzięła prysznic, umyła i uczesała włosy, lecz, niestety,, nigdzie nie mogła znaleźć swoich ubrań. Zapewne Abby zabrałaje na dół do pralni.

Była właśnie w połowie schodów, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Oby to był Greg, pomyślała. Nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z kimkolwiek innym.

Cichutko podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer. Odetchnęła z ulgą. To był on. Nie miał już na sobie munduru, tylko džinsy i sportową kurtkę. Wyglądał inaczej niż wieczorem - był równie przystojny, ale może mniej... surowy.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy otworzyła drzwi.

- Dzień dobry! - zawołał radośnie. - Mam nadzieję, że cię nie zbudziłem.

- Nie, nie zbudziłeś mnie. Właśnie wyszłam spod prysznicza i szukałam swoich ubrań. Roześmiał się.

- Jak znam mamę, to pewnie zaniosiła je do pralni. Ale przecież siostra ma mnóstwo ubrań. Wybierz, co ci się podoba. Obie jesteście podobnej budowy. Powinny pasować. - Spoważniał nagle. - A w ogóle to jak się dziś czujesz, Noel? Czy może przypomniałaś sobie coś?

Pokręciła głową.

- Niestety, nie. Nie znam nawet dzisiejszej daty. Ktoś wczoraj powiedział, że zbliżają się święta.

- Zgadza się. Jest poniedziałek, szesnasty grudnia. Przygotowania do świąt idą pełną parą. - Posłał jej badawcze spojrzenie. - Wyglądasz dziś znacznie lepiej. Dobrze spałaś?

Noel

23

- Spałam jak zabita i rzeczywiście czuję się o wiele lepiej. Wciąż boli mnie głowa, ale mam nadzieję, że po tabletkach przestanie.

Odetchnął z ulgą.

- To dobrze. Miejmy nadzieję, że wkrótce odzyskasz pamięć. Idź teraz na górę i włóż coś na siebie. Nie pójdziesz przecież do restauracji w koszuli nocnej. Mama chciałaby cię bliżej poznać, więc umówiłem nas z nią na lunch o wpół do pierwszej. Noel usiłowała wytłumaczyć mu, że wkładanie ubrań innej kobiety bez jej zgody nie jest właściwe, lecz Greg był nieubłagany. Poszła więc na górę i włożyła ciemnoniebieskie spodnie, dobrany do nich kolorem sweter oraz swoje własne buty, które znalazła pod łóżkiem.

Kiedy zeszła z powrotem do salonu, w oczach Grega dostrzegła nie skrywany podziw. Lepiej, aby jak najszybciej odzyskała pamięć. Greg był zbyt atrakcyjny, zbyt pociągający. Każdy kolejny dzień spędzony w jego towarzystwie będzie poważnym zagrożeniem nawet dla tak rozsądnej kobiety jak ona.

Nie wiedziała, czy może z czystym sumieniem upajać się jego towarzystwem. Może gdzieś istniał inny mężczyzna, z którym była związana? Którego kochała? Należało jak najszybciej to sprawdzić!

Podeszli do samochodu.

- Czy masz żonę, Greg? - zapytała, kiedy ruszyli.

- Już nie - odparł, patrząc spokojnie na drogę. - Byłem żonaty, kiedy służyłem w wojsku, ale nic z tego nie wyszło. Zbyt długa rozłąka nie służy małżeństwu.

- Och, bardzo mi przykro - powiedziała zduszonym

GWIAZDKA MIŁOŚCI

głosem, ale nie była to prawda. Dziwne, odczuwała nawet coś w rodzaju ulgi.

- Rzeczywiście, nie było to przyjemne. Na szczęście jednak nie mieliśmy dzieci, więc zraniliśmy tylko siebie. Moja żona wyszła ponownie za męża, zdaje się, że mieszka gdzieś w Sacramento.

Sacramento. Nazwa wydała się jej znajoma. Jej brzmienie sprawiło, że przed oczami Noel pojawił się niewyraźny, zatarty obraz - długie, wysadzone wiązami ulice, budynek władz stanowych... Musiała chyba kiedyś być w Sacramento.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Grega.

- A ty? Jak sądzisz, czy masz męża? Ta myśl nie była zbyt przyjemna.

- Ja? Nie wiem. Nie sędzę. Nie mam żadnego pierścionka.

- To o niczym nie świadczy. Jeśli skradziono ci kurtkę i torebkę, to podobny los mógł spotkać biżuterię.

Po kilku minutach dojechali do niewielkiej restauracyjki, znanej z dobrego jedzenia i sprawnej obsługi.

- Mama ma tylko godzinną przerwę na lunch - wyjaśnił Greg - a to miejsce znajduje się blisko kliniki.

Usiedli przy stoliku. Abigail dołączyła do nich po kilku minutach. Miała na sobie fartuch pielęgniarski, na który narzuciła jedynie żakiet.

- Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że nie musieliście długo czekać. -

Przesłała Noel ciepły uśmiech. - Jak się dziś czujesz? Przypomniałaś sobie coś?

- Niestety, nie - odparła cicho dziewczyna. ^ To potwornie frustrujące. Czuję się zupełnie... pusta.

Noel

25

Abby wzięła ją za rękę.

- Nie przejmuj się. Amnezja zdarza się częściej niż myślisz. Załatwiłam ci wizytę u neurologa z mojej kliniki. Zbada cię dokładnie i niewykluczone, że pomoże ci odzyskać pamięć.

Noel zadrżała.

- Dziękuję bardzo za troskę, Abby, ale ja nie mogę pójść do lekarza. Nie mam przecież ani grosza.

Greg chciał coś powiedzieć, lecz matka posłała mu ostre spojrzenie.

- W obecnej sytuacji możesz otrzymać zapomogę z ośrodka pomocy społecznej. Greg pomoże załatwić ci wszystkie formalności. - Spojrzała na syna. - Czy w ciągu ostatniej doby zgłosił ktoś Zaginięcie bliskiej osoby?

Pokręcił głową.

- Do tej pory nie było żadnego zgłoszenia. Po południu zabiorę Noel na komisariat. Może uda nam się jakoś ustalić jej tożsamość.

Godzinę później Abby musiała wracać do pracy, więc Greg i Noel zostali sami.

- Twoja mama jest cudowna - powiedziała dziewczyna, kiedy jedli deser. - Niewielu jest ludzi, którzy w środku nocy wpuściliby nieznajomego do swojego domu.

Greg skinął głową. - Rzeczywiście jest cudowna, ale rzadko wpuszcza do domu obcych. Zrobiła to na moją prośbę. Byłaś w takim stanie... A poza tym mieszkam tuż obok, więc nic złego nie mogło się zdarzyć.

Noel miała wrażenie, jakby ziemia się pod nią rozstąpiła. Liczyła, że ci ludzie darzą ją bezinteresowną sympatią

GWIAZDKA MIŁOŚCI

i zaufaniem, a tymczasem Greg powiedział coś takiego. Potraktował ją jak bezbroną ofiarę, którą zaopiekował się tylko dlatego, że mógł roztoczyć nad nią całkowitą kontrolę.

Najbardziej niepokoiło ją jednak to, że sama nie wiedziała, czy jest osobą uczuciową i godną zaufania. Kto wie, co robiła w przeszłości?

Przybrała maskę obojętności, aby nie zauważył jej rozczarowania.

- Oczywiście... rozumiem. Jestem bardzo Wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście, ale nie chciałabym dłużej nadużywać waszej gościnności. Jedźmy już na komisariat. Może zrobicie mi zdjęcie i roześlecie do innych posterunków? Warto także dowiedzieć się, czy są jakieś wolne miejsca w domach opieki społecznej.

Greg patrzył w inną stronę, na drzwi, w których pojawił się właśnie znany mu młodociany handlarz narkotyków. Mimo to aż drgnął po tym, co usłyszał.

- Co takiego? - zapytał ostrym tonem. - O czym ty mówisz? Dom opieki społecznej? Czy nie podoba ci się u nas?

Nie potrafiła spojrzeć mu teraz w oczy.

- Bardzo mi się podoba, ale nie chcę być intruzem. Nie wiesz nawet, czy możesz mi zaufać. Nie znasz mnie.

Zmarszczył brwi, jakby nie bardzo rozumiał jej słowa.

- Jak to: czy mogę ci zaufać? Oczywiście, że ci ufam. Chyba nie sądzisz, że przywiózłbym cię do domu mojej matki, gdybym miał wobec ciebie jakieś podejrzenia. Otworzyła szerzej oczy.

- Ale powiedziałaś...

Noel

27

- Co powiedziałem, kochanie?

Zawahała się przez moment i zwilżyła usta językiem, nieświadomie przyprawiając Grega go o dreszcz. Nigdy dotąd nie widział kobiety, która byłaby jednocześnie tak niewinna i pociągająca. Duże brązowe oczy w kształcie migdałów, ciemne kręcone włosy, mocno zarysowane brwi, delikatny nos i łagodnie wystające kości policzkowe - wszystko to tworzyło fascynujący obraz, niezwykle interesujący, subtelny, kuszący.

- Powiedziałeś... - ciągnęła nieśmiało - powiedziałeś, że nie zabrałbyś mnie do matki, gdybyś nie mieszkał obok. To chyba znaczy, że nie do końca mi ufasz...

Spuściła wzrok, więc ujął ją delikatnie za brodę i podniósł twarz do góry, zmuszając, aby na niego spojrzała.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił spokojnie. - Mieszkam obok i dzięki temu mogę się tobą opiekować osobiście. To właśnie chciałem powiedzieć

Na twarzy Noel zagościł uśmiech.

- Przepraszam, niesprawiedliwie cię oceniłam. Zresztą sama nie wiem, czy można mi ufać. Najważniejsze, że ty i twoja mama jesteście dla mnie cudowni. Czy mógłbyś mi coś powiedzieć o ojcu?

Zasepił się. Widać było, że myślami jest gdzieś daleko.

- Mój ojciec był pilotem wojskowym. Oblatywał nowe samoloty. Rozbił się trzy lata temu podczas jednego z próbnych lotów.

Noel przeklinała się w duchu, że tak beztriosko zadała to pytanie.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Na pewno bardzo go wam brakuje.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Skinął głową i chwycił ją za rękę.

- Od śmierci taty staramy się trzymać razem. Właśnie dlatego mieszkam jąbok. Nie chciałem, aby mama została sama, lecz nie miałem też zamiaru rezygnować z własnej prywatności.

Odwzajemniła uścisk. Oboje czuli się ze sobą tak dobrze. Czy mieli jednak do tego prawo? Noel mogła mieć przecież drugie życie. Życie z innym mężczyzną. Kto wie, może nawet dzieci?!

Cofnął rękę i gwałtownie wstał od stolika.

- Chodźmy już. Nie mogę się spóźnić do pracy, a jeszcze muszę się przebrać.

Skinęła głową.

- Może są już na mój temat jakieś informacje.

- Może - powtórzył z udawanym optymizmem.

Nie chciał, aby wiedziała, jak bardzo pragnął, żeby już na zawsze pozostała Noel. Jego Noel.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Greg przebierał się w swój mundur, Noel zwiedziła parter jego domu. Bardzo różnił się od domu Abby, chociaż oba były bliźniaczo podobne. Wydawał się bardziej surowy, chłodny, po prostu... męski.

Oglądała właśnie kuchnię, gdy usłyszała jego kroki. Nie miał na sobie kurtki, więc dokładnie mogła obejrzeć cały arsenał, jaki nosił przytroczony do pasa. A nie było tego mało - rewolwer w ciężkiej kaburze, mocna latarka, kajdanki, krótkofalówka, pałka. Aż drgnęła na ten widok.

- Czy wszyscy policjanci noszą ze sobą tyle żelastwa? Skinał głową.

- Owszem, skarbie. Roześmiała się.

- Powiedz mi, jak to robicie, że nie spadają wam spodnie?

Także się uśmiechnął.

- Spodnie doskonale się trzymają. Trudniej natomiast je zdjąć. Cały ten ekwipunek to jakby pas cnoty, który zmusza policjanta do zachowania celibatu na służbie. Nim zdążysz ściągnąć to żelastwo, mija ci ochota na wszystko.

Noel poczuła, że się rumieni.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A ja myślałam, że mężczyźni zawsze mają ochotę. Spodziewała się, że Greg zareaguje śmiechem, tymczasem on podszedł bliżej i ujął jej twarz w dłonie.

- Z pewnością nie narzekają na brak ochoty, gdy znajdują się w towarzystwie tak pięknych kobiet - powiedział stłumionym głosem, po czym pochylił się i złożył delikatny pocałunek na jej ustach.

Miała wrażenie, jakby tysiące malutkich igiełek wbijało się jej w kark. Pieszczota, jaką obdarzył ją Greg, była tak przyjemna i przejmująca, że Noel nie mogła pozostać bierna. Zarzuciła mu ręce na szyję i bez wahania odwzajemniła pocałunek. Oboje wiedzieli, że to szaleństwo, ale żadne z nich nie potrafiło oprzeć się pokusie.

Wreszcie, po dłuższej chwili, Greg podniósł głowę.

- Czy rozumiesz, co miałem na myśli? - szepnął jej wprost do ucha.

- Mhmm...

Z rozkoszą wtulała się w jego silne ramiona. Było jej tak dobrze. Nagle pod koszulą wyczuła coś twardego. Położyła mu rękę na piersi.

- Co tutaj masz?

- To kamizelka kuloodporna. Mamy obowiązek ją nosić. - Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej. - To kolejna przeszkoda na drodze do szczęścia - zażartował i pocałował Noel delikatnie. - Uważaj na mnie, kiedy jestem nieuzbrojony. Gdybym nie miał na sobie tych zabawek, wątpię, czy wyszłabyścało z opresji.

Przefz całą drogę na komisariat trzymali się za ręce. Noel widziała, że Gregowi sprawia to ogromną przyjemność. Jej także nie było to obojętne. Przez chwilę zastanawiała się,

Noel

31

jak by to było, gdyby nagle znaleźli się w łóżu i zaczęli kochać. Skarciła się za to w duchu. Jej ciało przebiegł dreszcz.

San Francisco wyglądało kolorowo i odświeżenie. Ludzie tłoczyli się, w sklepach, robiąc świąteczne sprawunki, kupując prezenty. Odczuwało się prawdziwą bożonarodzeniową gorączkę.

Kiedy dotarli na komisariat, okazało się, że do tej pory nie nadeszło żadne zawiadomienie o zaginięciu osoby przypominającej Noel.

- Są dwie możliwości - powiedział szczupły ciemnowłosy oficer. - Albo nie masz rodziny i z tego powodu nikt nie zgłosił twojego zniknięcia, albo nie pochodzisz z San Francisco. W mieście mamy teraz mnóstwo turystów. Może ty też przyjechałaś tu tylko na kilka dni? W takiej sytuacji nie bardzo możemy ci pomóc. - Rozłożył bezradnie ręce, a Noel pokiwała ze smutkiem głową. - Czy jesteś pełnoletnia? Wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Chyba tak. Nie czuję się jak nastolatka.

Nieznajomy oficer zmierzył ją przenikliwym wzrokiem.

- Trudno dokładnie ocenić wiek kobiety po jej wyglądzie, ale można powiedzieć, że masz raczej nie mniej niż szesnaście i nie więcej niż dwadzieścia sześć lat. Najprawdopodobniej gdzieś pośrodku. Dwadzieścia, może dwadzieścia jeden... Umiesz prowadzić samochód?

Zastanowiła się. W myślach widziała, jak uruchamia silnik, wrzuca biegi, naciska na gaz.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak! Jestem pewna, że tak!

- Możemy to łatwo sprawdzić. Najpierw jednak weźmiemy twoje odciski palców, zrobimy ci zdjęcie i pójdziesz na rozmowę z policyjnym psychologiem. - Oficer uśmiechnął się. - Masz szczęście. W ostatniej chwili zre-

zygnował jeden z pacjentów doktora Simsa i dzięki temu ' może cię dzisiaj przyjąć. Sesja u psychologa była niezwykle frustrująca. Noel czuła się jak Dorota z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Oto obudziła się pewnego dnia i uświadomiła sobie, że znajduje się w zupełnie innym świecie. To było przerażające. Doktor Sims rozłożył przed nią mapę Kalifornii.

- Uważnie przestudiuj tę mapę. Czytaj nazwy kolejnych miast i zastanów się, czy któraś z nich nie wydaje ci się znajoma. Nie spiesz się. Zostawię cię tutaj na piętnaście minut. Masz dużo czasu.

Noel wyteżała pamięć, ale bez rezultatu.

- Kilka nazw wydaje mi się znajomych - powiedziała psychologowi, kiedy wrócił. - Sacramento... Carmel, miasteczko artystów... w Los Angeles robi się filmy, a w Anaheim jest Disneyland. To chyba niewiele, prawda?

- Rzeczywiście niewiele - mruknął lekarz i usiadł za biurkiem. - To podstawowe wiadomości. Zna je każde dziecko. - Sięgnął po dużą białą kopertę. - Pokażę ci teraz kilka obrazków. Chcę, abyś powiedziała, z czym ci się kojarzą.

Momentalnie rozpoznała, że psycholog zamierza przeprowadzić klasyczny test Rorschacha. Roześmiała się i powiedziała, że wszystkie obrazki wyglądają jak duże plamy atramentu.

Noel

33

Potem przyszła kolej na test skojarzeniowy. Musiał jej pójść chyba nieźle, ponieważ doktor był po nim pełen optymizmu.

- Staraj się odprężyć, nie zmuszaj swojej pamięci do nadmiernego wysiłku. Ona sama wróci. Im bardziej będziesz się starać, tym większe może cię spotkać rozczarowanie. Łatwo powiedzieć, pomyślała ze smutkiem Noel. Była na garnuszku Grega i Abby. Nie chciała, aby trwało to w nieskończoność.

Sesja z psychologiem zakończyła się późnym popołudniem. Greg z niecierpliwością oczekiwał na jej wyniki.

- No i co? Przypomniałaś sobie coś? Pokręciła głową.

- Zupełnie nic. Wątpię, aby doktor Sims dowiedział się czegoś z moich testów.

Uśmiechnął się.

- Głowa do góry. Poczujesz się lepiej, kiedy coś zjemy. Zabieram cię na obiad, a potem pojedziemy do domu.

Ruszył w stronę drzwi.

- Och, Greg nie mogę ciągle jeść na twój rachunek... Zatrzymał się.

- Właśnie... Zupełnie bym zapomniał. - Wyciągnął z kieszeni kurtki kopertę i podał jej. - To dla ciebie.

Otworzyła kopertę i zobaczyła czek na sto dolarów wystawiony przez Fundację na Rzecz Ofiar Przemocy.

- O Boże! - zawołała radośnie. - Skąd to masz?

- Jeden z dokumentów, który podpisywałaś, był prośbą o wsparcie finansowe.

Fundacja zadziałała wyjątkowo szybko i pozytywnie rozpatrzyła twoją prośbę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Uśmiech nagle zniknął z jej twarzy.

- To prawie jak jałmużna... Otoczył ją ramieniem.

- To nie jest jałmużna^ale jeśli bardzo źle się z tym czujesz, potraktuj te pieniądze jako pożyczkę. Zwrócisz, kiedy będziesz miała.

Najbliższe dni nie przyniosły niczego nowego. Noel wciąż nie mogła sobie przypomnieć, kim jest, a policja nie otrzymała żadnego zawiadomienia o zaginięciu młodej kobiety. Sytuacja stawała się dramatyczna. Noel z dnia na dzień popadała w coraz większą frustrację.

W sposób pośredni starała się czegoś o sobie dowiedzieć. Okazało się, że dość niezłe orientuje się w angielskiej i amerykańskiej poezji, zna fragmenty sztuk Szekspira, Ibsena, Ayckbourn. Nieobce były jej także nazwy uczelni, takie jak Columbia czy Turkey.

Na komisariacie była tak częstym gościem, że policjanci traktowali ją już jak starą znajomą. Powoli także zaczęto kojarzyć ją z Gregiem w parę. Cóż z tego, skoro od tamtego pocałunku nic między nimi nie zaszło. Nie było już czułych dotyków, długich, namiętnych spojrzeń.

A tymczasem ona potrzebowała jego ciepła, bliskości. Dlaczego Greg stał się nagle taki obcy? Czyżby przestraszył się tamtego pocałunku? Ona także była pełna obaw, ale mimo to miała ochotę na więcej. Dużo więcej.

Codziennie na komisariacie słyszała te same smutne słowa: „Nic nowego”. W końcu jeden z przełożonych Gre-ga oznajmił, że policja nie może dłużej angażować swoich sił i środków w sprawę, która nie daje żadnych efektów.

Noel

35

- Nie miała pani konfliktu z prawem i nikt pani nie poszukuje - usłyszała. - Nie mamy też pewności, czy jest pani ofiarą przestępstwa. W tej sytuacji nic więcej nie możemy zrobić. Przykro mi, ale takie są zasady. - Oficer wzruszył ramionami. - Proszę nas informować o miejscu swojego pobytu. Zawiadomimy panią, gdyby pojawiły się jakieś nowe wieści.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Greg poprosił Noel, aby wyszła z pokoju i przez dziesięć minut rozmawiał ze swoim przełożonym. Kiedy skończyli, bez słowa wziął ją pod rękę i zaprowadził do samochodu.

Była zbyt przerażona i zbyt zdenerwowana, aby cokolwiek powiedzieć. Policja umywała w jej sprawie ręce! Nie była kryminalistką, więc nie czuli się za nią odpowiedzialni. Co w takim razie teraz zrobi? Dokąd pójdzie? Nie mogła przecież bez końca mieszkać u Remingtonów.

Greg otworzył drzwi od niebieskiego nissana i wsiadła do środka. Podczas jazdy nie rozmawiali ze sobą. Łagodnie falujący w dole Pacyfik wydawał się bardziej ponury niż zwykle. Słońce nagle gdzieś zniknęło i pojawiła się nawet lekka mgła. Noel miała wrażenie, że ta mgła otula ją szczelnie i nie pozwala spojrzeć ani w przeszłość, ani w przyszłość.

Czy ten koszmar kiedykolwiek się skończy? Była już zmęczona zadawaniem sobie ciągle tych samych pytań i własną niemocą. Jedyne, czego pragnęła, to aby mgła rozstała się i znowu wyjrzało słońce.

W pewnym momencie Greg skręcił w zarośniętą chwastami drogę. Po kilku minutach jazdy znaleźli się na jakiejś pustej plaży. Fale oceanu delikatnie uderzały o brzeg.

Noel

37

Greg wyłączył silnik.

- Nie przejmuj się tym, co usłyszałaś na komisariacie.

- Nie przejmuj się! - zawołała. - Łatwo ci mówić. Dowiedziałam się, że nie mogę już liczyć na żadną pomoc, a ty mi mówisz, żebym się nie przejmowała.

Greg spojrzał jej prosto w oczy.

- To nie tak, Noel... Za bardzo się gorączkujesz.

- Za bardzo!? - Tym razem był to już prawie krzyk. - Uwierz mi, przebywanie w zupełnie obcym mieście, bez znajomości własnego imienia i nazwiska u niejednego spowodowałoby gorączkę. Nie jest przyjemnie być pozostawionym samemu sobie.

Chwytał ją gwałtownie za rękę i przyciągnął do siebie.

- Nie jesteś pozostawiona sama sobie. Jestem ja. Moja matka. Czy my nic dla ciebie nie znaczymy?

Z niedowierzaniem patrzył, jak gniew znika z jej twarzy, ustępując miejsca wyrazowi spokoju i błogości. Uniosła nieśmiało dłoń i pogłaskała go po twarzy.

- Oczywiście, że wiele dla mnie znaczą - szepnęła niskim, zmysłowym głosem. -

Uratowaliście mi życie. Nigdy nie będę w stanie się wam odwdzięczyć.

Wdzięczność! Greg aż się skrzywił. Czy tylko to do niego czuła?

- Nie musisz. Robię to, co zrobiłby na moim miejscu każdy porządny policjant. Myślę jednak, że możemy bardziej... aktywnie podejść do twojej sprawy. Konkretnie, co byś powiedziała, gdybyśmy zainteresowali nią prasę i telewizję? To bardzo ciekawa historia. Na dodatek przed świętami. Dla nich to znakomity materiał. Zrobi się dużo szumu, będą o tobie mówić. To musi przynieść jakiś efekt.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Noel była zdumiona.

- Naprawdę? Sądzisz, że media się mną zainteresują? Wzruszył ramionami. A dlaczego nie? Sarna pomyśl... Młoda dziewczyna, zupełnie zagubiona w nieznanym mieście. Nie wie, kim jest, skąd pochodzi, nie wie nawet, jak się nazywa. Może gdzieś czeka rodzina, która chciałaby widzieć ją na święta? To bardzo wzruszające. Ludzie to kupią.

- No dobrze. Ale nawet jeśli moje zdjęcie ukaże się w prasie, przeprowadzą ze mną wywiad w telewizji, to co z tego? Czy sądzisz, że ktoś mnie rozpozna? A jeśli nie? Co wtedy zrobię? Nie mogę przecież bez końca być na twoim utrzymaniu.

Jej cudowne brązowe oczy napęłniły się łzami. Greg nie mógł dłużej pozostać obojętny i mocno przytulił ją do siebie. Powtarzał sobie setki razy, że dopóki Noel nie odzyska pamięci, nie wolno mu przekroczyć pewnych granic, ale teraz wszystko było nieważne. Niczego bardziej nie pragnął, niż całować ją, tulić, dotykać.

Bez wahania odsunął swój fotel, posadził ją sobie na kolanach i nakrył usta Noel namiętym pocałunkiem.

Przez chwilę myślał, że odpowiedzią będzie wahanie lub opór, ale nic takiego nie nastąpiło. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła się równie namiętą pieśczołą. Boże, jaka ona była słodka! Jej usta smakowały niczym prawdziwy nektar. Mógłby tak siedzieć i bez końca upajać się nimi.

Nagle pewna myśl przemknęła mu przez głowę. Bez wątpienia miłość fizyczna nie była dla niej czymś nowym.

Noel

39

Odetchnął z ulgą. Przynajmniej nikt go nie oskarży o zgwałcenie nieświadomej niczego dziewczycy...

Kątem oka dostrzegł, że na zewnątrz mgła gęstnieje z minuty na minutę. Ośmieliło go to i delikatnym ruchem wsunął dłoń pod jej bluzkę. Kiedy dotknął cudownie krągłej i delikatnej piersi, z wrażenia wstrzymał oddech, a serce zaczęło tłuc w jego piersi jak oszalałe.

A niech to! Nie powinien był tego robić! Wiedział, że z każdą sekundą możliwość odwrotu jest coraz mniejsza. Ale też żadna kobieta nigdy tak bardzo go nie ekscytowała. A przecież Noel nie zrobiła nic niezwykłego. Tylko go pocałowała. Jedynie cienka koronka stanika oddzielała go od jej nagiego ciała. Zapragnął zerwać z niej ubranie i ułożyć ją na tylnym siedzeniu samochodu.

Delikatnie zsunął miseczkę stanika z jej piersi i nakrył dłonią rozkosznie twarzącej sutek. Noel jęknęła cichutko i przestała go całować. Jej na wpół przymknięte oczy zaszyły mgłą pożądania. Wiedział, że teraz mógłby zrobić z nią wszystko. Nie chciał jednak posunąć się za daleko. Nie byli przecież parą nastolatków obściskujących się w samochodzie na odludnej plaży. Noel zasługiwała na coś bardziej subtelnego, pięknego. Powinni poznawać swoje ciała powoli, bez pośpiechu i strachu, że może im przeszkodzić ktoś obcy.

Resztkami sił podniósł głowę i wyciągnął dłoń spod jej bluzki. Był nieszczęśliwy i rozdarty. Smutne i pytające spojrzenie Noel jeszcze bardziej popsuło mu nastrój.

- Greg?

Pogłaskał ją czule po głowie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Przepraszam cię, kochanie. Jestem tylko człowiekiem, ale to nie jest ani czas, ani miejsce na miłość. Zaslugujesz na to, abym cię kochał, a nie posiadał.

Jego słowa otrzeźwiły ją natychmiast. Jak mogła się tak zachować? Niczym nie różniła się od napalonych nastolatek, które mogły uprawiać seks z każdym i w dowolnie wybranym miejscu.

Dotknęła dłońmi swoich rozpalonych policzków.

- Skąd możesz wiedzieć, na co zasługuję? Sama tego nie wiem. Jedno jest pewne, nie zachowywałam się jak nieśmiała dziewczyna. - Chciał ją powstrzymać, ale mówiła dalej. - Greg, doskonale wiedziałam, do czego zmierzasz i chciałam tego tak samo jak ty. - Jej głos zadrżał. - Wątpię w to, abym była subtelną i niewinną kobietą. Kto wie, czy nie jestem...

- Nie! - Greg krzyknął tak głośno, że aż się skuliła. - Nie wolno ci tak myśleć. Jako policjant poznałem setki takich kobiet i wierz mi, że w niczym ich nie przypominasz. Jego zapewnienie wprawilo ją w jeszcze gorszy nastrój. Skoro wiedział, co miała zamiar powiedzieć, to sam musiał o tym wcześniej pomyśleć. Chyba nie bez powodu. Dobry Boże, czyżby amnezja była sposobem na ucieczkę od życia, które wydawało jej się nie do zniesienia?

- Jak możesz być tego taki pewien? - nie dawała za wygraną. - Nie wszystkie chodzą po ulicach i ubierają się wyzywająco. Może jestem luksusową call-girl?

Złapał ją za ramię i mocno potrząsnął.

- Przestań, Noel! - Jego ton był ostry i nieznoszący sprzeciwu. - Jako policjant mam w tych sprawach szósty

Noel

41

zmysł. Rozpoznam prostytutkę, nawet jeśli ubierze najdroższe ciuchy i będzie udawała prawdziwą damę.

Przymknęła oczy. Sama chyba nie chciała w to wierzyć i wolała, aby ktoś ją do tego przekonał. Ale kto wie, może robiła to tylko z wygodnictwa?

- Przez kilka lat służby nauczyłem się prawidłowo oceniać ludzi. I wierz mi, będzie lepiej, jeśli przygotujesz się na to, że gdzieś może czekać na ciebie mąż lub narzeczony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Noel miała bardzo niespokojną noc. Niewiele spała. Myślała o swoim życiu, o tym, co będzie, kiedy wreszcie odzyska pamięć. Czuła się potwornie rozdarta.

Jeśli odzyska pamięć, to wróci do domu.

Ale przecież jest w domu. Dom Abby jest jej domem, a ją samą pokochała jak rodzoną matkę.

Jeśli odzyska pamięć, to będzie знаła swoje imię.

Ale przecież ma imię - Noel - które bardzo jej się podoba. Wygląda i zachowuje się jak Noel Santa.

Kiedy odzyska pamięć, to nareszcie dowie się, jakie życie wiodła do tej pory.

I właśnie to było najgorsze. Być może amnezja rzeczywiście była ucieczką od przeszłości. Może stało się coś takiego, o czym chciała zapomnieć, wymazać z pamięci?

A może, jak przypuszcza Greg, Noel miała kochającego męża lub narzeczonego, który czeka teraz na jej powrót? Nie, nie chciała nawet o tym myśleć. Nie chciała bezimiennego męża, o którego istnieniu niczego nie wiedziała. Chciała Grega!

To było całkowicie irracjonalne pragnienie. Znała go raptem od czterech dni. Ale czy siebie znała dłużej? A jed-

Noel

43

nak nie byłoby rozsądnie związać się z mężczyzną, którego znała tylko trochę ponad sto godzin...

Racjonalne argumenty nie były w stanie przekonać Noel. Chciała myśleć jedynie o przyszłości, o cudownej, wspólnej przyszłości z Gregiem. Nie rozpaczałaby, gdyby nigdy nie odkryto, jak się naprawdę nazywa. Skoro dzięki temu mogłaby z nim zostać...

Dlatego też obawiała się nieco upublicznienia całej tej historii, do czego mężczyzna tak ją zachęcał. Bała się, że ktoś może ją... rozpoznać, odnaleźć. Wołała na zawsze pozostać Noel Santa.

Rano obudziła się niewyspana, ale zadowolona. Podjęła ważną decyzję - pójdzie do pracy. Lekarz powiedział, że pamięć powinna jej wrócić w kilka godzin, ale stało się inaczej. Kto wie, może rekonwalescencja zajmie miesiące, a nawet lata. Do tego czasu nie może przecież beczynn timer czekać.

Zjadła niewielkie śniadanie, włożyła spódnice i żakiet i szybkim krokiem wyszła z domu.

Kilka przecznie dalej znajdował się bar z hamburgerami. W oknie wciąż wisiała kartka z napisem „Zatrudnimy pracowników”. Noel odetchnęła z ulgą. Codziennie przejeżdżała tędy z Gregiem i w końcu zdecydowała, że zapyta, czy może dla niej znalazłoby się jakieś zajęcie. Nie miała pojęcia, czy ma odpowiednie kwalifikacje, ale postanowiła, że spróbuje. W środku spytała o kierownika. Młoda dziewczyna za kasą zawołała w stronę zaplecza:

- Joe, ktoś do ciebie!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Mężczyzna, który się pojawił, był młody. Przyjrzał się Noel z zainteresowaniem.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie.
- Chciałabym podjąć pracę - odpowiedziała bez wahania. Wyglądał na zdumionego.
- Mówisz poważnie? K, Uświadomiła sobie, że ubierając się na rozmowę, popełniła błąd. Spódnica i żakiet niezbyt pasowały do osoby sprzedającej hamburgery.
- Tak, mówię całkiem poważnie.
- Masz doświadczenie w tej pracy?

Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu nie знаła odpowiedzi.

- Cóż, ja... - Praca przy hamburgerach nie może być przecież przesadnie skomplikowana, pomyślała i dokończyła szybko: - Mam pewne doświadczenie. Poza tym szybko się uczę. Na pewno sobie poradzę.

Kierownik baru przechylił głowę, jakby nie przekonały go jej słowa, ale po chwili machnął ręką.

- W porządku. Nie miałem innych zgłoszeń, więc przyjmę cię na okres próbny. Będziesz pracowała od szesnastej do północy. Na razie za płacę minimalną.

Odpowiada ci to?

Pomyślała o nocnych powrotach do domu. Nie była to zbyt przyjemna perspektywa.

Czy miała jednak inny wybór?

- Odpowiada. Wzruszył ramionami.
- Zaraz przyniosę formularz umowy. Masz przy sobie kartę ubezpieczenia społecznego?

Noel

45

A niech to! Nie pomyślała o tym zupełnie. Nie mogła podjąć legalnie żadnej pracy bez karty ubezpieczeniowej. Nawet jeśli ją kiedyś miała, to i tak nie pamiętała numeru. Wzięła głębszy oddech.

- Miałam kartę, ale zgubiłam ją kilka dni temu. Niestety nie pamiętam numeru. - Kierownik zmarszczył pytająco brwi, więc pospieszyła z wyjaśnieniem: - Złożyłam już podanie o nową, ale trochę to potrwa, zanim ją otrzymam. Czy do tego czasu... - Chcesz pracować nielegalnie? - zapytał. - Skąd, u licha, mam wiedzieć, czy to nie prowokacja?

Noel aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Jaka prowokacja? Zachnął się.

- Dobra, dobra. Skończmy to przedstawienie. Jesteś agentką policji podatkowej? O Boże. Nie spodziewała się takich komplikacji. Nie pozostawało jej nic innego, jak wyjaśnić swoje położenie.

- Nie, nie jestem żadną agentką. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiem, kim jestem. Znalaziono mnie pięć dni temu w parku Golden Gate... - Opowiedziała mu całą historię, prosząc na koniec, aby zechciał jej pomóc: - Naprawdę zależy mi na tej pracy. Może pan wszystko sprawdzić na policji, jeśli mi pan nie wierzy.

Mężczyzna zamyślił się.

- To wszystko jest tak nieprawdopodobne, że gotów jestem nawet ci uwierzyć. Zmienimy jednak troszkę zasady naszej współpracy. Będę ci płacił w gotówce prosto do rączki, a ty nie będziesz musiała się przejmować ubezpieczeniem. Zrozumiałaś?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Rozumiała aż nazbyt dobrze, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Zdawała sobie sprawę, że godząc się na taki układ, będzie w gorszej sytuacji niż inni pracownicy, ale musiała przystać na zaproponowane jej warunki. Po rozmowie z nowym szefem poszła na spacer, aby poznać lepiej okolice. Słońce świeciło przyjemnie i aura przypominała raczej wczesną wiosnę niż grudzień. Kiedy wróciła do domu, było już prawie południe. Na progu przywitał ją mocno podenerwowany głos Grega.

- Gdzie ty się, u diabła, podziewałaś?

Skuliła się. Nie przypuszczała, że policjant będzie na nią czekał w salonie u Abby. Poza tym nigdy dotąd nie mówił do niej tak nieprzyjemnym tonem.

- Byłam... wyszłam sobie z domu.

- To jasne - zauważył z ironią. - A czy mogłabyś powiedzieć coś więcej? Dlaczego wyszłaś, nie zawiadamiając mnie o tym?

Mówił do niej tak, jakby miała pięć lat.

- Nie wiedziałam, że potrzebuję twojej zgody, aby pójść sobie na spacer - odparła wyraźnie poirytowana.

- Nie próbuj odwracać kota ogonem. To jasne, że nie potrzebujesz mojej zgody, żeby wyjść na spacer. Weź jednak pod uwagę to, że mogłem się denerwować. Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Bałem się, że coś ci się stało. Myślałem już, że zgubiłaś drogę, albo że potracił cię samochód... Przecież...

Boże, Greg po prostu martwił się o nią! Dlaczego nie domyśliła się tego od razu? Bez wahania przebiegła przez salon i rzuciła mu się na szyję. Przytulił ją mocno i zaczął głaskać po głowie.

Noel

47

- Noel, nie rób tego więcej - powiedział nieco uspokojony. - Wiem, że kiedyś, gdy odzyskasz już pamięć, i tak cię stracę. Teraz chcę jednak przynajmniej wiedzieć, czy jesteś cała i zdrowa. Przytuliła go mocniej i pocałowała delikatnie.

- Nie stracisz mnie nigdy. Daję ci na to słowo. Greg poruszył się niespokojnie.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie masz przecież pojęcia, co zostawiłaś za sobą. Ale bez względu na to, jaka była twoja przeszłość i jakie jest twoje życie, obiecaj, proszę, że kiedy tylko coś sobie przypomnisz, to od razu mi o tym powiesz.

Jego głos był pełen desperacji. Noel widziała, że zależy mu na jej szczęściu, a jednocześnie nie chce jej stracić. Był uczciwy i właśnie dlatego podziwiała go jeszcze bardziej.

- Obiecuję - powiedziała i przytuliła do siebie jego głowę. - Od razu powiem ci o wszystkim i z całą pewnością nie opuszczę cię bez pożegnania. - Ściszyła głos.

-Opuszczę cię tylko wtedy, jeśli będę do tego zmuszona.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Zdajesz sobie sprawę, że na końcu tej cudownej drogi może nas czekać ogromne rozczarowanie i rozpacz? Skinęła głową.

- Biorę to pod uwagę, ale nie wierzę, abym była kiedyś związana z innym mężczyzną. W każdym razie na pewno nie szczęśliwie. Gdybym naprawdę kogoś kochała, to nie zapomniałabym go zupełnie. Jestem pewna, że ciebie nie da się zapomnieć, nawet przy całkowitej amnezji... Ich usta złączyły się w namiętnym pocałunku. Nie trwał on jednak długo.

- Właściwie to przyszedłem zaprosić cię na lunch - po-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wiedział Greg z trudem łapiąc oddech. - Przygotowałem omlet, a w piekarni kupiłem pyszne bułeczki z jagodami. Co ty na to?

- Slinka cieknie mi na samą myśl. Jak mogłabym odmówić?

W godzinę później siedzieli przy stole w kuchni i dopijali drugą filiżankę kawy.

- Najbliższe dwa wieczory mam wolne. Może wybralibyśmy się do miasta? Znam kilka miłych restauracyjek.

- To cudowna propozycja, Greg, ale nie mogę. Wieczorem pracuję.

Zamarł w bezruchu.

- Słucham?

- No... Powiedziała, że nie mogę z tobą pójść, ponieważ pracuję wieczorem.

- Jak to: pracujesz?

- No, tak. Zupełnie zapomniałam ci o tym powiedzieć. Zatrudniłam się w barze z hamburgerami, kilka ulic stąd. Zauważyłam w oknie ogłoszenie, poszłam tam i - udało się. Zaczynam od dzisiaj.

- Od dzisiaj?

- Pracuję otl szesnastej do północy.

Początkowe zdumienie, jakie malowało się na twarzy Grega, ustąpiło teraz miejsca złości. - Jak wyobrażasz sobie powrót do domu w środku nocy, jeśli nie masz samochodu? Ja także to martwiło, ale nie chciała, aby o tym wiedział.

- Przejdę się - wyjaśniła z udawaną pewnością siebie. - W końcu to tylko kilka ulic stąd.

Pokręcił głową.

Noel

49

- Nie chcę o tym nawet słyszeć. Zadzwoń do tego baru i powiedz, że się rozmyśliłaś. Te słowa podziały na nią jak płachta na byka. Być może była kiedyś czyjąś żoną lub kochanką, ale z pewnością nie pozwalała się traktować jak przedmiot! Chciała powiedzieć Gregowi dosadnie, co myśli o jego żądaniu, ale w porę ugryzła się w język.

- Greg - zaczęła spokojnie - rozumiem twoją troskę, ale nie musisz się aż tak martwić. Być może zrobiłam błąd, że nie skonsultowałam tej decyzji z tobą, ale bałam się, że ktoś inny zajmie to stanowisko.

- Niepotrzebnie się martwiłaś - powiedział z przekąsem. - To ogłoszenie wisi już od kilku tygodni. Płace w tej budzie są wyjątkowo marne; a warunki pracy jeszcze gorsze. Mało kto chce być traktowany jak śmieć... - Zawahał się. - Zaraz, zaraz... Jak ciebie zatrudniono? Nie masz przecież karty ubezpieczeniowej!

Zmieszła się.

- Powiedziałam Joe'emu, że starą zgubiłam i złożyłam podanie o nową. - Nie mogła zdradzić, że właściciel zatrudnił ją na czarno. To do reszty wyprowadziłoby Grega z równowagi.

- Bardzo sprytnie. Wkrótce rzeczywiście otrzymasz kartę ubezpieczeniową. Ale to i tak bez znaczenia. Włóż coś na siebie. Pojedziemy do tego baru i powiemy, że rezygnujesz.

Noel miała wrażenie, jakby wylano jej na głowę kubel zimnej wody. Greg uratował jej życie, ale przecież to nie daje mu prawa, by decydował o tym, co ona będzie robić.

- Greg, moja decyzja jest ostateczna. Potrzebuję pieniądze-

50

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dzy. Nie mogę dłużej żerować na tobie i Abby. - Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu na to. - Żałuję, że nie wyjdziemy nigdzie razem, ale czasem i tak bywa. - Podeszła do drzwi i już miała je otworzyć, gdy nagle odwróciła się. - i jeszcze jedno - jej głos był mocny, donośny - nigdy więcej nie próbuj mi rozkazywać. Z dumnym uśmiechem na ustach wyszła z domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Noel skończyła swoją zmianę, Greg przyjechał po nią samochodem. Nie wiedziała, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy martwić. Była zadowolona, że mężczyzna tak się o nią troszczy, ale widziała, że jednocześnie wciąż nie opuszcza go złość, i to psuło jej humor najbardziej. Cóż, może oczekiwał, że będzie się zachowywała jak posłuszny piesek? Nic bardziej mylnego!

Ta sama sytuacja powtórzyła się następnego wieczoru.

W niedzielę rano obudził ją telefon. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że Abby musiała już wyjść na poranną mszę, więc sama podniosła słuchawkę.

- Słucham - powiedziała sennie. Odpowiedział jej przyjemny kobiecy głos.

- Czy mogłabym rozmawiać z Noel Santa?

Jak dotąd nikt do niej nie dzwonił. Nikt nie pytał się o Noel Santa. Kim więc mogła być ta kobieta? Skąd znała jej numer telefonu?

- Przy telefonie - odpowiedziała podekscytowana. Kobieta przedstawiła się jako Victoria Langford. Była

reporterką jednej z największych stacji telewizyjnych w San Francisco.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Dowiedzieliśmy się o pani z raportów policyjnych -wyjaśniła. - Czy odzyskała już pani pamięć? Noel odpowiedziała, że nie, po czym na prośbę dziennikarki zrelacjonowała całą historię.
- To fascynujące! - zawołała entuzjastycznie Victoria.
- Chciałabym zrobić z panią wywiad. Nadamy go jutro w telewizji. To bardzo dobry temat przed świętami. Może dzięki temu ktoś panią rozpozna i Wigilię spędzi pani w rodzinnym domu... No to jak, zgoda? Noel zawahała się. Co powinna odpowiedzieć? Greg bardzo liczył na to, że dzięki takim programom Noel Santa odzyska swą utraconą tożsamość. Dlaczego ona sama nie była do tego przekonana? Dlaczego zadreślała się ciągłymi pytaniami, zamiast podskakiwać z radości?
- Cóż... ja... Tak, zgadzam się - wydukała w końcu, starając się włożyć maksimum entuzjazmu w to, co mówi.
- To cudowna propozycja. Kiedy mam do was przyjechać?
- To nie będzie konieczne - wyjaśniła Victoria. - Wolałabym zrobić wywiad tam, gdzie pani teraz mieszka. Czy może być o czwartej po południu?
- Rozmawiały jeszcze kilka minut o tym, jak najlepiej się ubrać i umalować do nagrania, po czym pożegnały się. Noel wpadła w panikę. Czyżby nadchodził koniec cudownego życia u boku Grega? Niewykluczone, że już za kilka dni pojawi się jakiś obcy człowiek, który zabierze ją gdzieś daleko, mówiąc, że jest jej mężem lub narzeczonym. Boże, dlaczego tak pochopnie zgodziła się na ten wywiad? Ubrała się pośpiesznie i czym prędzej zbiegła na dół, aby porozmawiać z Gregiem. Musiała zadzwonić kilka ra-

Noel

53

zy, zanim zszedł do drzwi. Najwidoczniej spał jeszcze w najlepsze.

- Idę już, idę! - usłyszała zaspany głos.

Po chwili drzwi otworzyły się. Kiedy zobaczył ją, stanął jak wryty. Wyraz jej twarzy nie był zbyt radosny.

- Noel, co się stało? Czy mama...?

- Z mamą wszystko w porządku, Greg - przerwała mu w pół zdania. - Odebrałam telefon...

Nie czekając na ciąg dalszy, otworzył szerzej drzwi i wciągnął ją do środka. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie jedynie dżinsy. Jego tors i stopy były nagie. Nie miała pojęcia, ilu mężczyzn widziała już w takim stroju, ale ten wydawał się jej wyjątkowo atrakcyjny.

- Noel, kochanie, co się stało?' - Spojrzał na nią z niepokojem.

- Och, Greg, wybacz mi. Nie chciałam cię przestraszyć. Usiedli na sofie i spokojnie opowiedziała mu całą historię.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za to, że pozwoliłam im tutaj przyjechać. Lepiej by było, gdybym najpierw uzyskała zgodę Abby, ale ona wyszła do kościoła. Greg położył dłonie na udach i patrzył przed siebie. Od początku wiedział, że ten moment w końcu nadejdzie. Zdawał sobie sprawę, że kiedyś będzie się musiał pogodzić z utratą Noel. Nie spodziewał się jednak, że wszystko potoczy się tak szybko.

- Bardzo dobrze zrobiłaś - powiedział, siłąc się na uśmiech. - Lepiej, żeby ten wywiad przeprowadzili tutaj, na miejscu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Coż, na tym polegała jego rola - pomóc Noel dowiedzieć się, kim była przed utratą pamięci. Nigdy przecież nie mogłaby być w pełni szczęśliwa, gdyby nie poznała swej przeszłości.

Westchnął ciężko i spojrzał na nią. Wyglądała tak pociągająco. Gdyby tylko mógł, zamknąłby ją w wieży z kości słoniowej i zatrzymał na zawsze wyłącznie dla siebie.

- Program będzie utrzymany w konwencji świątecznej, prawda? - zapytał zamiast tego.

Skinęła głową.

- Bierzmy się w takim razie do roboty. Kupiłem wczoraj choinkę. Musimy ją ubrać. Uśmiechnęła się i przytuliła do jego nagiej piersi. Było jej tak dobrze. Potrzebowała jedynie jego ciepła, miłości, poczucia bezpieczeństwa. Nie chciała, aby ją odnaleziono. Wolała zostać przy Gregu. Na zawsze.

- Może po tym wywiadzie ktoś się odezwie? - powiedział z udawanym optymizmem. - Kto wie, może Wigilię spędzisz już u siebie...

Nic nie odpowiedziała. Uniosła tylko głowę i pocałowała go delikatnie w usta.

Greg, Noel i Abby przystroili choinkę ozdobami, które przechowywano w rodzinie Remingtonów od trzech pokoleń. Zawiesili na drzewku mnóstwo kolorowych bombek i łańcuchów, posypali je anielskim włosiem.

Noel najbardziej zachwycił mały woskowy aniołek, który, jak wyjaśniła Abby, należał do prababki Grega. Abby pamiętała imiona wszystkich członków rodziny do piątego pokolenia wstecz. Noel poczuł się trochę nieswojo. Sama

Noel

55

nie pamiętała nawet własnego dzieciństwa. Co ona będzie opowiadać swoim dzieciom?

O czwartej wszystko było już gotowe. Dziewczyna wzięła prysznic, umyła włosy, uczesała się i zgodnie ze wskazówkami Victorii Langford zrobiła sobie nieco mocniejszy niż zwykle makijaż. Włożyła rzeczy, które miała na sobie w dniu, w którym Greg znalazł ją w parku. Może ktoś rozpoznają przynajmniej po ubraniach?

Dziennikarka przyjechała z kilkuminutowym opóźnieniem. Towarzyszył jej kamerzysta, którego imienia Noel nie zapamiętała. Widząc wspaniałą choinkę, Victoria aż klasnęła w dłonie i zdecydowała, że wywiad musi się odbyć pod drzewkiem. - Postaraj się zapomnieć o tym, że przed tobą jest kamera

- instruowała Noel. - Opowiedz całą historię własnymi słowami. Jeśli się pomylisz, nie przejmuj się. Przed emisją i tak będziemy musieli to zmontować. - Spojrzała z uśmiechem na Grega. - Panu także chciałabym zadać kilka pytań, oficerze.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie zgadzam się. Nie chcę, aby robiono mi zdjęcia lub podano moje nazwisko.

Proszę także nie wspominać, że Noel mieszka u mojej matki. - Uśmiechnął się cierpko.

- Moi przełożeni nie byliby zachwyceni, gdybym robił za gwiazdę telewizyjną.

Victoria nie dała za wygraną.

- Ależ bardzo pana proszę. Fakt, że odnalazł pan Noel i zaopiekował się nią, jest jednym z najważniejszych elementów całej historii. To podniesie prestiż całej policji w San Francisco. Ludzie zobaczą, że policjanci naprawdę im służą.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Do rozmowy wtrąciła się Noel.

- Nie mogę pozwolić, aby przez ten wywiad Greg miał w pracy jakieś kłopoty. Skoro istnieje takie zagrożenie, to rezygnuję z rozmowy przed kamerą.

- Noel, poczekaj! - zawołał Greg. - To dla ciebie ogromna szansa. A przez ten wywiad nie będę miał aż tak strasznych kłopotów. Co najwyżej dostanę reprimendę.

Zawahała się.

- W takim razie wycofuję swój sprzeciw. Przyczeszę tylko włosy i możemy zaczynać. Greg i Noel zgodnie przyznali, że wywiad był przyjemniejszy, niż się tego spodziewali. Victoria okazała się prawdziwą profesjonalistką. Stworzyła atmosferę swobody i spokoju, nie stawiała niespodziewanych, podchwytliwych pytań, mówiła spokojnie i rzeczowo. Nim się obejrzeli, było już po wszystkim.

- Po programie podamy numery policyjnych telefonów, pod które będą mogli dzwonić telewidzowie - powiedziała, zwijając kabel. - Jestem pewna, że ktoś rozpozna Noel. Muszę pana uprzedzić - zwróciła się do Grega - że będzie mnóstwo fałszywych zgłoszeń. Każdemu wydaje się, że może pomóc, lecz nie zawsze są to sygnały warte uwagi.

Skiął głową.

- Będę o tym pamiętał. Kiedy tylko dowiem się czegoś, od razu panią poinformuję. Wywiad z Noel został nadany w poniedziałek w południe. W telewizji wyglądała i zachowywała się niezwykle naturalnie.

Noel

57

- Czy nie byłaś może kiedyś modelką? - zapytał z uśmiechem Greg. - Jesteś taka fotogeniczna. Jeśli zobaczy cię ktoś ze znajomych, to na pewno cię rozpozna.

Uśmiechnęła się.

- Wątpię, abym była modelką. Po pierwsze nie mam na ten temat żadnych skojarzeń, a po drugie nie jestem wystarczająco szczupła.

Spojrzał z pożądaniem na jej krągłe piersi, cudowne biodra, łagodnie zarysowane uda.

- Nie waż się schudnąć nawet o gram - powiedział z tajemniczym uśmiechem. - Kocham każdy centymetr twojego ciała.

Kiedy tylko Greg pojawił się w komisariacie, od razu poinformowano go, że było już kilkanaście telefonów w sprawie Noel. I trudno się dziwić, pomyślał, skoro oprócz pierwszej emisji wywiad powtórzono trzy razy, o piątej, szóstej i jedenastej wieczorem.

Odejeżdżając do domu przed północą, Greg zabrał ze sobą okazały stos kartek z nazwiskami i numerami telefonów ludzi, którzy twierdzili, że wiedzą coś o Noel.

Postanowił zająć się tym na własną rękę w domu, choć wiedział, że przełożeni nie patrzą na jego osobiste zaangażowanie się w tę sprawę zbyt przychylnym okiem.

Wspólnie z Noel postanowili, że od rana będą dzwonić i pytać o szczegóły.

O ósmej rano obudził go telefon. Dzwonił kolega z komisariatu.

- Cześć, stary. Przepraszam, że telefonuję o tej porze, ale dzwonił facet o nazwisku Trent. William Trent. Miesz-

58

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ka w Stockton. Oglądał wczoraj wywiad z Noel i rozpoznał w niej swoją narzeczoną. Twierdzi, że dziewczyna naprawdę nazywa się Stephanie Gates. Pytałem go o to chyba z dziesięć razy, ale upiera się, że nie może być mowy o pomyłce. Twierdzi, że Stephanie Gates jest studentką Uniwersytetu Pacific i nie pojawiła się tam od soboty, czternastego grudnia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Greg czuł się tak, jakby przed chwilą dostał obuchem siekiery w głowę. Poszedł do łazienki i zwilżył twarz zimną wodą.

Stephanie Gates, przyszła żona Williama Trenta! Nie! To na pewno nie Noel! Boże, nie pozwól, żeby to była prawda!

Wrócił do pokoju i spojrzał na kartkę leżącą obok telefonu. Nie ma rady, trzeba zadzwonić i osobiście przekonać się, kim jest ten William Trent.

Był zdenerwowany, ręce mu drżały, z trudem wykręcił numer. Po chwili słuchawkę podniósł jakiś młody mężczyzna. Greg przedstawił się i zapytał, czy rozmawia z Williamem Trentem.

- Ach, Greg Remington, ten wspaniały policjant? - usłyszał w odpowiedzi. - Tak, William Trent to ja. A w ogóle, to mów mi Bill. Myślałem, że już nigdy nie zadzwonisz. Czy Stephanie dobrze się czuje? Co się właściwie stało? Czy ona cokolwiek pamięta? Greg aż zacisnął pięści ze złości. Skąd w tym młokosie tyle pewności siebie?

- Posłuchaj... Bill. Jesteś pewien, że kobieta, którą widziałeś w telewizji, to Stephanie Gates?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Chyba żartujesz! - wykrzyknął Bill. - Znam ją od dwóch lat, a od roku jesteśmy zaręczeni. Planujemy się pobrać na wiosnę.

Greg zagryzł usta.

- Spokojnie, kolego, po prostu muszę się upewnić, czy mówisz prawdę.

Otrzymaliśmy już wiele fałszywych informacji. Będziesz musiał przyjechać do San Francisco i zidentyfikować ją osobiście.

- Nie ma sprawy. Zaraz ruszam. Powinienem być na miejscu za dwie, trzy godziny. Gdzie możemy się umówić?

- Przyjedź na komisariat - powiedział Greg i podał Billowi dokładny adres. - Zapytaj o mnie i powiedz, że przyjechałeś w sprawie Noel Santa.

Noel spędziła bezsenną, niespokojną noc. Bez przerwy myślała o stosie kartek z telefonami, które przyniósł ze sobą Greg. Czy któraś z wiadomości była prawdziwa? Czy prowadziła do rozwiązania zagadki?

Rano zadzwonił telefon. To był Greg.

- Przykro mi, że musiałem cię obudzić, ale mamy pewien trop. Wygląda bardzo obiecująco. O jedenastej musimy być w komisariacie. Ubierz się, a ja przygotuję śniadanie. Noel poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Chciała coś powiedzieć, ale mężczyzna ubiegł ją.

- Nie wkładaj własnych ubrań - poprosił. - Uczesz włosy inaczej niż zwykle. Będziesz musiała zostać zidentyfikowana.

Zrobiła, o co prosił. Włożyła kraciatą sukienkę Bevin i spięła włosy w koński ogon. Wyglądała teraz jak grzeczna dziewczynka z dobrego domu.

Noel

61

Kiedy zeszła na śniadanie, Greg wyglądał na podenerwowanego.

- Powiedz, co się stało? - spytała zaniepokojona. - Czy dowiedziałeś się czegoś?

Uśmiechnął się z udaną nonszalancją.

- Przede wszystkim usiądź. Nie musimy rozmawiać na stojąco.

Usiadła za stołem. Greg nalał jej szklanke soku pomarańczowego i podał pieczywo.

- Czy nazwisko William... czy raczej Bill Trent coś ci mówi?

Przez chwilę mignął jej w głowie obraz jasnowłosego mężczyzny, ale wydarzyło się to tak szybko, że równie dobrze mogło być jedynie złudzeniem.

- Chyba... chyba nie - odparła niepewnie.

- A jednak coś sobie przypominasz, prawda? - spytał, wpatrując się w nią uważnie. - Widziałem wyraz twojej twarzy. Powiedz prawdę.

- Sama nie wiem... Miałam jakieś skojarzenie, ale trudno mi je opisać. - Zamyśliła się. - Na miłość boską, Greg, powiedz mi, o co chodzi! - W jej głosie pobrzmiwała nuta rozpaczki. - Czy to jest właśnie „trop”, o którym wspominałeś?

Pogłaskał ją po dłoni.

- Spokojnie, kochanie. Nie denerwuj się. - Zawahał się. - Mam jeszcze jedno pytanie: czy mówi ci coś nazwisko Stephanie Gates?

Tym razem nie miała żadnych skojarzeń, jej serce zaczęło jednak walić jak oszalałe. Dlaczego? Czyżby dźwięk zupełnie obcego nazwiska mógł spowodować coś takiego?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zorientowała się, że Greg stoi nad nią i trzyma dłonie na jej ramionach.

- Oddychaj spokojnie i głęboko - powiedział łagodnym głosem. - Odpręż się. Nie ma się czym denerwować.

Kiedy ochłonęła trochę, ponownie zapytał o Stephanie Gates.

- To nazwisko z niczym mi się nie kojarzy, naprawdę, ale widocznie zadziałała moja podświadomość. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Czy... Czy to ja? Czy właśnie tak się nazywam? Stephanie Gates?

Odchrząknął.

- Bill Trent twierdzi, że tak. To jednak nic pewnego. Może się przecież mylić.

- A co on ma wspólnego ze Stephanie Gates? Greg odwrócił wzrok.

- Mają się pobrać na wiosnę.

Noel zbladła. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

- O Boże, nie! - Zarzuciła Gregowi ręce na szyję i przytuliła się do niego mocno. -

Powiedz, że to nieprawda, powiedz!

Noel ustawiono w rzędzie z innymi młodymi kobietami. Chodziło o to, aby Bill Trent trafnie wybrał ją spośród innych osób. Każda z kobiet musiała pokazać się frontem i z profilu oraz przejść kilka kroków, podczas gdy osoba je obserwująca była niewidoczna, ukryta za lustrem weneckim.

Wszystko trwało bardzo krótko, a po prezentacji zaprowadzono Noel do pokoju Grega. Przyszedł po kilku minutach. Wyraz jego twarzy powiedział jej wszystko.

Noel

63

- Czy on jest całkowicie pewien? - zapytała z nadzieją w głosie.

Usiadł naprzeciw niej i wziął ją za ręce.

- Tak. Rozpoznał cię od razu. Na inne kobiety nawet nie spojrział. Awanturował się, żebyśmy czym prędzej go do ciebie zaprowadzili.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- On cały czas czeka, prawda?

- Tak. Musisz z nim porozmawiać, ale nie obawiaj się. Będę przy tobie. Nie pozwolę, aby cię dotknął wbrew twojej woli.

- Nie. Jeszcze nie teraz! - zawołała przerażona. - Daj mi jeszcze kilka minut... - Głos uwiązał jej w gardle. -Greg... Proszę cię, przytul mnie.

Objął ją i czule przytulił do piersi. Noel drżała.

- Greg... Nie odtrącaj mnie - wyszeptała. - Nie pozwól, aby obcy mężczyzna...

Objął ją mocniej.

- Nie odtrącam cię. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz. Najchętniej nigdy nie pozwoliłbym ci odejść, nawet wbrew twojej woli. Jeśli masz wrócić do domu z Billem Trentem, musi to być twoja decyzja. Nie pozwolę, aby zrobił cokolwiek wbrew tobie. Nie będę cię jednak zatrzymywał...

Pukanie do drzwi przypomniało im, że nie mogą rozmawiać bez końca. Greg podszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

Noel z przerażeniem patrzyła, jak do pokoju wchodzi w towarzystwie sierżanta nieznany jej mężczyzna. Jasne włosy, dzinsy, czerwony sweter, kurtka... Z uśmiechem na twarzy rozłożył ramiona i ruszył w jej kierunku.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Greg zastąpił mu drogę.

- Nie tak szybko, panie Trent - powiedział surowym; tonem, po czym zwrócił się do Noel: - Czy znasz tego mężczyznę?

- Oczywiście, że ona mnie zna! - parsknął Bill. - Powiedz mu, Stephanie. Powiedz, że się kochamy i że mamy zamiar się pobrać.

Zmrużyła oczy. Tak... W tym mężczyźnie niewątpliwie było coś... znajomego. Nie wzbudzał w niej jednak żadnych miłych uczuć. Patrząc na niego, czuła natomiast złość i strach. Nie mogła sobie jednak uzmysłwić, dlaczego.

- Nie jestem pewna. Nie... chyba go nie znam - powiedziała nieśmiało. - A przynajmniej sobie nie przypominam. - Spojrzała badawczo na blondyna. - Czy ma pan jakieś dowody na to, że nazywam się Stephanie Gates?

- Oczywiście, że tak. - Wyciągnął z kieszeni kurtki kopertę i chciał jej podać, ale policjant ponownie zastąpił mu drogę.

- Ja jej to podam - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Wziął od Trenta kopertę i wskazał mu krzesło w rogu pokoju. - Proszę usiąść.

Kiedy Noel otworzyła kopertę, przeżyła szok. W środku były zdjęcia. Na nich bez wątplenia znajdowała się ona i... Bill Trent. Obejmowali się, całowali, uśmiechali do siebie. Na jednym zdjęciu kroili nawet razem tort. Bill wyjaśnił, że zostało ono zrobione na przyjęciu zaręczynowym.

Czuła się koszmarnie.

- Proszę... - szepnęła - Opowiedz mi o... - zawahała się - o Stephanie Gates.

Bill spojrzał na nią ze zdumieniem.

Noel

65

- To znaczy o tobie? Proszę bardzo. Masz dwadzieścia trzy lata i jesteś studentką piątego roku Uniwersytetu Pacific w Stockton. Właśnie tam się poznaliśmy. Ja studiuje na wydziale sztuk pięknych.

Noel przypomniła sobie nagle zespół wiekowych ceglanych budynków otoczonych pięknym parkiem pełnym starych drzew.

- A co ja studiuje?

- Pedagogikę. Urodziłaś się i wychowałaś we Fresno. Twój rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłaś na pierwszym roku. Ubezpieczenie, jakie ci wypłacono, starczyło na kontynuowanie studiów i podstawowe potrzeby...

Noel starała się uspokoić, ale nie przychodziło jej to łatwo.

- Czy mam jakąś rodzinę? Pokręcił głową.

- Masz siostrę, dużo starszą od ciebie, która wyjechała wiele lat temu na wschodnie wybrzeże. Od śmierci rodziców nie utrzymujecie ze sobą kontaktów. Masz tylko mnie, kochanie.

Noel zadrżała. Greg dostrzegł to, zasłonił ją i zwrócił się do Billa ostrym tonem:

- Spokojnie, Trent. Nie licz na to, że...

- Sam wiem, na co mogę liczyć - odpowiedział butnie Bill. - Jesteśmy razem od dwóch lat. Mamy wielkie plany na przyszłość.

Noel zeszywniała.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkaliśmy razem? Bill nie odpowiedział od razu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nie, nie mieszkaliśmy razem - oznajmił po kilku sekundach. - Ja mieszkam w akademiku, a ty wynajmujesz niewielkie mieszkanie tuż obok uniwersytetu. -

Uśmiechnął się znacząco. - Nie oznacza to jednak, że nie poznaliśmy się... hm... bliżej. Na miłość boską, Steph, jak mogłaś o tym zapomnieć?

Nie wytrzymała. Najpierw złapała się za głowę, jakby chcąc ją uchronić przed tym, co zostało przed chwilą odkryte, a potem zacisnęła pięści i zerwała się na równe nogi.

- Sama nie wiem, jak mogłam zapomnieć! - krzyknęła. - Może coś takiego po prostu nigdy nie miało miejsca?!

Bill także wstał.

- O czym ty mówisz? To, że przez ostatnich kilka miesięcy zachowywałaś się, jakbyś była zrobiona z lodu, nie oznacza przecież, że nigdy...

- Dość tego! - zawołał Greg. - Siadaj, Trent.

Noel poczuła nagle, jakby łuski spadły z jej oczu. Znowu była tą samą Stephanie Gates, co kiedyś. Przeszłość stanęła przed jej oczyma wyraźnie i klarownie.

Przypominała sobie teraz wszystko, z najmniejszymi detalami.

Pamięć wróciła jej tak nagle, że sama była tym zdumiona. Tak, doświadczenia ostatniego tygodnia były potworne, nie do wyobrażenia dla nikogo, kto, podobnie jak ona, nie został odarty z własnej przeszłości. Na szczęście teraz było już po wszystkim. Mogła spokojnie i świadomie zdecydować, jak ma pokierować własnym życiem.

Bill najwyraźniej wciąż czekał, jak Noel zareaguje na jego słowa. Niestety, pomyślała z przekorą w sercu, to, co usłyszy, zapewne sprawi mu zawód.

Noel

67

Uśmiechnęła się znacząco, lekko zmrużyła oczy i powiedziała:

- Długo musiałam na ciebie czekać, Bill. Może wyjaśnisz mi teraz, dlaczego zostawiłeś mnie nieprzytomną w ciemnym parku?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Twarz Billa wyrażała zdumienie i strach. Instynktownie cofnął się o pół kroku.

- Przecież... nie zostawiłem cię w parku - wyjąkał. - Nie wiem, o czym mówisz... Po raz ostatni widziałem cię w ubiegłą sobotę w twoim mieszkaniu. Pokłóciliśmy się i powiedziałaś, że wyjeżdżasz na święta, aby wszystko przemyśleć...

Stephanie patrzyła na mężczyznę, który stał przed nią z twarzą ściągniętą strachem, i zastanawiała się, co mogła kiedyś w nim widzieć. Jedyne, co dobrego można było o nim powiedzieć to, że był przystojny i miał talent to malowania. Poza tym William Trent był nudny, samolubny i niezdolny do prawdziwej miłości.

- To kłamstwo i wiesz o tym doskonale - powiedziała ze złością. - Nasz związek się sypał, ale mimo to zmusiłeś mnie, abym przyjechała z tobą do San Francisco na wystawę Klee w muzeum De Young w parku Golden Gate.

- Nie! - bronił się Bill. - Nie byłem z tobą...

- Chwileczkę! - zawołał Greg i spojrzał pytająco na dziewczynę. - Noel, czyżbyś odzyskała pamięć?

Uśmiechnęła się.

- Tak. Nie pytaj mnie, w jaki sposób, ponieważ sama

Noel

69

nie wiem. Ale pamiętam Billa. Pamiętam wszystko bardzo dobrze. To, że kiedyś się zaręczyliśmy, to, że pokłóciliśmy się w parku i że oddałam mu pierścionek zaręczynowy. Właśnie wtedy pchnął mnie... wtedy upadłam i... - nie dokończyła.

Greg zaklął cicho pod nosem i ruszył w stronę Billa.

- Uderzyłeś ją? Och, ty suk...

Trent schował się za sierżanta, który wcześniej wprowadził go do pokoju.

- Uspokój się, Greg - powiedział oficer. - Zajmiemy się później tym gagatkiem.

Najpierw musimy ustalić, co naprawdę się stało.

Stephanie podbiegła do Grega i przytuliła się do niego mocno. Potrzebowała jego opieki, jego ciepła. Chciała wiedzieć, że Bill nie może jej już teraz nic zrobić.

- To nie było tak, jak on mówi, Greg - szepnęła. - Nie układało się nam już od kilku miesięcy. A ostatnia niedziela była fatalna. Pojechaliśmy do muzeum. Bill tak długo i skrupulatnie oglądał obrazy, że wyszłam na zewnątrz i czekałam tam na niego ponad godzinę...

- Jestem artystą - wtrącił Bill. - Studiowałam technikę malarską Paula Klee.

Stephanie westchnęła.

- Wiem o tym. Pewnie powinnam być bardziej cierpliwa. Tylko po co? Przecież kiedy wieczorem poszliśmy obejrzeć balet, Billowi nie podobał się on do tego stopnia, że sprowokował kłótnię. Na dodatek, gdy wracaliśmy samochodem do domu, zgubiliśmy drogę. Ciągłe rzucał jakieś złośliwe uwagi. Zatrzymał samochód, żeby obejrzeć mapę, a ja wysiadłam, aby zaczerpnąć świeżego powie-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

trza... - Zamilkła na chwilę, jakby przypominała sobie? kolejne szczegóły. - Nocne powietrze otrzeźwiło mnie. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie kocham Billa i że nie mam zamiaru spędzić z nim całego życia. Nalegał, abym wróciła do samochodu, aleja nie chciałam. Wtedy on także wysiadł. Powiedziałam, że nie wyjdę za niego za męża i próbowałam oddać mu pierścionek. Nie chciał go wziąć.

Zdenerwował się. Krzyczał. W końcu pchnął mnie. Straciłam równowagę i upadłam... - Potrząsnęła głową. - Tutaj kończy się historia. Resztę już znasz, Greg. Oboje spojrzeli na Billa. Spuścił głowę, jego twarz była potwornie blada.

- Boże, Steph... - wyjąkał. - Myślałem, że nie żyjesz. Z czoła płynęła ci krew... Nie mogłem wyczuć pulsu, wpadłem w panikę... - Zamilkł. Był teraz bliski płaczu.

- Wybacz mi - powiedział w końcu cicho, jednak nie spojrzął na Noel, wzrok cały czas miał utkwiony w podłogę.

- Bałem się. Bałem się, że jeśli zawiadomię policję, to oskarżą mnie o morderstwo.

Zabrałem twoją torebkę, dokumenty i... i uciekłem. Dokumenty spaliłem, wyrzuciłem wszystkie drobiazgi. Uwierz mi, przez ostatni tydzień przeżyłem prawdziwe piekło. Dopiero kiedy zobaczyłem cię w telewizji, odetchnąłem...

To był wyjątkowo ciężki i długi dzień. Greg i Stephanie wyszli z komisariatu dopiero późnym wieczorem.

W samochodzie pokłócili się. Greg nalegał, aby oskarżyła Billa o usiłowanie zabójstwa, ona nie chciała na to przystać.

- Zasądź go więc przynajmniej o uszkodzenie ciała -upierał się.

Noel

71

Pokręciła głową.

- Nie zrobię tego. Nie ma we mnie chęci zemsty. Poza tym sprawa ciągnęłaby się miesiącami, a to byłoby dla mnie bardzo bolesne. Zadowolę się obietnicą Billa, że nigdy więcej nie pokaże mi się na oczy.

Jechali do domu. Ale czy dom Grega był nadal jej domem? Rozmawiali dzisiaj wyłącznie o przeszłości. Teraz, kiedy już ją знаła, mogła się zatroszczyć o to, co dopiero miało nadejść.

Greg patrzył na niemiłosiernie zatłoczoną ulicę. Wszyscy pędzili gdzieś w przedświątecznej gorączce, a w jego głowie panował potworny chaos. Z jednej strony cieszył się, że Noel odzyskała pamięć i na nowo stała się Stephanie, ale z drugiej obawiał się, że teraz nie będzie już jej potrzebny. Wiedziała, kim jest. Mogła wrócić do swojego życia. Życia bez niego.

Co prawda definitywnie rozstała się z Billem Trentem, ale ich związek i tak już dawno się rozsypał. Nie porzuciła Billa dla niego. Po prostu nie mogła już dłużej wytrzymać.

Tak bardzo jej pragnął. Chciał zatrzymać samochód i na środku ulicy błagać, aby go nie opuszczała, prosić, aby za niego wyszła. Wiedział jednak, w jak bardzo kłopotliwej sytuacji by się wtedy znalazła - w końcu wiele mu zawdzięczała i trudno byłoby jej go ranić. Greg Remington nie chciał wdzięczności. Chciał miłości.

W Brisbane główna ulica była zablokowana przez zepsutą ciężarówkę, musieli więc skręcić w boczną uliczkę. Nagle ich uszu dobiegło bicie dzwonów. Przed nimi był niewielki kościółek. Ten sam, do którego uczeszczała Abby.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Dopiero teraz Stephanie przypomniała sobie, że jest 24 grudnia, Wigilia. Ale czy to dziwne? W końcu zaledwie przed paroma godzinami odzyskała pamięć.

- Greg, zatrzymaj się, proszę! - zawołała podniecona. Gwałtownie nacisnął na hamulec. - Co się stało? - zapytał, wyraźnie zaniepokojony. Uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć, ale... Wigilia - powiedziała łagodnie. - Dzisiaj jest Wigilia. Chciałabym wejść do kościoła...

Ujął delikatnie jej dłoń i przyłożył do swoich ust.

- Oczywiście, chodźmy razem.

Znaleźli miejsce w jednej z ławek i patrząc na migające płomyki świec, słuchali kołęd śpiewanych przez chór.

Święta noc, cicha noc

Pokój niesie ludnom wszem...

Ich ręce złączyły się w delikatnym uścisku. Spojrzeli sobie w oczy. Było w nich tyle zaufania, tyle tęsknoty.

Stephanie zadumała się nad swoim przeznaczeniem. Cóż za cudowne zrządzenie losu, że Greg znalazł ją wtedy w parku. Może to jej anioł stróż zaprowadził go tam? Kto wie? Kiedy msza się skończyła, objęci i rozmarzeni wyszli z kościoła. Miała nadzieję, że w samochodzie mężczyzna przytuli ją, pocałuje, ale nic takiego nie nastąpiło. Uruchomił tylko silnik i bez słowa ruszył do domu.

- Musimy porozmawiać - powiedział, kiedy znaleźli się na miejscu.

Otworzył drzwi wejściowe i zaprosił ją gestem dłoni do siebie. Weszli do środka.

Noel

73

- Greg, o co chodzi? - zapytała z lękiem. - Myślałam, że będziesz się cieszył, kiedy odzyskam pamięć.

- Cieszył się! - W jego głosie zabrzmiało cierpienie.

- Ja się po prostu cholernie boję! Od samego początku!

- Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, porwał ją w ramiona. - Kiedy tylko przywiozłem cię tutaj, wiedziałem, że nie będę w stanie ci się oprzeć. Nie sądziłem jednak, że moja klęska będzie aż tak dotkliwa. Bronilem się, spodziewałem się przecież, jak bardzo bolesne może być rozstanie... Powtarzałem wciąż sobie, że kiedyś ono musi nastąpić, ale...

Przerwał w pół zdania i zrozpaczony ukrył twarz w jej włosach. Jednak Stephanie była daleka od rozpacz. Jej ogromną radość mącił jedynie fakt, że Greg cierpi. Ale przecież nie musi, nie będzie cierpieć z jej powodu, wiedziała to już na pewno.

- Kochanie, nie mam najmniejszego zamiaru cię opuścić - szepnęła czule. - To ja się obawiałam, że mnie odprawisz. Byłeś taki oschły.

- Noel! Stephanie! Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cię pragnę. Ale ty przecież wrócisz na uczelnię, masz swoje życie... - Spojrzał jej w oczy. Choć jego Noel stała się już Stephanie Gates, choć odzyskała swoją przeszłość, była to ta sama dziewczyna, która z taką ufnością prosiła, by osłonił ją przed złem tego świata. Oddana, czuła, kochana Noel. - Boże, kocham cię-wyszeptał ze wzrokiem zatopionym w jej błyszczących źrenicach - i chciałbym, abyś za mnie wyszła. Tak. Chcę, abyśmy należeli do siebie legalnie. Chcę spędzić resztę życia z tobą i z naszymi dziećmi. Stephanie była tak zdumiona, tak zachwycona tą propo-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

zycją, że nie wiedziała, co powiedzieć. Milczała więc, mając jedynie nadzieję, że miłość, jaką czuje do Grega, bije jej z oczu.

Mężczyzna najwyraźniej jednak tego nie zauważył, gdyż jego twarz stężała.

- Rozumiem... rozumiem, że możesz nie chcieć tego samego co ja. Nie mam do ciebie o to żalu...

Zakryła jego usta dłonią i uśmiechnęła się.

- Greg, czy mógłbyś przestać mówić i zająć się... hm... przyjemniejszymi rzeczami? - wyszeptała mu wprost do ucha i wsunęła dłoń w jego gęste włosy. - A może wolisz poczekać, aż będziemy mieli akt małżeństwa?

Zadrżał, popatrzył na nią nieco zdziwiony, po czym jego spojrzenie rozjaśniło się nagle, a na twarzy pojawił się promienny uśmiech.

- Nie, nie jestem w stanie czekać tak długo. Nie wiem nawet, czy zdołam się powstrzymać, zanim nie znajdziemy się w sypialni.

Rozejrzała się wokół.

- Podłoga byłaby chyba za twarda, ale kanapa... Wygląda całkiem zachęcająco.

Uśmiechnął się łagodnie.

- O nie. To będzie akt miłości, a nie żądzy.

Zaniósł ją do sypialni i położył ostrożnie na łóżku. Zaczęło się od delikatnych, prawie niewinnych pocałunków. Jego usta smakowały łagodnie jej wargi, policzki, język. Po chwili Greg przytulił ją mocno do siebie i sprawnym ruchem rozpiął zamek sukienki. Westchnęła głośno, a kiedy rozpiął stanik i dotknął jej nagich piersi, nie mogła już powstrzymać jęku rozkoszy.

Noel

75

Wsunęła dłonie pod jego koszulę. Ciało Grega było takie ciepłe, takie silne... Każdy dotyk, każdy pocałunek utwierdzał ją w poczuciu, że jest kochana, uwielbiana. Za oknem zaświecił księżyc, napełniając sypialnię przyjemnym światłem. Greg z podziwem patrzył na ciało ukochanej.

- Spodziewałem się, że jesteś piękna - wyszeptał zduszonym głosem. - Nie spodziewałem się jednak doskonałości.

Jego słowa były jak muzyka. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię, Greg. Nie tylko dlatego, że uratowałeś mi życie. Jesteś wspaniałym człowiekiem, masz takie dobre serce, tak dbasz o innych, o mnie...

Pocałował ją w szyję. - Kiedy trafia się taki skarb jak ty, to trzeba go strzec jak oka w głowie. Jesteś moim skarbem, moim świątecznym cudem. Nigdy nie uwierzę, że spotkaliśmy się przypadkowo. Takie było nasze przeznaczenie, przeznaczenie, którego głos usłyszeliśmy w święta! Czy to nie wspaniale, moja kochana Stephanie...

Noel? Wtuliła się w jego ramię.

- Pamiętam, jak bardzo się bałam wtedy, w parku. Czułam jednak twoją obecność i to przynosiło mi ukojenie.

Położył dłonie na jej biodrach.

- Czy teraz także się boisz?

- Czy się boję? - zapytała zdumiona. - Nie. Chcę do ciebie należeć... cała, w pełni... - Westchnęła. - Chcę, abyś ty także do mnie należał.

Pocałował ją czule i delikatnym ruchem połączył ze swoim jej cudowne ciało. Nim zamknęła oczy, zobaczyła

76

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jeszcze kilka gwiazd. Jedna z nich pulsowała i świeciła mocniej niż pozostałe. Gwiazda bożonarodzeniowa? Kto wie, może to ona przywiodła ją do San Francisco? Stephanie nie była pewna, co myśleć o roli przeznaczenia w jej cudownym spotkaniu z Gregiem. Pewna była za to jednej rzeczy - ich pierwszą córeczkę nazwą Noel.

Webb Peggy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Świąteczna przepowiednia

BANANOWY PRZYSMAK

Z notatnika kulinarnego Peggy Webb

Przepis pochodzi z Nowego Orleanu. Chętnie przygotowuję tę niecodzienną potrawę w czasie Bożego Narodzenia.

Składniki na jedną porcję:

2 stołowe łyżki brązowego cukru 1 stołowa łyżka masła

*1 dojrzały banan obrany ze skórki i przecięty na pół
szczypta cynamonu*

150 ml likieru bananowego

300 ml białego rumu

duża porcja lodów waniliowych

Masło włożyć do płaskiego rondelka, dodać cukier i podgrzać, aż się rozpuści. Dodać banana i smażyć tak długo, aż stanie się miękki. Posypać cynamonem. Nalać likieru bananowego i rumu. Podpalić. Kiedy płomień Zgaśnie, natychmiast podawać z lodami.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Johnny, musisz przyjechać do domu.

John Davis nie odpowiedział od razu. Przykrył dłonią słuchawkę i spojrzał na stos akt leżących na biurku. Dotyczyły procesów w sprawach kryminalnych i czekały, żeby je przejrzał. Następnie jego spojrzenie powędrowało do okna, z którego rozciągał się szeroki widok na "Seattle. Ulice jarzyły się kolorowymi światełkami, drzewa przybrano jaskrawymi, błyszczącymi ozdobami. Miasto przygotowywało się na przyjście Bożego Narodzenia. John jednak nie miał czasu ani na sentymentalny nastrój, ani na gorączkowe zakupy, którym oddawała się większość ludzi przed Gwiazdką.

- Wujku Roscoe - westchnął ciężko - dobrze wiesz, że nie mogę przyjechać. Już ci to tłumaczyłem... Przygotowuję się do bardzo ważnego procesu. - Starał się zachować cierpliwość; w końcu wuj Roscoe miał już osiemdziesiąt lat i był jedynym żyjącym krewnym Johna.

- Bzdury. Młody człowiek, taki jak ty, przystojny i na stanowisku, może robić to, na co tylko ma ochotę.

- Wiesz, że bardzo chciałbym cię zobaczyć...

- Nieprawda. Gdyby tak było, już dawno przyjechałbyś do Missisipi.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Przez moment w duszy Johna odezwały się wyrzuty sumienia. Ale przecież nie zaniedbywał wuja. Dzwonił do niego dwa razy w tygodniu, co roku zlecał sekretarce kupno prezentów urodzinowych i świątecznych. Oprócz tego na farmie wujka mieszkał specjalny pomocnik i opiekun, do którego John miał pełne zaufanie.

- Zadzwoń do ciebie w Boże Narodzenie. Może później będę mógł się stąd wyrwać. Co ty na to?

- Niezły sposób na spławienie zawracającego głowę staruszka. Poza tym, wtedy może być już za późno.

- Na co?

- Na rozmowę. Johnny, wczoraj w nocy słyszałem, jak śpiewają króliki.

Młody prawnik zmarł. Chociaż już dawno porzucił naiwne wyobrażenia dotyczące miłości, nadziei i wiary, które były nieodłączną częścią atmosfery małego miasteczka, w którym się wychował, nigdy nie zapomniał legendy o królikach.

Wiele lat temu, miał wtedy osiem lat, wrócił ze szkoły i zastał dom pełen obcych ludzi ubranych w ciemne garnitury. Stanął w drzwiach i patrzył, jak owijają w białe prześcieradło ciało jego matki i wynoszą je z domu.

Wujek Roscoe, brat matki, wziął go na stronę.

- Zadzwoń do mnie w nocy i powiedz, że widziała króliki na zaśnieżonym trawniku. Śpiewały dla niej.

John był zbyt przerażony, żeby zadawać pytania. Obejmując wuja za kolana, patrzył tylko na puste łóżko, w którym sypiała matka.

- Króliki wiedzą, kiedy ktoś ma umrzeć - ciągnął wuj Roscoe. - Kiedy przychodzi ta chwila, idą do domu takiej

81

osoby i śpiewają jej na pożegnanie. Sam Bóg dał im ten dar. Oprócz tej smutnej okazji nigdy nie usłyszysz śpiewającego królika. - Przytulił chłopca mocno. - Nie bój się, Johnny. Wszystko będzie dobrze. Zaopiekuję się tobą - wyszeptał.

Trzymając teraz słuchawkę telefonu, John przypomniał sobie wydarzenia sprzed lat. Zamieszkał wtedy z wujem. To on nauczył go grać w piłkę, pomagał w matematyce, wycierał nos, kiedy jego siostrzeniec chorował, siedział wreszcie w pierwszym rzędzie na uroczystości rozdania dyplomów Szkoły Prawa Vanderbilt. Teraz nadeszła chwila rewanżu.

- Przyjadę, wujku - powiedział krótko. - Nie martw się. Zajmę się wszystkim.

- Wiedziałem, że tak zrobisz. Liczyłem na to.

- Twój ruch, wujku.

Roscoe spojrział na rozłożone warcaby i zbił swoim czarnym pionkiem dwa czerwone należące do siedzącej przed nim młodej kobiety.

- Moja damka! - krzyknął, klepiąc się w kolano. - Ha! Nie masz szans, dziecko.

- Zawsze ze mną wygrywasz - odparła Ruth Mobley. - Ale kiedyś mi się uda. To tylko kwestia czasu.

Ruth lubiła te cotygodniowe partie warcabów. Roscoe nie był jej prawdziwym wujem. Poznała go sześć lat temu, kiedy przyprowadziła swoją klasę do Centrum Seniora. Szybko się zaprzyjaźnili i odtąd gra w warcaby stała się nieodłączną częścią jej wizyt.

Spojrzała na zegarek.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- O której godzinie ma przyjechać ten twój siostrzeniec?
- Powinien być o piątej, ale z samolotami nigdy nic nie wiadomo.
- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym zawiozła cię na lotnisko? Albo może sama po niego wyjadę?
- Siedź spokojnie i kończmy grę. Wynajmie sobie samochód. A poza tym, chcę mu zrobić niespodziankę.

- Mam nadzieję, że lubi niespodzianki. - Ruth zrobiła kolejny ruch. Jej myśli błądziły jednak wokół postaci tajemniczego siostrzeńca. Jeśli jest podobny do wuja, musi być uroczym człowiekiem. Lubiła nowe znajomości. Nie mogła się więc doczekać przyjazdu Johna Davisa.

Partia warcabów zbliżała się właśnie do końca, kiedy pod dom podjechał duży samochód. Wuj Roscoe spojrział • w jego kierunku, mrużąc oczy z powodu popołudniowego słońca. ,

- Założę się, że to on. Zawsze lubił takie wystrzałowe auta. To do niego podobne, żeby wynająć największe.

Czarny lincoln zatrzymał się pod dębem. Ruth spojrzała na wysiadającego wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Był bardzo przystojny. Zaczęła żałować, że się nie przebrała. Wciąż miała na sobie ten sam sweter, wełnianą spódnicę i buty, w których była w szkole. Z drugiej strony, jeśli by się ubrała bardziej wizytowo, Davis mógłby wysnuć błędny wniosek, że próbuje zrobić na nim wrażenie. Nie miała nic przeciwko mężczyznom, wręcz przeciwnie - wciąż wierzyła, że gdzieś czeka na nią ktoś wyjątkowy - wspaniały, czuły, pełen zrozumienia, ktoś taki jak jej ojciec. Jednego tylko nie była w stanie pojąć, dlaczego wciąż nie może jej znaleźć?

Świąteczna przepowiednia

83

Patrzyła, jak John Davis podchodzi do frontowej werandy. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra i poruszał się krokiem sportowca ze szczególnego rodzaju męskim wdziękiem. Ale sport to tylko jego hobby, przypomniała sobie. Wujek Roscoe mówił jej kiedyś, że John jest jednym z najlepszych adwokatów w Seattle.

Podniosła rękę, by przygładzić włosy. Gumka, która przytrzymała koński ogon, rozluźniła się. Szkoda, że nie pomyślała, żeby się porządnie uczesać. Teraz było już za późno, John dochodził do drzwi. Cóż, ujrzy ją taką, jaka jest - nauczycielka, trzydzieści lat, niezamężna, o mało efektownej urodzie.

Mężczyzna przy drzwiach werandy zatrzymał się i rozejrzał. Pewnie chłonał tę niezwykłą atmosferę spokoju, która zawsze urzekała ją na farmie wujka Roscoe.

- Ruth, otwórz drzwi Johnowi - odezwał się staruszek.

- Nie zna mnie, może się zdziwić.

- Mnie też już prawie nie pamięta. Nie było go tu cztery lata.

Nie mogła tego zrozumieć. Jak można było opuścić tak wspaniałego człowieka jak Roscoe Blake? Zacisnęła usta ze złości, ale zaraz przypomniała sobie radę swej matki, aby nie sądzić pochopnie innych ludzi. Być może istniał jakiś powód tak długiej nieobecności młodego prawnika.

Uśmiechnęła się lekko do siebie i podeszła do drzwi.

- Cześć - powiedziała do mężczyzny stojącego za progiem. Był wyższy, niż sądziła. Musiała podnieść wzrok wysoko, by móc spojrzeć mu w oczy. - To ty jesteś pewnie John Davis. - Miał u niej plus, po twarzy nie przemknął mu nawet cień zdumienia na widok nieznajomej.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A ty jesteś... - zawiesił głos.
- Ruth Mobley, przyjaciółka twojego wuja. - Otworzyła szeroko drzwi. - Wchodź do środka.
- Tutaj, tutaj, mój gagatku! - krzyknął Blake. - Niech no ci się przyjrzę. - Wziął okulary z nocnego stolika i założył je na nos. Kręcąc głową, przyglądał się młodzieńcowi. - Boże, co oni z tobą zrobili w tym mieście. Czy to siwe włosy? W twoim wieku? Wstyd. Ja do sześćdziesiątki nie miałem ani jednego!

John uśmiechnął się i podszedł uściskać wuja.

- Jak się miewasz, wujku Roscoe?

- Bywało lepiej, ale i do osiemdziesięciu lat można się przyzwyczaić. Chociaż najchętniej stałbym się twoim rówieśnikiem. Kiedy miałem trzydzieści sześć lat, kobiety kleiły się do mnie, jakbym był słojem miodu.

- Widzę, że mimo wszystko wciąż tryskasz humorem.

- Jasne, nie mam czasu na czarne myśli. ^T Gestem wskazał siostrzeńcowi miejsce na kanapie. - Siadaj, Johnny. Ruth, ty też. Chcę, żebyście się poznali.

Uprzejmy uśmiech znikł z twarzy Davisa, kiedy zwrócił się w stronę Ruth. Zmieszała się pod wpływem jego badawczego wzroku. Zawsze myślała, że nikt nie jest w stanie jej speszyć, nawet wzięty adwokat jeżdżący czarnym lincolnem, ale w tym mężczyźnie było coś, co przyprawiało ją o dreszcze.

- Niestety muszę już lecieć - powiedziała, starając się uniknąć wzroku Davisa.

- To miło, że dotrzymała pani towarzystwa wujowi do czasu mojego przyjazdu, panno Mobley - odezwał się oficjalnym tonem.

Świąteczna przepowiednia

85

- Nigdzie nie pójdziesz! - poderwał się nagle Roscoe. - Do diabła, chłopcze, zachowujesz się jak ostatni sztywniak. Ruth nie dotrzymywała mi towarzystwa, grała ze mną w warcaby. A ja ogrywałem ją na wszystkie strony.

Kobieta roześmiała się, a John spojrział na wuja. Co się tu działo? Wuj wcale nie wyglądał na umierającego, a co do tej Mobley... Zmierzył ją wzrokiem tak, jak oceniał swoich przeciwników w sądzie. Trzeba wiedzieć, kto stoi po drugiej stronie. Szybko rozgryzie, co tu jest grane.

- Siadajcie, oboje siadajcie! - powtórzył wuj ostro. - Denerwuje mnie, kiedy sterczycie, jakbyście mieli sztywne kolana.

Usiedli na przeciwległych końcach kanapy. John zauważył, że to ten sam mebel, który stał tu od trzydziestu lat. Czerwone róże na obiciu zbladły, poduszki zrobiły się nierówne ze starości... Nagle ogarnęła go nostalgia. Miał znowu osiem lat...

Wiejska atmosfera tej części stanu Missisipi zawsze miała na niego dziwny wpływ. A już sądził, że mieszkając przez lata w Seattle, wyzwolił się od bagażu wspomnień z dzieciństwa.

Musi mieć się na baczności. Nie może sobie teraz pozwolić na żadne sentymenty.

- Tak, teraz lepiej. - Roscoe Blake wstał z krzesła. -Przyniosę ciasteczka.

- Pomogę ci - zaproponowała Ruth, wstając.

- Siedź, siedź, dziewczyno, i zabawiaj mego siostrzeńca. Kiedy będę za stary, żeby pójść do własnej kuchni po domowej roboty ciasteczka, możecie mnie wrzucić do grobu i przysypać ziemią.

Ruszył do kuchni. Oboje odprowadzili go wzrokiem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Gdy wyszedł, adwokat odwrócił się do Ruth. Nie da się ukryć, była atrakcyjna - świeża i jednocześnie bardzo kobieca. Typ dziewczyn, którym nie ufał.

- Nie chcę pani zatrzymywać, panno Mobleby.

- Panie Davis... - Ruth splotła dłonie. Czowała, że się czerwieni. - Nie wiem, w jakim towarzystwie obraca się pan w Seattle, ale my tutaj, w Tupelo, jesteśmy przyzwyczajeni do pewnych form. - Uniosła głowę. - Mówiąc krótko, nie lubię, kiedy pokazuje mi się drzwi.

- A czy ja to zrobiłem? - Po twarzy Johna przemknął lekki uśmiech. Ma tupet, pomyślał.

- Owszem. A na dodatek, to nie pański dom.

- To prawda. To dom bezbronny starszego pana.

- Oby tylko wuj pana nie usłyszał.

- Wuj?

- Tak na niego mówię.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Zaskoczyło ją to pytanie. Gorączkowo myślała nad odpowiedzią. Spojrzała na Johna swoimi dużymi oczami. Były niebieskie, co zauważył już wcześniej. - Bo go lubię, oto dlaczego. „Pan Blake” brzmi zbyt oficjalnie, a my jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- A jak głęboka jest wasza przyjaźń?

- Czy sądzi pan, że... - Jej policzki zrobiły się purpurowe.

- A co mam myśleć? Jest pani młodą kobietą, bez zobowiązań, jak przypuszczam. A może ma pani cichego współnika?

Ruth zerwała się z kanapy. Cała się trzęsła z oburzenia. Nigdy dotychczas nie była tak wściekła.

- Panie Davis, jest pan najbardziej nikczemnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I pomyśleć, że... że czekałam na pana przyjazd.
 - Co ja na to poradzę, że trudno mi uwierzyć w pani bezinteresowność? Dobrze wiem, na co stać niektóre osoby, a mój wuj ma całkiem okazały majątek.
 - Nikczemny, to dla pana komplement. Brzydzę się panem, panie Davis, Chętnie zabrałabym ciastka, które specjalnie upiekłam na pana przyjazd, ale to zraniłoby wuja Roscoe. Nie mogę znieść myśli, że pan będzie je jadł.
 - Jeśli to pani poprawi humor, zaręczam, że nie tknę ani jednego. - Miał ochotę uśmiechnąć się.
 - Nic nie może poprawić mi teraz humoru. Niedobrze mi się robi, gdy pomyślę, że wuj Roscoe ma takiego siostrzeńca. - Ruth odwróciła się w stronę drzwi. - Proszę powiedzieć wujowi, że musiałam nagle wyjść. I niech się pan nie waży wspominać mu o swoich chorych podejrzeniach.
 - Dobrze wiem, jak postępować z moim wujem, panno Mobley. To nie pani interes.
 - Wprost przeciwnie. On jest moim przyjacielem. Jeszcze tu wrócę, może pan być tego pewny.
- Wyprostowała się dumnie i wyszła. John podszedł do okna i obserwował, jak Ruth wsiada do swojego wysłużonego samochodu. Łatwo mógł sobie wyobrazić, że dla takiej kobiety wuj Roscoe był łakomym kąskiem. Samotny, stary, umierający, bezbronny. I bogaty.
- Ale teraz, na szczęście, on tu jest i zadba, żeby nikt nie wykorzystywał wuja.
- A gdzie Ruth? - Staruszek stanął w drzwiach pokoju, trzymając w dłoniach tacę czekoladowych ciasteczek.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Musiała wrócić do siebie. Prosiła, żeby cię przeprosić.

- To do niej niepodobne, żeby wychodzić bez pożegnania.

John nie mógł znieść wyrazu zawodu na twarzy wuja, więc pospieszył z wyjaśnieniami.

- Jakież pilne sprawy. Coś związanego ze świętami. Sam wiesz, jak bardzo zajęci są teraz ludzie.

- Aha. Myślałem, co kupić sobie na Gwiazdkę. Chciałbym szlafmycę. W nocy marznie mi trochę głowa.

- Dostaniesz ją ode mnie, wujku.

- Ciii... Nie mów tego głośno. Wiesz, że uwielbiam niespodzianki. - Roscoe postawił tacę na stole, a sam usiadł w fotelu. - Proszę, częstuj się. Są świetne, zjadłem już sześć w kuchni.

Faktycznie, wyglądały smakowicie - wyrośnięte, obficie posypane czekoladą i orzechami. John poczuł głód. Nic nie jadł, nie licząc okropnego posiłku w samolocie. Spojrzał żałośnie na ciastka.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ruth nie zdążyła wyjechać z podwórka, a już czuła się winna. Pozwoliła się ponieść wzburzeniu. Boże, przecież ona jest tylko gościem w tym domu, a tak strasznie nagadała Davisowi. Zaczerwieniła się na wspomnienie swoich słów. Oj, niedobrze. Oczywiście, że swymi obrzydliwymi podejrzeniami co do jej intencji wobec kochanego wuja John Davis zasłużył sobie na ostre słowa, ale żeby zaraz go obrażać...

Teraz tylko jedno mogła zrobić - przeprosić go. Pomyślała, żeby od razu zawrócić i mieć to z głowy, ale zrobiło się późno. Roscoe wraz z siostrzeńcem pewnie zasiedli już do kolacji, a ją czekał stos klasówek do poprawienia. Poza tym, już prawie Gwiazdka, a przed nią jeszcze tyle pracy. Tak, poczeka do jutra z ponowną wizytą. Wcale nie ze strachu.

Kiedy przyjechała do swojego małego mieszkania na Church Road, już miała opracowany plan działania. Jutro sobota, idealny dzień, żeby pomóc wujowi Roscoe oprawić i ubrać choinkę. Przy tej okazji wyjaśnią sobie z Davisem dzisiejsze nieporozumienie.

John obudził się o świcie. Przetarł oczy. Wciąż był niezupełnie przytomny z powodu różnicy czasu między Seat-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

tle a Tupelo. Wstał i poszedł do sypialni wuja. Delikatnie otworzył drzwi. Staruszek spał na plecach z otwartymi ustami, pochrapując cicho. Jeszcze jedna noc za nim. John uśmiechnął się i zamknął drzwi. Najważniejsze było teraz dla niego spotkanie z lekarzem wuja. Musi wiedzieć, jak poważny jest jego stan. Wuj zbagatelizował wprawdzie sprawę poprzedniego wieczoru mówiąc, że to tylko małe kłopoty z sercem, ale John chciał znać prawdę.

Następnie zajmie się testamentem i sprawami prawnymi. Dla nikogo śmierć nie jest łatwa, ale skoro można wszystko zawczasu przygotować... A John nie bez powodu miał się za dobrego organizatora. Wrócił do siebie i ubrał się. Zamierzał właśnie zjeść śniadanie i zabrać się do pracy, gdy nagle usłyszał gruchanie gołębia. Zbliżył się do okna. W oddali ujrzał stodołę, która jakby przysiadła na wzgórzu. Gołąb znów się odezwał. John wrócił myślami do przeszłości. Znów miał dwanaście lat, leżał pod dachem stodoły, słoma łaskotała go w brzuch. Obserwował gołębie szukające ziaren zboża na klepisku.

Coś kazało mu wyjść z domu. Pod stopami czuł poranną rosę, na twarzy pierwsze poranne promyki słońca. Powietrze pachniało żyzną ziemią i świeżym sianem. Stare drzwi stodoły zaskrzypiały, kiedy je otwierał. Wszedł do środka. Światło przenikało przez krokwie dachu. Osioł wuja zary-czał Johnowi na powitanie.

- Dzień dobry, Henry - skinął głową i uśmiechnął się do zwierzaka. Zwykle zatrzymywał się, by go poklepać, dziś jednak coś innego zaprzętało mu głowę. Podeszedł do

Świąteczna przepowiednia

91

drabiny. Była stara, ale wciąż solidna i mocna. Szybko dostał się na poddasze. Kilka myszy uciekło z piskiem, para gołębi poderwała się do lotu.

Stawiał ostrożne kroki, a słoma chrzęściła mu pod nogami. W końcu położył się przy otworze, z którego roztaczał się widok na farmę wuja. Z tej odległości dom wydawał się mały i bardzo daleki.

Nawet potężne stuletnie dęby na podwórzu sprawiały wrażenie niepozornych.

To właśnie poddasze było miejscem, w którym oddawał się marzeniom jako dziecko. Przypomnił sobie teraz, że właśnie tak wyobrażał sobie wtedy niebo - miejsce, skąd można spoglądać w dół na ludzi małych jak mrówki. Ogarnęło go naraz wrażenie, że jego zmarła matka szybuje gdzieś ponad nim, obserwuje go i uśmiecha się do syna. A oto wuj, kochany wujek Roscoe ze skrzydłami u ramion udaje się do nieba, głośno wyrażając swą radość z tego powodu...

Otrząsnął się z rozmyślań, przywołał do porządku.

- Co za dziwactwa się mnie imają - powiedział głośno do siebie. Tu, na wsi stawał się stanowczo za bardzo sentymentalny.

Właśnie wstawał, kiedy zauważył samochód podjeżdżający pod dom wuja. Od razu rozpoznał auto. Należało do Ruth Mobley. Czego znowu chce ta dziewczyna? Przecież wczoraj wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie życzy sobie jej obecności.

Patrzył, jak wysiada z samochodu i idzie w stronę wejścia. Miała sprężysty krok, lekko poruszała biodrami, jej włosy lśniły w rannym słońcu. John poczuł ucisk w żołądku. Przypomnił sobie czasy, gdy miał dwadzieścia dzie-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

więc lat i był u progu kariery. Suzanne Cramer również tak chodziła, słońce tak samo rozświetlało jej włosy. Miała taką delikatną skórę. Była najbardziej urzekającą i pociągającą kobietą, jaką spotkał, nic więc dziwnego, że szaleńczo się w niej zakochał. Niestety, zbyt późno odkrył, że jej niewinność była tylko pozą, a miękkość oszustwem. Stanowiła przynętę, grała rolę płatnego informatora, którego zadaniem było przekazanie konkurencji informacjami, jakie zdobyła od niego w sprawie Matkinsa.

Odchrząknął. Zdał sobie sprawę, że trzyma coś w zaciśniętych kurczowo dłoniach. Wiecheć słomy. Odrzucił go ze złością. Odetchnął głęboko, by się uspokoić, po czym zszedł z poddasza. Kobieta taka jak Ruth Mobley, z tym swoim słodkim uśmieszkiem i niewinną gadką o przyjaźni... Nie, nie może jej zostawić z wujem sam na sam.

Zastał Ruth w kuchni. W pasie miała przewiązany fartuch, rękami zagniatała ciasto. Najwyraźniej nie usłyszała jego kroków, bo pochylona nad misą nuciła kolędę.

- ' Gzy zawsze przychodzi pani bez zaproszenia?

Przestraszona, aż podskoczyła. Odwróciła się do niego gwałtownie. Jej zaróżowione policzki były dokładnie takiego samego koloru jak sweter. Otarła twarz ręką.

- Wystraszyłeś mnie. - Uśmiechnęła się. Gdyby był to szczery uśmiech, można by nazwać go pięknym. Od czasu jednak, gdy poznał Suzanne, widział takie wystudiowane miny setki razy. - Nie słyszałam, jak wszedłeś, John.

A więc teraz jest dla niej Johnem... Zmienia taktykę.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Czy to przesłuchanie, mecenasie? - spytała, wciąż się uśmiechając.

Świąteczna przepowiednia

93

- Niech pani nie próbuje zmieniać tematu, panno Mobley.

- Mam klucz - odparła. - Kiedy chcę zrobić wujowi Roscoe niespodziankę, korzystam z niego. Dzisiaj rano pomyślałam sobie, że przygotowuję mu świeże bułeczki na śniadanie.

- Droga do portfela mężczyzny prowadzi przez jego żołądek, nieprawdaż?

Jej niebieskie oczy załśniły z gniewu. Starannie wytarła ręce w ścierkę i podeszła do niego. Zauważył, że Ruth ma na policzku ślad mąki. Siedem lat temu pochyliłby się i otarł go, ale dziś nie ruszył się z miejsca. Starał się nie czuć zapachu ciasta i miodu. Ona też pachniała czymś słodkim, stała bardzo blisko, widział wyraźnie jej usta, oczy, zgrabny nosek... Rozproszyło to jego uwagę.

- Żal mi ciebie, John - odezwała się, kiedy próbował zebrać myśli.

- Oszczędź sobie tego przedstawienia.

- Najwyraźniej nie wiesz, co to przyjaźń.

- Niech pani nie próbuje robić ze mnie głupca, panno Mobley. Gorzko się pani rozczaruje.

Już otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zamilkła. Widział, że stara się opanować.

- Nie przyszłam tu kłócić się z tobą - powiedziała po chwili i spojrzała na niego wyczekująco, ale on nie zamierzał ułatwiać jej zadania. Patrzył na nią badawczym spojrzeniem, tym samym, dzięki któremu w sądzie zyskał przydomek Jastrząb. Spodobało mu się, że nie speszyła się. - Przyszłam z przeprosinami.

- Przyjmuję.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Ruth oczekiwała czegoś więcej. W czasie jazdy na farmę wmówiła sobie, że wczorajsze zachowanie Johna było spowodowane zmęczeniem. Spodziewała się, że dziś będzie wobec niej miły i grzeczny, tak jak mężczyźni, do towarzystwa których była przyzwyczajona. Pomyliła się jednak. John Davis był potworem.

Przez głowę przemknęła jej myśl, żeby wyjść i nie wracać do tego domu, dopóki on tu będzie. Ale to byłoby tchórzostwo z jej strony. Nie mogła też opuścić wujka Roscoe, zwłaszcza teraz, przed Gwiazdką. Potrzebowali się nawzajem.

Przyjrzała się uważnie stojącemu przed nią Davisowi. Wyglądał młodziej niż wczoraj. Może sprawiło to inne ubranie - zamiast garnituru miał na sobie džinsy i sweter. I te kruczoczarne włosy... Na skroniach dostrzegła kilka srebrnych pasm, które dodawały mu tylko uroku. Fryzurę miał nieco roztarganą, jak mały chłopiec, który właśnie dokazywał w lesie. Nagle zauważyła suche źdźbło trawy na jego swetrze. Uśmiechnęła się. John Davis nie oparł się pokusie zabawy na sianie.

Wyciągnęła rękę. Oczy Johna pociemniały, schwycił jej dłoń i przycisnął do piersi.

- Panno Mobley, wystarczą konwencjonalne przeprosiny. Nie biorą mnie takie gesty.

Dobry Boże, on myśli, że chciała go uwieść! Tu, w kuchni wuja Roscoe! Jakby nie dość było tego upokorzenia, Ruth poczuła dziwne ciepło ogarniające dłoń, wciąż spoczywającą w jego uścisku.

Chyba powinna ją wyrwać, ale nie miała siły.

- Ja... - Nie mogła z siebie wykrztusić ani słowa. W końcu wyszeptała: - Siano.

- Siano? - John gwałtownie puścił rękę dziewczyny, zdjął ze swetra źdźbło i wrzucił do kosza na śmieci. - Poszedłem odwiedzić osła - powiedział i wzruszył lekceważąco ramionami. Nie wiedział, dlaczego, ale czuł się zakłopotany faktem, że musi się przyznać do swojej wizyty w stodole.

- Ach, tak. - Rūth ponownie obrzuciła spojrzeniem jego rozczochrane włosy i roześmiała się. - A już myślałam, że przyznasz się do porannej zabawy na sianie.

Te słowa zaskoczyły Johna. O mały włos również zaczął by się śmiać. Przypomniawszy sobie jednak natychmiast przewrotne kobiece sztuczki. Tak dobrze je znał. Słodka Ruth z pewnością wiedziała, jak je stosować. Ale jego nie nabierze. Zaraz przywołała ją do porządku.

- Zabawa na sianie... Tak, to z pewnością pomogłoby mi pokonać zmęczenie. - Wyciągnął do niej rękę. - Zechce się pani do mnie przyłączyć?

Uśmiech znikł z twarzy Ruth, a Johnowi zrobiło się niemal przykro. Ale tylko przez chwilę. Już dawno nauczył się oddzielać uczucia od interesów.

Ruth tymczasem cofnęła się. Oparta o drewniane kuchenne krzesło patrzyła na adwokata szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Jeśli to gra, pomyślał Davis, to jest w tym cholernie dobra.

- Żartujesz sobie - odezwała się.

- Przekonaj się. - Zrobił krok w jej stronę. Znalazł chyba świetny sposób na pozbycie się tej naciągaczki. Trzeba ją po prostu wystraszyć. - Czasem potrzebuję kobiety, a pani jest niczego sobie, panno Mobley. - Obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jeszcze nie mówisz mi po imieniu, a już proponujesz coś takiego? - Prowokująco uniosła brodę.

- Imiona nie mają znaczenia. Uczy się tylko przyjemność.

Milczała przez chwilę. Oczy jej błyszczały.

- Mam na imię Ruth - odezwała się w końcu.

Brawo za odwagę, pomyślał. Najwidoczniej nie docenił Ruth Mobley. Niełatwo będzie się jej pozbyć. Zdenerwowało go to. Musi rozgryźć tę osóbkę o delikatnej naturze, niesamowicie silnej woli i wprost królewskiej godności.

- Ruth... - powtórzył cicho i przysunął się do niej. -Zanim pójdziemy na siano, powinniśmy odbyć próbę, nie sądzisz, Ruth? - Położył jej rękę na ramieniu, drugą ujął za podbródek.

Nie odsunęła się. Tylko drgnięcie warg zdradziło jej napięcie.

- Jeśli myślisz, że w ten sposób się mnie pozbędziesz, to się mylisz.

- Nigdy się nie mylę. Ani w stosunku do przeciwników w sądzie, ani w przypadku kobiet. - John pogładził dłonią jej policzek. Miała miękką skórę i ponętne usta, pachniała zniewalająco słodko.

Doprawdy trudno było się jej oprzeć.

Dotknął palcem ust dziewczyny. Rozchyliła wargi. John niemal zapomniał o swoim wyrachowaniu.

- Stworzymy niezły duet, Ruth - wyszeptał, lecz i na tę prowokację nie doczekał się odpowiedzi.

Usłyszał tylko jej głośny oddech. Serce zabiło mu gwałtownie. Dobry Boże, po wszystkim, co powiedział, sądził, że dawno już jej nie będzie, że czmychnie, wystraszy się, ucieknie. - Jesteś ła-

komym kąskiem - dodał, zupełnie już tracąc dystans do tego, co robi. - Starczy na śniadanie i lunch. Jego pocałunek był gwałtowny. Ruth wydała jęk protetsu, jej ciało zeszywniało, on nie przejął się tym jednak. Przecież w tym, co robił, nie było ani odrobiny uczucia. Nauczył się tego po romansie z Suzanne.

Jeszcze chwila i Ruth poddała mu się. Rozluźniła ciało, usta czule oddały pocałunek. Oho, plan działa, pomyślał. Wpił się jeszcze mocniej w jej wargi i... I nagle poczuł się ofiarą własnej taktyki. Obudziły się w nim długo skrywane tęsknoty. Zdał sobie sprawę, że jego palce błądzą w gęstwinie jedwabistych włosów Ruth. Jej nieodparty urok działał. Czy to nie ona panowała teraz nad sytuacją?

Ujęła w dłonie jego twarz i delikatnie odsunęła go od siebie. Spojrzała mu w oczy, a jej źrenice były jak dwie gwiazdy.

- W uroczy sposób przyjąłeś moje przeprosiny, John - powiedziała miękko - ale w tej chwili muszę przygotować śniadanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ruth pogratulowała sobie w myślach. To, że wciąż trzymała się na nogach, wydawało się cudem. Kolana trzęsły się jej jak galareta. W kuchni panowała całkowita cisza, zakłócana jedynie przez miarowe tykanie ściennego zegara. Dlaczego John milczy? Stała do niego tyłem. Całą uwagę skoncentrowała na cieście. Nie ma co, wpakowała się w niezłą kabałę. Sądziła, że zdoła zachować kontrolę nad sobą, lecz przeliczyła się, i to grubo.

Po co w ogóle tu przyjechała? Pewnie, chciała go przeprosić, ale czy nie oszukuje czasem samej siebie? Przecież kiedy ujrzała Johna dziś rano, myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. A teraz jak wariatka ugniata ciasto, powstrzymując się całą siłą woli od tego, by znowu go pocałować. Boże, jak wspaniały był ten pocałunek! Najchętniej zaszyłaby się teraz w jakimś kącie i przeżywała raz jeszcze moment, kiedy znalazła się w ramionach Johna. O czym to świadczy, panno Mobley?

A o tym, że jesteś oszustką! Cały czas mówiła sobie, że pragnie spokojnego, wyrozumiałego i miłego mężczyzny, takiego jak jej ojciec. I oto poddaje się urokowi jakiegoś nieokrzesanego faceta, kiedy tylko ten bierze ją w objęcia. Nic dziwnego, że dotąd się z nikim nie zwią-

zała. Najwyraźniej szukała nie tam, gdzie trzeba. Widocznie pociągają ją pewni siebie, cyniczni karierowicze i tylko oni są w stanie dać jej rozkosz. Mało brakowało, a jęknęłaby głośno!

- Ruth, czy będziesz męczyła to ciasto cały dzień, czy może w końcu doczekamy się śniadania?

Aż wyprostowała się na dźwięk głosu Johna. Tak była zajęta swoimi myślami, że nie usłyszała, kiedy do niej podszedł. Stanął za nią blisko. Stanowczo za blisko.

- Nie pomyślałam, że możesz być głodny. - Uśmiechnęła się przez ramię. Powinna dostać medal za mistrzostwo w ukrywaniu własnych uczuć. Może minęła się z powołaniem? Może powinna zostać aktorką? - No, ale mężczyzna, który wkłada tak dużo wysiłku w to, by zrobić wrażenie na niewinnej wiejskiej nauczycielce, musi dużo jeść.

- Nie nazwałbym cię niewinną.

Czyżby spuścił z tonu? To dobrze. W takim razie ma szanse wyjść z twarzą z tej niezręcznej sytuacji.

- Za moment bułeczki będą gotowe. Mógłbyś nakryć stół na... - spojrzała na niego - na trzy osoby?

John zdumiał się, z jaką łatwością wypełnia jej polecenia. Z Suzanne też tak było. Gdy patrzyła na niego swoimi wielkimi niewinnymi oczami, niczego nie potrafił jej odmówić.

Zaczął przeszukiwać szafki w poszukiwaniu talerzy. Przynajmniej miał co zrobić z rękami, inaczej wziąłby ją jeszcze raz w ramiona. Była niesamowita, umiała stopić jego obawy, dotrzeć do serca.

Jeszcze teraz czuł w skroniach pulsującą krew... Co się z nim działo?

Nie, niemożliwe, by wszystko to stało się za przyczyną

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jednej kobiety. Z pewnością podzielał na niego urok farmy wuja.

A może ludzkie uczucia i pragnienia nie zanikły w nim jeszcze? Trudno było mu pogodzić się z tą myślą.

Odwrócił się i spojrzał na Ruth. Nie była piękną, za którą oglądają się wszyscy mężczyźni. W jej twarzy nie było właściwie nic szczególnego - usta miała nieco za szerokie, lekko zadarty nos, a oczy—niebieskie jak u tysięcy innych kobiet. A jednak jej postać przykuwała uwagę. Kobieta emanowała jakimś wewnętrznym ciepłem, chciało się do niej podejść, dotknąć, przytulić...

No nie! Skąd mu przychodzą do głowy takie głupstwa? Przecież od dawna nie wierzy już w te cuda. Miłość, małżeństwo - wszystko to bzdury. Ojciec Johna opuścił jego matkę w dwa dni po urodzeniu się syna. Za mało dowodów? Proszę, weźmy wuja Roscoe. Nigdy się nie ożenił. Widać nie warto. Oprócz tego sam John często miał okazję bywać na nieprzyjemnych rozprawach rozwodowych. Napatrzył się. Wystarczy.

Owszem, Ruth Mobley mogła rozpaść jego ciało, ale z pewnością nie była w stanie zmienić jego poglądów.

Odwrócił od niej wzrok i zaczął ustawiać nakrycia.

- Nie wierzę własnym oczom. - Roscoe Blake stanął w drzwiach kuchni. John i Ruth odwrócili się w jego stronę, a wuj uśmiechnął się do nich serdecznie. - Muszę być dobrym człowiekiem, skoro Pan Bóg jest dla mnie tak łaskawy. Dwie osoby, które najbardziej kocham, czekają na mnie w mojej własnej kuchni. - Usiadł przy stole. - Kiedy śniadanie? Umieram z głodu.
- Jeszcze momencik. - Ruth odetchnęła z ulgą. Roscoe

101

wybawił ją z opresji. Nałożyła wujowi jajecznicę, dodała świeżutką bułeczkę i podała mu talerz. Sama usiadła obok.

John zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Czuł się jak przestępca, któremu zawieszono wykonanie wyroku.

- Ruth wpadła na śniadanie - wyjaśnił.

- Widzę, synu. - Staruszek mrugnął do Ruth.

John zauważył to mrugnięcie. Zaniepokoiło go nieco, lecz zamiast analizować zachowanie wuja, skoncentrował się całkowicie na jedzeniu. Byle skończyć to wspólne śniadanko. Potem panna Mobley sobie pójdzie, a on już się postara, żeby więcej nie wróciła. Stanowiła zagrożenie nie tylko dla wuja Roscoe, ale i dla niego.

- Bułeczkę, Johnny? - Ruth wyciągnęła w jego stronę półmisek. Uśmiechała się przy tym anielsko. Wziął trzy. Wymamrotał pod nosem zdawkowe „dziękuję” i znowu zamilkł. Niech sobie myśli o nim, co chce. Niech uzna go za skończonego gbura i odludka. Przynajmniej nie będzie musiał jej widywać. Podczas gdy John oddawał się ponurym rozmyśleniom, Ruth i wuj Roscoe wesoło gawędzili.

- Johnny... Johnny! - Głos wuja wytrącił go z zadumy. Podniósł głowę i ujrzał, że oboje patrzą na niego.

- Coś mówiłeś, wujku?

- Powiedziałem, że Ruth przyjechała, żeby pomóc nam wybrać choinkę i ją przystroić. Czy to nie miłe?

- Dziękuję, Ruth, ale... poradzimy sobie sami. - Ze względu na wuja John starał się, by odmowa zabrzmiała jaknajgrzeczniej.

- Robiłam to przez ostatnie trzy lata. To już prawie tradycja.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ale z ciebie uparciuch, John. - Roscoe wstał i spojrzał na siostrzeńca. - Hej, wy dwoje, jazda do stodoły po Henry'ego! A ja idę po sweter.

- Wuju, nie sądzę, żeby... - zaprotestował John, ale staruszek zdążył już wyjść.

Ruth zaczęła zbierać talerze ze stołu.

- John, jeśli nie chcesz jechać, rozumiem. Musisz być wykończony po długiej podróży.

- Co mnie męczy, to przebywanie z dwojgiem tak upartych ludzi jak wy. Wuja Roscoe tłumaczy wiek, ale ty?

Odwróciła się do niego. Miała ochotę cisnąć o podłogę porcelanowym talerzem, który trzymała w dłoni, ale nie na próżno matka wbijała jej do głowy zasady dobrego wychowania. Mówiła jej też o mężczyznach, ale musiały to być marne lekcje, skoro wystarczyło kilka chwil, aby Ruth niemal bez reszty uległa urokowi Johna Davisa. Boże, pomóż mi się z tym uporać, poprosiła w myślach.

- To miłość - odpowiedziała. - Kocham twojego wuja, Johnny.

Adwokat poczuł się nieswojo wobec tak szczerego i bezpośredniego wyznania. Czy to możliwe, żeby ta dziewczyna naprawdę była tak dobra i bezinteresowna? Do licha, przecież jeszcze chwila, a jej uwierzy. Czyżby instynkt samozachowawczy wykształcony w Seattle nie działał w Missisipi?

- Ale-zająknął się-większość ludzi spędza Boże Narodzenie ze swymi rodzinami...

- Nie mam rodziny - odparła i nagle posmutniała. Serce Johna ścisnęło się na ten widok. Zapragnął wziąć

ją w ramiona i pocieszyć. Skąd u niego takie uczucia?

Świąteczna przepowiednia

103

- Miałam rodzinę - odezwała się znowu Ruth. - Wspaniała. Ale mama zginęła w wypadku samochodowym, gdy miałam dwadzieścia trzy lata. Tato zmarł wkrótce po tym. Chorował, w końcu zabiły go powikłania po zapaleniu płuc.

- Przykro mi. Naprawdę.

Ruth spojrzała na niego. Powiedział to szczerze. To chyba pierwsze miłe słowa, jakie od niego usłyszała.

- Hej... - Uśmiechnęła się. - Rany, co my robimy? Przecież mieliśmy zaprząć Henry'ego do wozu! - Wyciągnęła rękę. - Chodźmy!

Poprowadziła go za sobą do stodoły. John sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony chciał się pozbyć Ruth, ale z drugiej - niczego bardziej nie pragnął, niż wziąć ją znowu w ramiona. Stodoła jawiła mu się jako miejsce ze wszech miar niebezpieczne.

Henry zaryczał na powitanie, jeszcze zanim rozwarły się wrota, a kiedy weszli do środka, Ruth czule przemówiła do osła.

- Jak się masz, staruszkule? Tęskniłeś za mną? - Pieszczotliwie targała zwierzę za uszy. - Popatrz na siebie. Robisz się gruby jak baryłka. Oj, Henry, przydałaby ci się dieta.

- Dziwne. On zwykle nie toleruje obcych - odezwał się John.

- Obcych? Przecież jestem jego starą znajomą. - Uśmiechnęła się. Z zaróżowionymi policzkami wyglądała niezwykle świeżo i apetycznie. Promienie słońca wpadające przez szpary w dachu oświetlały jej twarz.

John zacisnął dłoń na uprzęży osła, która wisiała na

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ścianie boksu. Jego serce i zdrowy rozsądek wciąż toczyły ze sobą walkę. Nie miał pojęcia, któremu ulec.

- A więc... i wuj, i Henry ulegli twojemu czarowi.

- Mecenasiu, czyżby oskarżał mnie pan o uprawianie czarnej magii? - Uśmiechnęła się, chcąc dodać sobie pewności. Jednak widząc, jak intensywnym, przenikliwym wzrokiem wpatruje się w nią John, nie była w stanie zachować spokoju. Czuła serce podchodzące do gardła, usta, nagle suche i spieczone... Boże, co ten mężczyzna zamierza zrobić?

Spojrzała w górę, na poddasze, skąd dobiegał ciężki, intensywny zapach siana. John powędrował za jej wzrokiem.

- Nie obawiaj się. Dawno porzuciłem myśl o igraszkach na sianie.

Zaczerwieniła się. Przejrzał ją.

- Niczego się nie obawiam - wyszeptała, oblizując nerwowo usta.

Niech diabli porwą te niebieskie oczy!, pomyślał John. Jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą. Wiedział, że nie powinien tego robić. Mimo to uczynił dwa kroki w jej stronę. Poczłł słodki, podniecający zapach kobiecego ciała.

To tylko kobieta, taka jak wszystkie, wmawiał sobie uparcie, ale z marnym skutkiem. W tajemniczy sposób Ruth Mobley dowodziła mu swojej wyjątkowości. Jej obecność kazała mu znów wierzyć w miłość, czułość i prawdę.

Dosyć! Nie da się uwieść, otumanić, ogłupić! Kiedyś padł już przecież ofiarą takich diabelskich sztuczek.

Przerzucił uprząż Henry'ego przez barierkę boksu i odwrócił się do Ruth z zimnym, wyzywającym spojrzeniem.

105

- A może żal ci straconej okazji? - spytał ostro. Podskoczyła na dźwięk jego głosu. Uniosła rękę, chcąc wymierzyć mu policzek. John tylko na to czekał. Już czuł piekący ból na twarzy. Ten gest potwierdziłby jego podejrzenia co do osoby tego rzekomego niewiniątka. Zdemaskowałby ją. Nieoczekiwanie dłoń Ruth zetknęła się z jego policzkiem w geście niemal pieszczotliwym. Taki dotyk mają tylko anioły.

- Och, Johnny... Wyobrażam sobie twój ból.

- Ból? - Całkowicie zaskoczyła go tym stwierdzeniem. Włożył ręce do kieszeni.

- Tak. Rozumiem, czemu tak się zachowujesz. - Palcami gładziła go po policzku. - Wuj Roscoe opowiedział mi legendę o królikach... i to, że słyszał ich pieśń. - Objęła go rękoma w pasie. - Żal mi cię, Johnny. Tak bardzo mi cię żal - powiedziała miękko i położyła głowę na jego piersi. Serce zabiło mu tak gwałtownie, że na pewno to usłyszała. Bez wątpienia, pomyślał, Ruth Mobley jest mistrzynią kobiecych sztuczek.

A on broni się przed nią już tylko resztkami sił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Roscoe Blake zatrzymał się przy drzwiach stodoły, z trudem łapiąc oddech. Niestety, nawet krótkie przejście przez podwórze dawało się we znaki jego sercu. Zamrugał oczami, próbując przyzwyczać wzrok do półmroku panującego we wnętrzu, a to, co zobaczył po chwili, sprawiło, że niemal podskoczył z radości - Ruth i John stali blisko siebie. Dziewczyna złożyła głowę na piersi jego siostrzeńca. Nie, stary Roscoe nie bawił się w swata. Nigdy nie był przekonany do instytucji małżeństwa. Ten łajdak, za którego wyszła jego siostra, traktował ją jak szmatę. On sam nigdy nie znalazł **właściwej** kobiety. Jednak Ruth i John to zupełnie inna para kaloszy. Siostrzeńca traktował niemal jak syna, Ruth jak córkę. I nie znał dwóch wspanialszych osób na świecie niż oni. Jeśli pokochają się, czyż nie będzie to cudowne zrządzenie losu? A skoro już przyszło mu to do głowy, mógłby przecież trochę pomóc przebiegowi wypadków. Teraz musi dyskretnie się wycofać, niech działa natura...

Na palcach wszedł do stodoły i bezszelestnie przysiadł na niewielkiej przewróconej beczce. Dłoń Johna delikatnie dotknęła czubka głowy Ruth. Zaraz jednak cofnął rękę, jakby poraził go prąd.

107

- Nie, Ruth - westchnął ciężko.

- Co nie? - Uniosła głowę.

John uwolnił się z jej objęć i odsunął.

- Nie potrzebuję twojego fałszywego współczucia.

- Fałszywego? Czemu miałabym udawać?

- Czemu? Bo jesteś wspaniałą aktorką. - Odwrócił się raptownie od niej, z rozmachem otworzył drzwi boksu i sięgnął po lejce osła. Henry wcisnął się w róg, przewrócił oczami i zaryczał.

Nadzieje Roscoe'a uleciały. Nawet Henry widzi, jakiego bałwana robi z siebie jego siostrzeniec. Wstał i ruszył w stronę boksu.

- Mam nadzieję, Johnny, że staruszek Henry wymierzy ci solidnego kopniaka w sam środek siedzenia!

- zawołał wesoło.

John i Ruth spojrzeli na wuja wzrokiem dzieci przyłapanych na podkradaniu ciasteczek.

- Gdybym miał twoje lata - mówił dalej Roscoe, podchodząc do nich bliżej - dawno już baraszkowałbym na sianie z tak ładną dziewczyną. Tym bardziej, że sama dała ci do tego okazję. -

Staruszek spojrzał na Ruth, mrużąc oczy. - Spodobałoby ci się to, prawda?

- Ależ wujku Roscoe! - oburzyła się.

- Jesteś niedelikatny, wuju - odezwał się John i spojrzał ostro na Ruth.

Zrobiło się jej gorąco ze wstydu. Odwróciła się. Nie chciała, by Davis widział jej twarz. Oczywiście, trudno było oszukiwać siebie i twierdzić, że nie kusila jej perspektywa wspólnej zabawy na pachnącym sianie. Nie mogła się sobie nadziwić. John Davis zaintrygował ją, zafascyno-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wał i... uwiódł. Nieważne, że cały świat miał za swojego wroga, że nigdy się nie śmiał, nie dbał o maniery, a już najmniej o jej godność. Oczarował ją i już, a ona, z każdą chwilą ulegając coraz bardziej jego urokowi, czuła się tak, jakby zdradzała swego ojca, który był dla niej dotąd ideałem mężczyzny.

- Poczekam na zewnątrz, a wy zaprzęgnijcie Henry'e-go - powiedziała i skierowała się do wyjścia.

Wracaj do siebie, Ruth Mobley, dodała w myślach. Wracaj, póki nie jest jeszcze za późno...

Chłodny grudniowy wiatr owionął jej twarz. Chciała odejść, lecz poczucie obowiązku nie pozwoliło jej ruszyć się z miejsca. W końcu przyjechała tutaj, by pomóc ubrać choinkę i zrobi to. Zrobi, nie bacząc na zagrożenia, jakich może się spodziewać w towarzystwie Johna Davisa.

- Gotowe. - Usłyszała obok siebie jego głos.

- Świetnie. Jedźmy - odparła, odwracając wzrok. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Może zachwycający, zimowy krajobraz przywróci jej zdolność logicznego myślenia.

Ruszyli przez zaśnieżone pola. Ruth i John szli po przeciwnych stronach wozu, konsekwentnie unikając swego wzroku. Wuj Roscoe, jakby nigdy nic, prowadził żywą rozmowę z Henrym.

- Co sądzisz o naszych papużkach-nierozłączkach, Henry? Pasują do siebie, prawda? Jak zobaczyłem ich razem, od razu poczułem, że coś się święci... Ale popatrz, teraz zachowują się, jakby się w ogóle nie znali. Ech, życie jest za krótkie, by tak się męczyć na własne życzenie... Powiedz, co oni knują?

109

- Jediną osobą, która coś tu knuje, jesteś ty, wuju. - Zwykle Johna śmieszyły komentarze staruszka, ale teraz nie widział w nich nic zabawnego.
- John ma rację - Ruth wzięła jego stronę. - Powinieneś się wstydzić własnych słów, wujku.
- Ani mi się śni. Wstydzę się jedynie za mojego siostrzeńca. Kiedy miałem jego lata, nie przepuszczałem takim turkaweczkom jak ty! No powiedz, Henry, nie mam racji?
- Osiół zatrzymał się pośrodku drogi i odwrócił łeb w stronę pana. Zaryczał głośno.
- Widzicie, zgadza się ze mną. - Roscoe potrząsnął lejcami i Henry ponownie ruszył. - Bóg daje zwierzętom głos raz do roku, w Wigilię. A one zawsze mówią prawdę.
- Ruth i John spojrzeli po sobie. Przez całą drogę nie odzywali się już więcej.
- Gdy znaleźli się w lesie, dziewczyna dość prędko znalazła trzy idealne, według niej, drzewka. Każde z nich nadawało się do wykopania, załadowania do jutowego worka i postawienia w domu. Zachwalała je z taką gorliwością, że John domyślił się, że i ona chciałaby jak najprędzej zakończyć ten spacer.
- Wujowi nie podobało się jednak żadne ze wskazanych drzew. Pierwsze było zbyt drobne, drugie nie dosyć zielone, a trzecie - „bez charakteru”, cokolwiek miało to znaczyć. John pokazał mu kolejne świerki, wszystkie śliczne jak z obrazka. Roscoe Blake nadal jednak kręcił nosem.
- Po godzinie błądzenia po lesie John zdenerwował się wreszcie.
- Dosyć tego! Nie bawią mnie już twoje gierki, wuju.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Bierzemy pierwsze z brzegu drzewko i wracamy do domu. W takim stanie jak twój należy dbać o siebie. Musisz wypocząć. - Wziął szpadel z wozu i podszedł do małego cedru.

Wysilek, jaki musiał włożyć w kopanie, podział na niego oczyszczające. Od dawna już chciał dać upust swojej wściekłości, a teraz, dzierżąc w dłoniach ciężki szpadel, wreszcie miał ku temu okazję. Nie, nie był zły na wuja, nie chodziło nawet o Ruth. Był wkurzony na siebie. Gdzie się podział ten chłodny, opanowany i pewny siebie prawnik z Seattle? Tutaj, na Południu, nie był w stanie panować nawet nad swoim osiemdziesięcioletnim wujem!

Gdy znaleźli się z powrotem przed starą stodołą, nastrój Johna poprawił się nieco. Właściwie był niemal wesoły. Wysilek fizyczny i słońce tak go rozgrzały, że zdjął sweter, by lekki wiatr mógł chłodzić jego rozpalone ciało. Ukradkiem obserwował Ruth. Jej również dobrze zrobił ten spacer. Wyglądała świeżo, zdrowo i... niesamowicie pociągająco. Na szczęście John odzyskał już panowanie nad swoimi zmysłami.

- Ustawię drzewko. Będziecie mogli zacząć je dekorować, podczas gdy ja oporządzę Henry'ego.

Roscoe nie zaprotestował, Ruth również milczała. Zadowolony z siebie John wniósł cedr do mieszkania. W szafce w korytarzu wuj trzymał duże czerwone wiadro na choinkę. Mężczyzna delikatnie wstawił doń drzewko, starając się nie połamać korzeni, gdyż po świętach, zgodnie z tradycją, cedr miał wrócić do lasu.

- W porządku, gotowe - oznajmił i otrzepał ręce. - Można dekorować.

111

- Jestem skonany - odezwał się wuj. Siedział w swoim fotelu, dłoń przyłożył do czoła.
 - Wujku Roscoe, co się stało? - zapytała troskliwie Ruth i podbiegła do staruszka.
 - Po prostu muszę chwilę odpocząć. Pójdę się położyć. Myślę, że poradzicie sobie beze mnie. - Zerknął na siostrzeńca przez palce. John miał minę, jakby wypił szklanekę soku z cytryny. Roscoe zagryzł usta, żeby powstrzymać się od śmiechu.
 - Pozwól, że cię zaprowadzę. - John podniósł wuja z fotela i zaprowadził do sypialni. Pomógł ułożyć się na łóżku i zdjął mu buty. - Czy mam zadzwonić po lekarza?
 - To nie serce, Johnny, to wiek. Idźcie, udekorujcie choinkę. Przyda się wam trochę zabawy.
 - Powiedz, wujku, czy ty coś knujesz? Jeśli okaże się, że tak, nie ujdzie ci to na sucho.
 - Jak możesz podejrzywać mnie o jakieś niecne myśli? Zwłaszcza teraz, przed Bożym Narodzeniem? Zachowuję się najlepiej, jak umiem, by zasłużyć na swoją szlafmycę. John wygładził pościel i poklepał wuja po ręce.
 - Przepraszam. To był męczący dzień. Odpocznij trochę.
 - Dziękuję ci, synu. Tylko nie zepsuj mi choinki! - zawołał jeszcze, gdy John był już przy drzwiach. - Ruth pokaże ci, jak zawiesić bombki.
- W salonie Ruth z niepokojem czekała na pojawienie się Johna.
- Jak on się czuje? - zapytała.
 - Jest zmęczony, ale poza tym chyba wszystko w porządku.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- To dobrze. - Spojrzała na drzewko. - Przyniosę bombki.

- Nie musisz zostawać, jeśli nie chcesz. Poradzę sobie sam.

Ruth poczuła iskierkę nadziei. Nie błaga jej, co prawda, żeby została, ale i nie wyrzuca. Zachowuje się lepiej niż rano, więc może warto mieć nadzieję? Ale nadzieję na co?

- Chcę zostać - oznajmiła i spojrzała mu prosto w oczy. Od razu zakręciło jej się w głowie. - To znaczy... Zawsze pomagam wujowi ubierać choinkę. Od sześciu lat.

- Ale przecież ja umiem powiesić bombki.

- Naprawdę? - spytała, mając wyschnięte gardło. Cała płonęła. To raczej ona powinna położyć się do łóżka. Stała jej przed oczami obraz siebie leżącej w pościeli. Jest naga, John obok niej. Dżinsy ciasno przylegają mu do bioder, wilgotna koszulka opina wspaniale umięśnioną klatkę piersiową. Zerknęła na jego tors. Faktycznie, niezły.

- Oczywiście - odparł John i postąpił krok w jej stronę. Przez chwilę myślała, że chce jej dotknąć, zatrzymał się jednak przy bujanym fotelu. - Ruth - odezwał się cichym głosem - może moje zachowanie wzbudziło w tobie wątpliwości, ale urodziłem się w normalnej rodzinie. Przynajmniej taka była przez dwa dni.

Przez jego twarz przebiegł grymas. Nie była pewna, czy to bolesne wspomnienia tak nagle odmieniły jego rysy, czy też to złożone jej nieoczekiwane wyznanie - tak zaskakująco spokojne i szczere.

- Dwa dni? Co się potem stało? - Patrzył gdzieś poza nią. - Odezwij się, Johnny... Co się stało?

Nagle uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech radości.

113

- Dobrze, Ruth, rób co chcesz. Zostań, idź, bylebyś tylko nie przeszkadzała wujowi. Odpoczywa. -
Wyszedł z pokoju, nawet na nią nie spojrzawszy. Usłyszała tylko trzaśnięcie frontowych drzwi.

- Johnny! - zawołała. - Johnny, zaczekaj!

Pobiegła za nim, ale John prowadził już Henry'ego do stajni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ruth z trudem powstrzymywała łzy.

- Wspaniały wieczór... - wyszeptała do siebie i uśmiechnęła się gorzko. Ten dzień zapowiadał się tak pięknie, a teraz? Wuj leży w łóżku, zmęczony swoją nieudaną intrygą, Johnny poszedł do stodoły i prawdopodobnie obmyśla jakąś straszną zemstę, a ona została sama z choinką do ubrania.

Oszczędziłaby sobie tych przykrości, gdyby została w domu. Siedziałyby teraz w swoim przytulnym mieszkanku, pakowałyby prezenty lub robiła czekoladowe karmelki.

Z drugiej strony, gdyby została w domu, nigdy nie dowiedziałyby się, jak to jest być obejmowaną przez Johna. Ciekawe, jak długo zostanie w stodole? Czy pospieszy się, aby spędzić z nią jeszcze chwilę? Czy dotknie jej znów?

Spojrzała na pusty pokój.

- Ruth Mobley - powiedziała do siebie tak, jak mówiła do uczniów. - To, że czegoś chcesz, nie ułatwia jeszcze sprawy. Ubieraj choinkę i jazda do domu!

Zdjęła z górnej półki szafy pudło z ozdobami i zaczęła oddzielać lampki od reszty świecidełek. Kiedy skończyła, poczuła się znacznie lepiej. Praca zawsze tak na nią działała.

Świąteczna przepowiednia

115

Johna wciąż nie było. Jak długo można wypręgać osła? Nie, nie będzie o tym myśleć. Pójdzie do kuchni zrobić sobie herbatę, a potem dokończy ubierać drzewko.

Tymczasem John zdjął uprząż z osła i wyczyścił spocone zwierzę. Choć czynności te celowo wykonywał wolniej niż zwykle, nie zabrały mu zbyt wiele czasu. Ruth pewnie jeszcze nie odjechała. Czy stoi teraz przed choinką z naręczem błyskotek? Mógł się o tym przekonać na dwa sposoby: po prostu wrócić do domu albo... Wiedział, że to czyste tchórzostwo, ale zdecydował się wspiać na poddasze.

Z góry spojrział w stronę domu. Samochód Ruth wciąż stał na podwórzu. Czekał tak na ciepłym sianie dwadzieścia minut, ale kobieta wciąż nie wychodziła. Wreszcie podniósł się i otrzepał dzinsy ze słomy. Co on wyprawia? Dorosły mężczyzna, a chowa się w stajni. Gdyby któryś z jego współników z firmy zobaczył go teraz, umarłby ze śmiechu lub przysłał po niego facetów z kaftanem bezpieczeństwa.

Dość tego! Musi jak najprędzej wrócić do domu i skończyć tę idiotyczną historię.

Kiedy wszedł do pokoju, Ruth pochylała się nad pudłem z zabawkami. Zmieszał się na ten widok, ale tylko na chwilę.

- Myślałem, że już skończyłaś.

Odwróciła się. Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów. Wyglądała teraz tak uroczo, że John zaczął żałować, iż nie został w stajni.

- Nie mogę znaleźć gwiazdy.

- Słucham?

- Wiem, że powinna tu być. Jestem pewna, że ją widziałam.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

John zdusił w sobie chęć przyłączenia się do poszu- ' kiwań.

- Choinka wygląda wspaniale - powiedział tylko. Mówił szczerze: jasne lampki, łańcuchy i błyszczące ozdoby zmieniły cedrowe drzewko nie do poznania. Ruth najwyraźniej miała dar przekształcania rzeczy zwykłych w wyjątkowe. - Jest tak piękna, że nie potrzeba jej gwiazdy.

- Każda choinka musi mieć gwiazdę. - Znowu zaczęła grzebać w tekturowym pudle. Jednak robiła to tylko po to, by ukryć swoje zmieszanie. Jej ręce same rwały się do Johna. Odgadła, że leżał na sianie, źdźbła słomy przyczepiły mu się do spodni.

- Ruth. - Usłyszała, ale nie odwróciła się. - Ruth, spójrz na mnie. - Tym razem głos Johna zabrzmiał ostro. Niechętnie spełniła jego polecenie. - Drzewko jest już ubrane.

- Czy to oznacza, że mam sobie iść?

- Zrozum to, jak chcesz.

Zamilkł. Nie miał zamiaru wyjawiać jej prawdziwego **powodu**, dla którego chciał, żeby sobie poszła.

- Ale ja nie wiem, jak mam to rozumieć. Nie wiem, o co ci chodzi. Staralam się z tobą zaprzyjaźnić - powiedziała. - Przeprosiłam cię. Upiekłam ciasteczka, przygotowałam śniadanie, poświęciłam sobotnie przedpołudnie, by tu przyjechać i ubrać wam choinkę...

- Już nie musisz się więcej trudzić. Sam zajmę się wujem.

- Chętnie pomogę.

- W takim razie - westchnął - czy czek na pięćset dolarów wystarczy?

- Pięćset dolarów? Chcesz się mnie pozbyć, dając mi pięćset dolarów?

- Chcesz więcej?
- Boże, kim ty jesteś? - Zacisnęła dłonie w pięści.
- Człowiekiem patrzącym realnie na świat.

Ruth odwróciła się. Zrobiła po pokoju kilka nerwowych kroków. Wreszcie stanęła przed Johnem i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jak śmiesz mnie tak traktować?! Jak śmiesz wyrzucać mnie z tego domu?! Jesteś potworem! Tak, teraz żałuję każdego życzliwego gestu... każdego ciastka, które dla ciebie upiekłam...

- Dla mnie?

- Dla... dla wujka Roscoe - poprawiła się szybko. Zaczynała tracić rezon. Była na niego wściekła, a zarazem tak bardzo pragnęła go dotknąć. Jej serce rwało się do Johna. Wiele by dała, by wiedzieć, jakie są przyczyny jego odpychającej postawy.

Znów spojrzała mu w oczy, śmiało, prowokująco, odważnie. Ani drgnął.

- Dobrze - rzuciła krótko. - Będziesz miał choinkę bez gwiazdy. Idę do domu.

- Krzyżyk na drogę.

- Ale nie ciesz się, ja wrócę.

- Nie mam wątpliwości. Czy to mój sprzeciw tak cię napędza do działania?

- Nie, wyzwanie.

- Nie radzę ci ze mną zaczynać, Ruth. Nigdy nie przegrywam.

- Nie bądź zarozumiały. To się okaże. Aha, i daj mi Henry'ego.

- Ośła?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Co roku jest gwiazdą szopki, którą wystawia moja klasa. Ciężko jest zmusić go do występu, ale warto spróbować. Do widzenia, John. Do zobaczenia. - Pożegnała go beztroskim uśmiechem.

- Po moim trupie - wymruczał, kiedy już wyszła. Za moment usłyszał warkot silnika.

Ruth jest szalona, pomyślał. Szalona i... zachwycająca. Niektóre kobiety stawały się brzydkie w złości. Czerwieniły im się nosy, dostawały plam na twarzy. Inne zaczynały płakać. Ruth, gniewając się, stawała się jeszcze piękniejsza.

Usiadł w bujanym fotelu wuja, położył głowę na oparciu. Czuł się wyczerpany i wewnętrznie pusty. Wobec Ruth zachowywał się karygodnie i był tego świadomy. A przecież naprawdę nie jest taki. Czy jednak mógłby zniechęcić ją do siebie w inny sposób? Zresztą, i ten nie okazał się skuteczny - Ruth zapowiedziała, że wróci. Po osła.

Odetchnął głęboko. Poczul delikatny zapach dymu z cygara. Natychmiast ruszył do sypialni wuja. Staruszek siedział na środku łóżka, przykryty po szyję, i zrozbrajająco niewinną miną palił duże cygaro.

- Wujku, przecież wiesz, że nie wolno ci palić.

- Bzdury. Nie pozwalają człowiekowi już na żadne przyjemności. - Roscoe Blake wyjął cygaro z ust i wyciągnął w stronę siostrzeńca. - No dobrze, proszę.

John pomyślał, że wuj podejrzenie łatwo się poddaje. Usiadł obok i wziął cygaro.

- O co ci chodziło? - spytał, gasząc je w popielniczkę.

- Dlaczego sądzisz, że czegoś chciałem?

- Masz to wypisane na twarzy.

119

- Johnny, nie jesteś w sędzie, ale w mojej sypialni. -Zamknął oczy i oparł się o poduszki.

John poprawił kołdrę i miał już wyjść, gdy instynkt podpowiedział mu, że coś jest nie tak. Jednym ruchem odkrył kołdrę. Przy nogach wuja leżała gwiazda, której bezskutecznie szukała Ruth.

- Widzę, że nie próżnowałeś, wuju.

- A jakże. Gdyby nie ja, Ruth wyszłaby, zanim wróciłbyś ze stajni - zachichotał. - Zwinąłem gwiazdę, kiedy poszła do kuchni.

- Wuju, masz odpoczywać, a nie wtrącać nos w nie swoje sprawy.

- Ale to-jest o wiele zabawniejsze. - Roscoe usiadł na łóżku. - Dlaczego ona już wyszła? Znowu się pokłóciliście?

- Nigdy się nie kłóczę, wuju.

- Pewnie, pewnie.

Choć John wiedział, że wuj bez entuzjazmu przyjmie jego wyjaśnienia, postanowił wyjaśnić mu swoje postępowanie.

- Po prostu nie zgadzamy się w pewnej kwestii... - zaczął.

- To znaczy?

John, zanim odpowiedział, pomyślał o dzisiejszym zajściu. Nieporadne próby ujarznienia drobnej i niepozornej Ruth wydały mu się teraz śmieszne. Oto on, John Davis, nieustraszony adwokat!

Roześmiał się. Zaraził śmiechem wuja. Po chwili łzy potoczyły się po policzkach staruszka.

- O, już czuję się lepiej. Powiedz mi tylko Johnny, z czego tak się śmieliśmy.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Z Ruth Mobley. Biedaczka wierzy, że ze mną wygra.
- A o co gracie?
- O Henry'ego. Chce go do szopki noworocznej.
- Ico?
- Odmówię jej. Przy twoim zdrowiu, nie powinieneś kłopotać się o dostarczenie osła na występ.
- Henry obrazi się na śmierć. Uwielbia te szopki. Co roku wyczekuje na spotkanie z dziećmi.
- Ależ, wuju, osły nie są zdolne do takich myśli. Henry nawet nie wie, że zbliża się Gwiazdka.
- Niechby ciebie tylko usłyszał! Może obmyślić okropną zemstę.
- Poradzę sobie z nim. A teraz przygotuję lunch. Potem zabiorę się za dokumenty twojej farmy. Nie chcę, żebyś się martwił o jakiejkolwiek sprawy prawne.

Idąc za siostrzeńcem do kuchni, Roscoe Blake myślał intensywnie. Wizja Ruth i Johna tworzących szczęśliwą parę tak bardzo przypadła mu do gustu, że nie chciał z niej zbyt łatwo rezygnować. Musi coś wykombinować, póki jeszcze może. Te głupie króliki pewnie pomyliły go z którymś z sąsiadów. A może w ogóle ich nie było? Przecież jest już stary i ma kłopoty ze słuchem. Jak nic robi z igły widły. W czasie lunchu dopracował swój plan i gdy po jedzeniu John zaproponował wspólne przejrzanie dokumentów, skrzywił się i zaprotestował gwałtownie.

- To takie nudne, Johnny, zmusza mnie do myślenia o śmierci. Odłóżmy to na później.
- Przepraszam, wuju. Oczywiście, że możemy zająć się tym kiedy indziej.

121

Roscoe promieniał. Siostrzeniec nie wyczuł żadnego podstępu.

- Johnny, chciałbym, żebyś pojechał kupić prezenty świąteczne. Przygotowałem już listę osób, którym chciałbym coś podarować.

John zgodził się i kilka minut później, już przebrany, ruszył swym wynajętym samochodem w stronę miasta, podczas gdy wuj podreptał do stajni, by porozmawiać z Henrym.

Gdy Ruth niespodziewanie ujrzała Johna w dziale kosmetycznym, w pierwszym momencie miała ochotę schować się wśród półek i niepostrzeżenie wyjść. Wciąż miała świeżo w pamięci chwilę, gdy próbował ją przekupić, byle tylko opuściła drogiego wuja Roscoe.

Rozsądek podpowiedział jej jednak, by zostać w sklepie. Nie jest tchórzem, a poza tym do Bożego Narodzenia zostało tak niewiele dni. Uniosła więc głowę i kontynuowała zakupy. Co jakiś czas zerkala jednak na Johna. Stał przy stoisku z perfumami i wahał podawane mu próbki.

Ruth zapłaciła. Nawet nie widząc Davisa, wciąż czuła jego obecność, jakby stał tuż za nią. Oblała ją gorąca fala. Usiłowała zapanować nad swoim ciałem, ale na próżno.

- Wesółych świąt, panno Mobley! - powiedziała ekspedientka, oddając Ruth jej kartę kredytową.

- Wesółych świąt!

Była już w połowie drogi do wyjścia, kiedy pomyślała, że nie może tak po prostu odejść. Zgoda, jest głupia, romantyczna, ma za miękkie serce. Ale tam stoi mężczyzna

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jej marzeń, musi więc działać. Zacisnęła dłoń na torbie i podeszła do Johna, wciąż zajętego wybieraniem perfum.

- Cześć, Johnny.

Odwrócił się. Tylko nieznaczny błysk oka zdradził, że się znają. Zaraz potem jego twarz przybrała kompletnie obojętny wyraz.

- Nie spodziewałem się ciebie tutaj, Ruth.

- Ja również.

Patrzył jej głęboko w oczy, jakby chcąc się przekonać, czy dziewczyna mówi prawdę. Och, Johnny, uwierz mi, proszę, pomyślała.

Niespodziewanie uśmiechnął się. Jego twarz rozjaśniła się, oczy zabłysły. Znow zrobił się podobny do psotnego dziesięciolatka.

- Skoro jesteśmy na neutralnym gruncie, powinniśmy być dla siebie uprzejmi - powiedział.

- Chyba tak. - Zrobiła krok do przodu. Dotknęła go delikatnie ramieniem i nie był to przypadek.

Wstrzymała oddech, \żekając, aż John się odsunie. Nie zrobił tego jednak, a Ruth podziękowała Bogu, że jest dla niej tak łaskawy. - Kupujesz perfumy? - zapytała pogodnie.

- Tak. - Znow się uśmiechnął. - Niestety.

- Może mogłabym pomóc. Czy to prezent dla kogoś wyjątkowego?

Popatrzył na nią. Poczowała, że się czerwieni.

- Powiedzmy, że tak.

- W takim razie... - Zmarkotniała. Przez myśl jej nie przeszło, że John może być z kimś związany. A przecież z takim wyglądem i pozycją prawdopodobnie był w Seattle nieustannie otoczony wianuszkami kobiet. - Cóż... - sta-

123

rała się, by jej głos brzmiał normalnie - jeśli mi ją opiszesz, spróbuję ci pomóc.

- Czasem jest jak letnia burza z piorunami, a chwilę potem okazuje się fiołkiem schowanym w leśnym runie, pięknym, delikatnym i nieśmiałym. - Spojrzał na nią. Ruth aż zaparło dech w piersiach.

- Musisz ją bardzo kochać - wyszeptała, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczami.

John poczuł, jak gorąca namiętność wypełnia mu serce. Boże, co się z nim dzieje? Czyżby zakochał się w tej kobiecie? Niemożliwe, miłość to zajęcie dla głupców, naiwniaków, nie dla niego.

Odsunął się i wziął do ręki pierwszy lepszy flakonik perfum.

- Co o tym sądzisz? - spytał z nienaturalnym ożywieniem.

- Dla kobiety, którą opisałeś, najlepszy byłby zapach przypominający letnie kwiaty.

Kapryfolium. Jak mógł zapomnieć, czym pachnie Ruth? Nawet tutaj, w sklepie, czuł ten delikatny, słodki zapach. Kiedy trzymał ją w ramionach, wachał jej włosy i skórę przesycone wonią kapryfolium.

- Dziękuję, Ruth, bardzo mi pomogłaś.

- Cieszę się - odpowiedziała. Pomachała mu jeszcze i odeszła od stoiska, zostawiając Johna z buteleczką ze rżniętego szkła w dłoni.

Prezent dla innej kobiety. Perfumy dla kobiety, którą opisał w tak romantyczny sposób...

Ze ściśniętym sercem przeszła do działu skarpetek i krawatów. Kiedy miała pewność, że już jej nie widać, zerknęła

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ukradkiem na Johna zza wieszaków. Boże, co na to powiedziałyby jej matka, gdyby jeszcze żyła? Pewnie próbowałyby wybić jej z głowy miłość do faceta, który ma inną. Zarzuciłyby jej brak szacunku dla samej siebie. Ale matka nigdy przecież nie знаła Johna Davisa.

- Czym mogę służyć?

Podskoczyła ze strachu. Trzymając w dłoni kilka krawatów, odwróciła się do ekspedienta, który stał za jej plecami.

- Czy decyduje się pani na któryś? Wspaniale się nadają na gwiazdkowe prezenty.

- Tak... Wezmę ten. - Podała mu jeden z trzymany krawatów.

Nie, to niemożliwe, myślała, idąc do kasy. Przecież nie mogła tak szybko się zakochać. Może to wcale nie miłość, tylko świąteczny nastrój tak ją rozczulił... ?

Ekspedient podał jej krawat. Włożyła go do torby i po raz ostatni spojrzała w stronę działu perfumeryjnego.

Johna już nie było. Zamiast podarować mu ten krawat, miała ochotę własnoręcznie go nim udusić. Za to, że kocha inną.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W sobotni wieczór, o dziewiątej, Henry zaczął ryczeć. Kiedy zaczął się ten ośli koncert, John i wuj Roscoe grali w warcaby w salonie.

- Co się stało Henry'emu? - spytał John.

- Prawdopodobnie będzie padać. Pamiętasz, on zawsze dostaje szału przed burzą.

- Według prognozy na niebie nie powinno być ani chmurki.

- A niby skąd ci przepowiadacze mogą wiedzieć? Henry bije ich na głowę. - Uśmiechając się szelmowsko, wuj zrobił swój ruch. - Damka! Grasz dziś nieuważnie, mój synu. Ruth jest od ciebie lepsza.

- To samo powiedziałaś o moim pakowaniu prezentów.

- Niepotrzebnie cię posłuchałem. Powinienem być do niej zadzwonić. Ona na pewno umie zawiązać porządną kokardę. Zresztą ona wszystko umie zrobić. Jest też niegłupia. Czy mówiłem ci, że zdobyła nagrodę nauczycielską?

- Trzy razy... - Ze stodoły znów dobiegł przeraźliwy ryk Henry'ego. John nie wytrzymał, wstał i zaciągnął zasłony, jakby mogło to cokolwiek pomóc. - Co się dzieje z tym osłem?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Myślę, że jest zły, iż zabroniłeś mi występu w szopce. Uwielbia Ruth.

John nie ośmielił się powiedzieć wujowi, że on też ją polubił. Mimo niechęci, uprzedzeń, fatalnych doświadczeń z przeszłości, wbrew własnym chęciom polubił tę dziewczynę. A nawet więcej - czuł się nią zauroczony. Nie zwykł jednak wplątywać się w beznadziejne historie, a miłość i małżeństwo tym dla niego były. Dlatego nie zamierzał wzbudzać nadziei wuja.

Henry znów zaniósł się rykiem. Najwyraźniej obce mu było pojęcie cierpienia w milczeniu.

- Mam tego dość, idę go uspokoić. - John wstał.

- Marne szanse - mruknął Roscoe, gdy młody człowiek wyszedł. Do czasu powrotu siostrzeńca siedział

i uśmiechał się do siebie. Nie minęły dwie minuty i John wrócił, wzburzony i zdenerwowany.

- Osioł oszalał! - oznajmił. - Wali kopytami w ściany boksu, przewraca oczami i ryczy bez przerwy. Nigdy go takim nie widziałem.

- Czemu go nie uspokoiłeś? - spytał niewinnie staruszek. Dobrze znał przyczynę humorów osła, ale nie zamierzał jej zdradzić.

- Nawet nie pozwolił mi się zbliżyć.

- Zadzwoń po Ruth. Ma na niego dobry wpływ.

- To mój problem i poradzę sobie sam. Robi się późno, wuju, idź do łóżka. Jeśli Henry się nie uspokoi, zadzwoń po weterynarza. Może boli go brzuch - powiedział i wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Roscoe złapał za telefon i wykręcił numer do Ruth.

Była już w piżamie, kiedy zadzwonił telefon. Zaniepokoiła się, słysząc w słuchawce głos wuja Roscoe.

- Czy coś się stało?
- Wszystko będzie świetnie, jak tylko tu przyjedziesz.
- Ale... Dobrze się czujesz, prawda?
- Jasne, ale poczuję się jeszcze lepiej, gdy cię zobaczę. Ruth spojrzała na zegar. Było już po wpół do dziesiątej.

Normalnie nie zastanawiałaby się ani minuty, tylko natychmiast wsiadła w samochód, ale teraz nie miała wielkiej ochoty na kolejną scysję z Davisem. - A gdzie John?-spytała.

- W stodole.
- O tej porze?
- Ruth, jesteś mi natychmiast potrzebna. Henry szaleje, a John nie może sobie z nim poradzić.
- Wujku Roscoe, wiesz, że zawsze jestem do twojej dyspozycji, ale sądzę, że John lepiej zajmie się Henrym.
- Widzę, że mnie już nie kochasz, Ruth.
- To szantaż, wujku. - Roześmiała się. - Nie skutkuje.
- Dobrze, upieraj się przy swoim, ale jeśli nic nie wyjdzie z mojego planu, to mogę naprawdę się rozchorować. Zobaczysz, przestanę jeść.

Ruth nie mogła się zdecydować. Staruszek nie był aż tak nierozsądny, żeby głodować. Z drugiej strony, po co kusić los? Ze względu na dobro wuja, mężnie stawi czoło Johnowi Davisowi.

- Zaraz będę - powiedziała, odłożyła słuchawkę i zaczęła się ubierać.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie tylko troska

GWIAZDKA MIŁOŚCI

o zdrowie wujka każe jej porzucić ciepły dom i wyjść na zimne, grudniowe powietrze. Swój udział miał w tym również John Davis. Zrobiłaby wszystko, byle tylko móc go zobaczyć. Nigdy nie przypuszczała, że takie są przejawy miłości - być wdzięcznym losowi za każde, choćby i przypadkowe, spotkanie z ukochanym, nawet jeśli ten nie odwzajemnia jej uczucia.

Dwadzieścia minut później była już na farmie. Wuj Roscoe czekał na nią w salonie.

- Co dolega Henry'emu? - spytała.

- Cebula.

- Cebula?

- Wiesz, jak jej nienawidzi. - Ruth przytaknęła, a Roscoe mówił dalej: - Kazałem robotnikowi podłożyć do boksu kilka cebul. Od dziewiątej Henry nie zamknął się ani na chwilę.

- Wujku Roscoe! Dlaczego? - spytała, choć domyśliła się przebiegłego planu staruszka, który najwyraźniej bawił się w swata. Poczuli się zażenowana na myśl, że z wielką ochotą wspomocze wujka w jego staraniach. Cóż, cel uświęca środki.

- Chciałbym mieć kilkoro wnuków, a sądząc po sposobie, w jaki na siebie patrzycie, wywnioskowałem, że mogłoby coś z tego wyjść.

- Ależ, wujku! - Roześmiała się Ruth, a staruszek zawtórował jej donośnie. Po chwili przysunęła się z krzesłem bliżej jego fotela i oznajmiła konspiracyjnym szeptem: -John mnie nie kocha. Właściwie wydaje mi się, że nawet mnie nie lubi. Ma kogoś w Seattle... - Zamilkła. Nie powinna roztrząsać prywatnych spraw Johna. Nawet jeśli go kocha, nie ma takiego prawa.

- A czy ty go kochasz?

Rzeczowe i otwarte pytanie wuja zaskoczyło ją. Miała ochotę zaprzeczyć. Po co się łudzić? Przecież John wyjedzie, a ona zostanie tu ze złamanym sercem. Jednak nie umiała kłamać.

- Tak, wujku. Kocham go - powiedziała.

- A więc uwierz mi, że w życiu Johna nie ma żadnej innej kobiety. Pozwól, że opowiem ci całą historię...

W ten sposób dowiedziała się o ojcu Johna, o jego doświadczeniach z Suzanne i wyniesionej z nich awersji do kobiet, pogłębionej jeszcze w wyniku obserwacji, jak zachowują się w sądzie rozwodzące się małżeństwa. Roscoe Blake był mądrym człowiekiem. Doskonale rozumiał swego siostrzeńca i kochał go ponad wszystko.

Gdy skończył, Ruth siedziała przez chwilę nieruchomo. Potem pochyliła się i pocałowała staruszkę w policzek.

- Dziękuję ci, wujku. Połóż się teraz.

- Dokąd idziesz, Ruth?

- Do stodoły. Są tam dwa dzikie stworzenia, które muszę obłaskawić.

John nie słyszał, kiedy "Ruth weszła do stajni - Henry robił zbyt wiele hałasu. Od dłuższego czasu usiłował uspokoić zwierzę, ale osioł wciąż wydzierał się jak opętany.

- No już, spokojnie, malutki, spokojnie... - Chciał podejść bliżej, lecz wierzgające kopyta były przeszkodą nie do przebycia. - Nikt nie zrobi ci krzywdy, Henry. Spokojnie. - Wyciągnął rękę. - No już, co ci jest?

- Wiem, co mu się stało.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

John odwrócił się. Jego twarz rozpogodziła się na widok Ruth. Nagle zrobiło mu się dziwnie lekko i wesoło.

- Co tu robisz? - zapytał i wyszedł z boksu.

- Wuj Roscoe po mnie zadzwonił.

Stali naprzeciwko siebie jak dwóch gladiatorów szykujących się do walki na arenie. Ruth miała ochotę od razu wyznać mu swą miłość, ale rozważa powstrzymywała ją. John zaś tak zatęsknił za jej ramionami, że wepchnął ręce do kieszeni, byle tylko nie ulec swym pragnieniom.

Z transu wyrwał ich dopiero kolejny przeraźliwy ryk osła. Ruth przeszła obok Johna, zostawiając za sobą woń kapryfolium. Rozmarzył się i zapomniał na chwilę o bożym świecie, lecz gdy zdał sobie sprawę, co dziewczyna chce zrobić, schwycił ją za ramiona.

- Nie możesz tam wejść. Henry jest niebezpieczny.

- Muszę zabrać cebulę, wtedy się uspokoi.

- O czym, do diabła, mówisz?

- Wuj Roscoe podłożył mi kilka cebul. To go tak rozwścieczyło. Nie znosi ich.

- Cholera, powinienem się domyślić, że to on za tym stoi. Wiesz, gdzie są?

- W woreczku, po drugiej stronie boksu. - Wskazała. John puścił ją i sam otworzył bramkę. Gdy wchodził do

środku, Ruth w wyobraźni ujrzała, jak jej ukochany dostaje się pod kopyta rozwścieczonego osła. Przeraziła się, w jednej chwili nieważne stało się to, że John jej unika, że wróci do Seattle, że nie kocha jej...

- Johnny... Zaczekaj! - Odwrócił się do niej, a ona nieśmiało podniosła dłoń i dotknęła nią delikatnie jego po-

Świąteczna przepowiednia

131

liczka. - Proszę, uważaj. Nie zniósłabym, gdyby coś ci się stało.

Po raz pierwszy kobieta dotknęła go w ten sposób! Po raz pierwszy zrobiło mu się tak ciepło na sercu, gdy wyraziła o niego troskę! Zaprzagnął zostać w tym miejscu na zawsze, ciągle czuć dłonie Ruth na swoich policzkach.

Stało się, był w niej zakochany!

Wbrew swoim poglądom i zapatrywaniom pozwolił jej zawładnąć swoim sercem.

Wystraszył się. Umiał stawić czoło najgroźniejszym przeciwnikom w sądzie, ale bał się miłości.

- Henry nic mi nie zrobi - zapewnił dość obcesowo. - Henry, cicho! Zaraz zabiorę tę cebulę.

Nie był pewien, co podziało: ton głosu czy faktyczna treść jego słów, jednak Henry ucichł. John odwiązał woreczek z cebulami i wyniósł go na zewnątrz. Miał ochotę natychmiast stąd uciec. Miłość nie mieściła się w jego życiowych planach. Nie wiedział, co począć z tym niespodziewanie odkrytym uczuciem.

Spojrzał w niebo, chcąc tam znaleźć odpowiedź na swoje wątpliwości. Ale nie ujrzał nic prócz kilku jasnych gwiazd rozświetlających zimowy mrok. Cóż, przecież nigdy nie uchylił się przed jakimkolwiek wyzwaniem... Wrócił do środka.

Ruth pieszczotliwie targała Henry'ego za uszy i przemawiała do niego czule. Jej głos brzmiał jak muzyka. John wyobraził sobie ten ciepły głos, szepczący mu słodko w ciemnościach do ucha. Krótki jęk wydobył się z jego gardła.

- Johnny? - Przez moment stała nieruchomo, po chwili

GWIAZDKA MIŁOŚCI

podbiegła do niego. Oczy jej błyszczały, wyciągnęła ku niemu swe ramiona. Przytuliła się do szerokiej piersi ukochanego i spojrzała mu prosto w oczy.

- Och, Johnny! Umarłabym, gdyby coś ci się stało. Mężczyzna objął ją w talii. Tak chciałby wierzyć jej słowom!

- Niepotrzebnie się martwiłaś.

- Wręcz przeciwnie. - Dotknęła jego twarzy ciepłymi, delikatnymi dłońmi. - Nie rozumiesz, co się stało? Nie widzisz? Ja... Ja cię kocham, Johnny. - Palcem obwiodła jego spieczone z wrażenia usta. - Nie chciałam ci o tym mówić, znając twój stosunek do mnie, ale...

- Skąd możesz wiedzieć, jaki jest mój stosunek do ciebie? - wykrztusił. Tak dawno wykreślił miłość ze swych życiowych planów. Nie marzył nawet, że kiedyś znów się zakocha. A jednak Ruth dokonała cudu.

Nie był w stanie dłużej się oszukiwać. Wiedział już, że nie sposób się jej oprzeć, nie sposób nie położyć jej na słomie i zapomnieć w jej słodkich ramionach o całym paskudnym świecie. Chociaż... Nie, być może Ruth udało się zawładnąć jego sercem, z pewnością zwyciężyła nad jego ciałem, ale nigdy nie zdoła owładnąć jego umysłem.

Przyjrzał się jej. Nadzieja, jaką zobaczył w jej oczach, niemal go oślepiła.

- Niczego od ciebie nie oczekuję, John. Nie musisz nic mówić, ale chcę być z tobą szczerą. Kocham cię. Nie planowałam tego, po prostu stało się. - Była tak blisko, że czuł jej oddech na swoim policzku.

- Kocham cię - powtórzyła.

- Udowodnij to - zażądał.

- Chodź.-Wzięła go za rękę i poprowadziła na poddasze.

133

- Dokąd? - Choć doskonale wiedział, pragnął usłyszeć to z jej ust. Musiał być pewny, że Ruth wie, co robi.

- Na górę... Kocham cię i chcę ofiarować ci najdroższą rzecz, jaką posiadam. Siebie.

To pułapka, nawoływał jego rozsądek, ale ciało nie zamierzało zwracać na to uwagi. Bez słowa podążył za nią.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ruth wiedziała, że postępuje właściwie. Nie zaplanowała tej sytuacji, lecz zadziałał instynkt. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zakochała się w mężczyźnie, który zdawał się być zaprzeczeniem jej ideału. A jednak podświadomie czuła, że umie on być również dobry i czuły. Trzeba tylko to z niego wydobyć. Oddając się Johnowi, Ruth pragnęła nie tylko udowodnić mu swą miłość, ale i odkryć jego prawdziwą duszę, zbyt długo skrywaną przed światem.

Kiedy znaleźli się już na poddaszu, wyciągnęła dłoń do **mężczyzny**.

- Chodź, pozwól mi cię kochać.

Delikatnie pociągnęła go na pachnące, miękkie siano. Ich ciała przylgnęły do siebie, usta odszukały się. Ruth wzięła w dłoń głowę Johna.

- Kochaj mnie, kochaj, Johnny - wyszeptała.

- Ruth... Ruth... - John nie mógł się nią nacieszyć. Była niewiarygodnie pociągająca. I naturalnie szczerza w swym oddaniu. O to, że ta dziewczyna nie udaje, mógł się założyć z każdym i o wszystko. A to tylko potęgowało jego namiętność.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo jej pożądał, nie

135

było w jego stylu, by wykorzystać tę zakochaną kobietę. Ale na to, żeby ją od siebie odsunąć, odwrócić się od niej, brak mu było sił. Jeszcze nie teraz, usprawiedliwił się w duchu i ponownie odszukał w ciemnościach jej usta, by posmakować językiem ich miękkiego wnętrza. Zareagowała na pieszczotę tak skwapliwie, że niemal zapomniał o swym postanowieniu.

Rozpięła mu koszulę i dotknęła rękami pleców. Drgnął, gdy poczuł jej palce na swej nagiej skórze. Zakreśliło mu się w głowie. Musnął wargami jej szyję, a połączenie zapachu kapryfolium i miękkości skóry Ruth niemal pozbawiło go przytomności.

- Ruth, czy ty wiesz, co robisz? - spytał owładnięty pożądaniem.

- Tak - odparła, patrząc mu prosto w oczy. Obserwował ją uważnie, chcąc dostrzec cień fałszu w tym namiętnym spojrzeniu, ale bezskutecznie. Wzrok Ruth wyrażał jedynie niewinność i bezgraniczną miłość, która rozświetlała jej twarz.

- Czy wiesz, że po przekroczeniu pewnej granicy trudno mi będzie się wycofać?

- Nie wycofuj się. Proszę.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Nie proszę o nic, chcę ci jedynie coś ofiarować. - Dotknęła palcem jego warg. - Johnny, kochaj mnie.

- Kusisz mnie. - W świetle gwiazd jej włosy zaśniły złotem. Skrył w nich twarz i wdychał oszłamiający zapach. Gdy ponownie spojrzął na Ruth, jego twarz była poważna. - Czy wiesz, co mężczyzna taki jak ja mógłby zrobić tak niewinnej kobiecie?

136

- Nie rób ze mnie świętej. Gorzko się rozczarujesz. - Znów sięgnęła dłonią do jego ust, lecz John odwrócił głowę. Wstał nagle i pociągnął ją za sobą.

- Wracaj do domu, Ruth. - Strząsnął siano z jej spodnicy, poprawił sweter. Jedynie lekkie drżenie głosu zdradzało jego zdenerwowanie.

- Johnny, nie... - wyszeptała.

- Nie możesz tu zostać. Istnieje pewna granica... Właśnie ją przekroczyłem...

- Czemu mnie odrzucasz?

Przez moment stał nieruchomo, potem złapał ją mocno za ramiona i przyciągnął do siebie tak blisko, że ich nosy niemal stykały się ze sobą.

- Ruth, nie marnuj czasu na faceta takiego jak ja.

- Kocham cię.

- A ja nie wierzę w miłość.

Nie dawała się zrazić. W jej świecie uczucie zwyciężało wszystko.

- Miłość to nie gra intelektu - powiedziała spokojnie i położyła dłoń na jego policzku. - Możesz myśleć różne rzeczy, ale serce... Powiedz, co czujesz, Johnny? - Nie odpowiedział. - Wiem, że coś czujesz.

Sposób, w jaki mnie obejmowałaś... Całowałaś... Powiedz, że czułeś to samo ciepło i radość, co ja.

Powiedz. - Ostatnie zdanie zabrzmiało prawie jak rozkaz.

- Daj spokój, Ruth. Nie będę cię oszukiwał tylko dlatego, że tego bardzo chcesz. Nie mogę ci obiecać miłości, małżeństwa i szczęśliwego życia po wsze czasy. Jestem tylko wyrachowanym, cynicznym człowiekiem, który zarabia na życie, broniąc najgorszych przestępców.

137

- Odwrócił się do niej plecami. - Wracaj do domu, Ruth. Znajdź sobie faceta, który zapewni ci przytulny domek, trójkę dzieci, kudłatego psa, sobotnie kolacje w ogrodzie i wspólne wyjścia do kościoła. Znajdź sobie kogoś, kto będzie szefem drużyny skautów. Znajdź mężczyznę godnego ciebie. Długo nie odpowiadała. John miał już wrażenie, że wymknęła się bezszelestnie. W końcu przemówiła mocnym i opanowanym głosem.

- Nie proszę cię o małżeństwo. Nie żądam żadnych zobowiązań. Po prostu chcę ciebie, tylko ciebie. Zażenowała go radość z tego, co usłyszał.

- Ruth Mobley, jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką spotkałem

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

Walczył z chęcią wzięcia jej ponownie w ramiona. Przez wiele lat sprawował idealną kontrolę nad swoim życiem, teraz Ruth przewróciła jego świat do góry nogami i zaskoczyła go zupełnie. Czuł się tak, jakby przyszedł na rozprawę sądową zupełnie do niej nieprzygotowany.

- Nie chcę cię zranić, Ruth. Bóg mi świadkiem, że już wystarczająco cię skrzywdziłem.

- Johnny, byliśmy zdenerwowani, oboje powiedzieliśmy wiele niepotrzebnych słów.

- Jesteś dla mnie zbyt wyrozumiała.

- Bo cię kocham.

John pomyślał, co by się stało, gdyby zmienił swoje zdanie o życiu i również wyznał Ruth swoją miłość. Czy mogliby się pobrać i wieść wspólnie szczęśliwe życie? Ale

GWIAZDKA MIŁOŚCI

przecież ona nie wytrzymałaby życia w Seattle. Bardziej surowy klimat, mniej życzliwi ludzie... Tak delikatne stworzenie zmarniałoby w wielkim mieście.

Wziął dziewczynę za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Przepraszam... przepraszam za to, co się stało.

- Nie chcesz mnie? - wyszeptała.

- Ja... - Szukał odpowiednich słów. - Nie, ale to nie ma przyszłości. Nie chodzi o ciebie. Jesteś uroczą, subtelną i szczerą kobietą i pochlebia mi, że akurat mnie obdarzyłaś uczuciem. To ja nie umiem kochać, Ruth.

Zdała sobie sprawę, że przegrała, przynajmniej dziś wieczór. Wobec takiego argumentu nie zostało jej już nic do powiedzenia.

- Zdarzają się cuda, Johnny. - Uśmiechnęła się do niego, odwróciła i zaczęła schodzić na dół.

Słuchał jej kroków, walcząc z pokusą przywołania Ruth z powrotem. Jednak nic dobrego by z tego nie wynikło. Najlepiej będzie nie komplikować sobie nawzajem życia związkiem, który nie ma przyszłości.

Gdy usłyszał warkot silnika jej starego samochodu, podszedł do okna. Po kilku chwilach auto Ruth było już tylko niewielkim, szybko znikającym punktem. To śmieszne -niby nie zaangażował się poważnie w ten związek, a już odczuwał dziwny ból w sercu.

Po powrocie do domu Ruth była roztrzęsiona. Czuła się tak, jakby wszystkie nerwy w jej ciele były boleśnie podrażnione. John ją odrzucił, ale nie żałowała niczego. Gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby tak samo. Wierzyła w prawdę.

Musi być przecież sposób, żeby zdobyć jego serce. Będzie piekła kilogramy ciastek i gotowała najwymyślniejsze potrawy. Przytuli go i zapewni o swojej miłości tyle razy, aż będzie musiał jej odpowiedzieć... Ale czy jej upór wystarczy? Czy w ten sposób można wzbudzić uczucie w sercu sceptyka i nihilisty? Wszak do miłości potrzeba dwojga ludzi.

Tak, jedyne, co może zrobić, to starać się zachowywać normalnie i pomimo złamanego serca wykonywać dalej swoje obowiązki. Musi dać spokój Johnowi. Może zdarzy się cud.

Rozebrała się, zostawiła równiutko złożone ubranie na koszu w łazience i wślizgnęła się do pustego łóżka.

Rankiem następnego dnia Roscoe Blake szybko domyślił się, co zaszło ubiegłego wieczora.

- Odrzuciłeś ją, prawda? - Łyknął kawy z kubka i spojrzał na siostrzeńca.

- Czy szpiegowaleś nas przez całą noc? - John nie miał nastroju na wysłuchiwanie kazań. - A może myślałeś o tym, co jeszcze zrobić, by nas ze sobą zeswatać?

- Ha, ha, ha! - Staruszek poklepał się po udzie. - Ale te cebule były niezłe, co?

- Nie chcę cię rozczarować, wujku, ale nie łudź się niepotrzebnie. Ruth jest uroczą młodą kobietą i wierzę, że kiedyś z pewnością uszczęśliwi jakiegoś mężczyznę. Ale ja nim nie będę. - Wstał i zaczął sprzątać ze stołu. - Myślę, że więcej pożytku będzie, jeśli zajmiemy się przeglądaniem twoich papierów oraz przygotowaniem do świąt.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Hmm. A już myślałem o weselu na Gwiazdkę.
- Cóż, będziesz musiał zadowolić się ciepłym nakryciem głowy.
- Możliwe, ale nie myśl, że tak łatwo się z tym pogodzę.

Przez resztę dnia wuj dawał odczuć siostrzeńcowi swoje niezadowolenie. Nie krył się z paleniem, nie chciał grać w żadną ze swoich ulubionych gier planszowych, nawet w warcaby i szachy. Wieczorem, kiedy już dawno powinien leżeć w łóżku, zszedł do kuchni i swoim głośnym zachowaniem zwabił Johna, który zastał go z butelką Old Crow przy ustach.

- Wuju, i co mam z tobą zrobić? - spytał John, zabierając staruszkowi whisky.
- Pozwól mi umrzeć szczęśliwym. Zadzwoń do Ruth i chociaż zaproś ją na kolację.
- WujkuRoscoe...
- Nie dowiesz się, czy potrafisz kochać, jeśli nie spróbujesz.

John westchnął ciężko. Nie wspomniał, że wuj sobie nigdy nie dał takiej szansy. Podał mu ramię i wyprowadził z kuchni.

- Wracaj do łóżka. Jesteś na pewno wykończony swoimi dzisiejszymi sztuczkami.
- Rzeczywiście, gdy o tym wspomniałeś, zrobiłem się zmęczony. - Staruszek grzecznie dał się ułożyć do snu, a kiedy był już przykryty kołdrą pod brodę, zwrócił się do Johna: - Jeśli usłyszysz te głupie króliki, powiedz im, żeby sobie poszły. Nie jestem jeszcze gotowy.

- Dobrze. - John uśmiechnął się. - Dobranoc, wujku Roscoe.

W poniedziałek John wybrał się w końcu na oczekiwaną wizytę u lekarza wuja.

- Teoretycznie nie widzę żadnego nagłego zagrożenia dla jego zdrowia - powiedział doktor Wright. - Jak długo przestrzega moich nakazów, nie powinno być żadnych niespodzianek. Oczywiście trzeba brać pod uwagę jego wiek. Jak się ma tyle lat, wszystko może się zdarzyć.

John podziękował lekarzowi i pożegnał się. Uspokoila go fachowa diagnoza specjalisty, a jednak wciąż nie mógł zapomnieć legendy o królikach. Nie był już dzieckiem, lecz dziwny, dziecięcy niepokój tkwił w nim mimo wszystko.

Postanowił dokończyć świąteczne zakupy. Dziwnym trafem, jadąc do centrum handlowego, znalazł się niespodziewanie obok szkoły, w której uczyła Ruth. Wmawiał sobie, że znalazł się tu przez przypadek, ale świadomie zwolnił i wychylił głowę, chcąc dostrzec ją w oknie klasy. To idiotyczne, pomyślał, jest wpół do trzeciej, pewnie dawno już skończyła lekcje.

Na rogu skręcił w lewo. Spojrzał raz jeszcze w tylne lusterko. Szkolny budynek wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał z młodości - staroświecki, surowy gmach z lat pięćdziesiątych. To jednak dobrze, że wciąż służył dzieciom z Tupelo. Tego właśnie brakowało mu w Seattle - wspomnień przeszłości.

Włączył radio. Elvis Presley śpiewał „Blue Christmas”. John zaczął nucić wraz z nim. Znow skręcił w lewo.

142

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Uśmiechnął się do siebie. Nie, nie jechał po zakupy, zawracał, by zobaczyć Ruth. Nie wiedział dokładnie, co jej powie, ale zdąży chyba coś wymyślić. W końcu idzie Gwiazdka. Ma chyba prawo wstąpić do ukochanej przyjaciółki wuja, żeby złożyć jej świąteczne życzenia?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy John wszedł do sali, Ruth stała otoczona rozszczebiotanymi siedmiolatkami. Przyglądał się jej w milczeniu. Wyznawał teorię, że najlepiej ocenia się przeciwnika, gdy obserwuje się go ukradkiem. Ale Ruth nie była już dla niego przeciwnikiem, chociaż nie wiedział jeszcze, jak ją nazwać. Kiedy tak patrzył na nią, roześmianą i pochyloną nad maluchami, czuł się jak chłopiec, któremu obiecano wszystkie słodczyce z cukierni.

Gdy spostrzegła go, rozpromieniła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Johnny! - Dwadzieścia ciekawskich twarzyczek natychmiast zwróciło się w jego stronę. Ruth patrzyła na Johna jeszcze przez moment, następnie klasnęła w dłonie. - Dzieciaki, poznajcie pana Johna Davisa, siostrzeńca wuja Blake'a.

- Czy to pan jest tym panem z osiołkiem? - spytał jeden z chłopców.

- Nie, to mój wuj - odparł John.

- Pani Mobley mówi, że nazywa się Henry - odezwała się drobna dziewczynka o blond włosach.

Odgarnęła grzywkę z oczu i spojrzała na Johna. - Pani Mobley mówi, że w tym roku osiołek nie będzie przedsta... udziałował...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Brał udziału, Claro - poprawiła ją Ruth.

- Naprawdę? - Clara wydeła usteczka. - Panie Davis, naprawdę?

- No cóż... - John nie wiedział, co powiedzieć. Oznajmić Ruth w cztery oczy, że nie przyprowadzi zwierzaka na przedstawienie - to jedno, ale jak stawić czoło przejętej grupce siedmiolatków?

Z opresji wybawiła go Ruth.

- Dzieci, tłumaczyłam wam, że pan Blake nie czuje się dobrze w tym roku. Nie będziemy przecież w tej sytuacji zawracać mu głowy prośbami o osiołka. - Dzwonek zaoszczędził jej dalszych wyjaśnień. Maluchy wybiegły z klasy.

- Przyszedłem powiedzieć, że zmieniłem zdanie. - Widząc nagły rumieniec na jej policzkach, John zaczął spiesznie tłumaczyć. - To znaczy... Mówię o Henrym.

- O Henrym?

- To błąd, że chciałem pozbawić ciebie i wuja przyjemności pokazania Henry'ego w szopce.

- To ja nie powinnam była nalegać. Byłam zbyt uparta. W końcu wujek Roscoe rzeczywiście nie czuje się dobrze. .. - Mówiąc te słowa, zbliżyła się do Johna.

- Lekarz zapewnił mnie, że nie ma obaw o jego serce. - Mężczyzna również zrobił krok naprzód.

- To wspaniale!

Podniosła rękę, jakby chciała pogłaskać go po policzku. Już czuł jej dotyk, już dziękował jej za to. Ale nagle dłoń Ruth opadła. Przeklął się w myślach za głupotę. No dobrze, odwiedził ją, zrobił jej (i sobie) przyjemność, ale najwyższy czas wynosić się stąd.

145

- A więc... Jeśli zmienisz zdanie co do Henry'ego, powiedz mi o tym.

- Daj spokój. Boże Narodzenie to nie czas na żądania, ale na prezenty. Jednak, Johnny... podtrzymuję wszystko, co mówiłam.

Zręcznie przerzuciła piłeczkę na jego stronę. Dwa dni temu uznałby to za spryt, dziś wiedział, że Ruth jest po prostu szczerą. Nie wycofała się nawet w obliczu jego gniewu. Otwarcie wyznała mu swą miłość, nie bacząc na to, że nie chciał jej odwzajemnić. Następnym ruch należał do niego. Na sali sądowej nie czuł strachu, ale teraz był całkowicie bezsilny wobec tej miłości. Mógł się tylko wycofać.

- Cóż... Wesołych świąt, Ruth.

- Wesołych świąt, John. Patrzyła, jak wychodzi z klasy. Serce można złamać na wiele sposobów, pomyślała gorzko, ona w ciągu ostatnich dwóch dni doświadczyła chyba wszystkich. Podeszła do okna. Mężczyzna, wsiadając do swego lincolna, na chwilę odwrócił się. Myślała, że ją zauważył, ale nie zrobił żadnego ruchu. Jeszcze chwila i odjechał.

Chuchnęła na szybę i narysowała na niej serce.

- Wesołych świąt, mój kochany - wyszeptała. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić, prosić Boga o cud. Następne dwa dni były najdłuższymi w życiu Johna. Ruth nie dawała znaku życia, zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. Drugiego dnia wieczorem John nie mógł już usiedzieć spokojnie. Wciąż się wiercił, nerwowo chodził po salonie.

- Johnny, kręcisz się jak kot w maju - zauważył wuj.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Pójdę po drzewo do kominka.
- Owszem, pójdziesz, ale będziesz się gapił na księżyc jak zakochany głupek. Nie myśl sobie, że cię nie przyuważyłem.
- Szpiegowałeś mnie?!
- Dzięki temu czas trochę szybciej płynie. Odkąd wyrzuciłeś stąd Ruth...
- Wujku Roscoe... koniec dyskusji na ten temat.
- Wcale nie. - Staruszek zaczął się kołysać w fotelu.
- Gdybym to ja chciał się przyznać przed pewną młodą damą, jaki byłem głupi, zabrałbym Henry'ego do szkoły na przedstawienie, jutro około drugiej. Potem poszedłbym za kulisy, szepnął jej kilka słodkich słówek i zabrał do motelu, żeby robić dzieci, póki jeszcze pamiętam, jak to się robi.
- Zaśmiał się. - Przemyśl to sobie, Johnny.
- Rozumiem. A jeśli nie skorzystam z twojej rady, znów posłużysz się cebulą? - spytał z uśmiechem.
- Może nawet coś gorszego. Henry i ja mamy w zanadrzu mnóstwo sztuczek.
- Szantażujesz mnie. - John podszedł do drzwi.
- Dla twojego dobra. Bo jeśli mnie nie posłuchasz, może cię spotkać coś o wiele bardziej przykrego - stracisz ją.

Już na zewnątrz John zaczął zastanawiać się nad słowami wuja. Jakie będzie jego życie, jeśli pozwoli Ruth odejść? Na pewno uporządkowane, pełne pracy... A noce?

Ruth stała za kulisami, trzymając w dłoni tekst jasełek i obserwowała swoich drugoklasistów. Zaciągnięte story na oknach i światła sceny przydawały szkolnej auli atmosfery tajemniczości.

Kołyska wypełniona słomą czekała na małego Jezusa. Pod dachem szopy, zrobionej z kartonu, stały zwierzęta. Gołębie, w szarych kostiumach z naszytymi na kaptury indyczymi piórami, rozmawiały z krowami.

- Czy widzisz tę dużą gwiazdę na niebie? - Mała Gara, czyli gołąbek, spytała Bruce'a i Wandę ukrytych pod kostiumem krowy.

- Tak-odparła Wanda.

- Ciekawe, co ona oznacza? - odezwał się Bruce.

Z końca widowni dobiegł tupot nóg. Za chwilę pojawią się Maria i Józef na osiołku, pomyślała Ruth, zadowolona, że jej dzieciaki tak wspaniale grają swoje role. Długie godziny prób opłaciły się. Na widowni panowała cisza, uczniowie szkoły z zapartym tchem śledzili przedstawienie.

- To znaczy, że wielka... - zaczęła Clara głośno, ale zamilkła.

- Chwila - odpowiedziała jej Ruth zza kulisy.

- To znaczy... - powtórzyła Clara.

- Patrz! - przerwał jej Bruce. - To Henry!

- Henry! - pisnęła Clara.

Dzieci na widowni zaczęły klaskać i krzyczeć.

- To osioł, prawdziwy osioł!

Ruth upuściła skrypt. Drżącą ręką uchyliła kurtynę. Wzdłuż przejścia, pomiędzy krzesłami, szli Józef i Maria w strojach z krepiny, a za nimi dostojnie kroczył Henry, pobrzękując dzwoneczkami na uprząży. Zaś w pierwszym rzędzie widowni siedział wuj Roscoe.

- To znaczy, że nadeszła wielka chwila! - krzyknęła Clara, a Henry zaryczał, jakby na potwierdzenie jej słów.

Ruth poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- To znaczy, że cię kocham. - Usłyszała nagle za plecami głos Johna. Odwróciła się.

- Jak się tu dostałeś?

- Jak to: jak? To cud. - Wziął ją w ramiona. - Kocham cię, Ruth, i wydawało mi się, że to najlepszy sposób, żeby ci to okazać.

- Przyprowadziłeś Henry'ego, żeby powiedzieć, że innie kochasz?

- Chciałem na nim wjechać, ale Józef wytłumaczył mi, że jestem za duży. - Uśmiechnął się, wsunął palce w jej włosy. - Czy to prawda, Ruth?

- Jesteś w sam raz.

Ich usta złączyły się w pocałunku. Zapomnieli o przedstawieniu, a tymczasem na scenie zapanował chaos. Krowy zaatakowały rogami gołębie, część dzieci, uwolniona z kostiumów, podeszła do Henry'ego, Józef opuścił Marię i zaczął tarzać się w sianie, a po chwili dołączył do niego tuzin chłopców z widowni. Do ogólnego hałasu przyłączył się Henry rycząc głośno.

John podniósł głowę.

- Przegapimy największe atrakcje.

- Ty jesteś największą atrakcją, Johnny. Nie mogę uwierzyć, że mnie kochasz. Boże, stał się cud.

- Tak. - Wziął ją na ręce i wyniósł na scenę. Ukląkł, i przed żywiołową widownią złożoną z pięciuset uczniów, ujął dłoń Ruth.

- Wyjdiesz za mnie, Ruth?

- Tak, Johnny, tak. - Opadła na kolana obok niego. Clara, mądry mały gołąbek, przejęła opiekę nad przedstawieniem. Przeszła na środek sceny.

149

- I wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Dobranoc wszystkim!

- Ta dziewczynka zasługuje na medal - powiedział John do swojej narzeczonej.

- Dostanie go, jak tylko skończymy. - Ruth padła mu w ramiona, a wuj Roscoe, świadomy rozwoju sytuacji, opuścił kurtynę.

John i Ruth pobrali się w Boże Narodzenie. Ślub odbył się na farmie. Ceremonia była krótka, ale piękna. Po przysiędze John podniósł Ruth, aby własnoręcznie zawiesiła nową gwiazdę na czubku choinki. Tęczowe blaski odbite od kryształowej ozdoby rozświetliły cały pokój.

- Mamy nową gwiazdę, niech nas prowadzi razem przez życie - powiedział John.

- A ja mam pytanie - odezwał się wuj Roscoe. - Co z moimi wnukami?

- Pracujemy nad tym, wujku.

John puścił do niego oko i poprowadził świeżo poślubioną żonę do małżeńskiego gniazdka w zachodnim skrzydle domu.

Roscoe rozsiadł się w fotelu. Z zewnątrz dobiegł go dziwny dźwięk. Wstał i wyjrzał przez okno. Zapadał zmierzch. Zaczynał padać śnieg. Staruszek otworzył okno. Na trawniku dojrzał kilka królików. Siedziały na tylnych łapkach i śpiewały swą pieśń.

Roscoe Blake uśmiechnął się.

- Mam was. Myślę, że króliki po prostu uwielbiają śpiewać kolędy.

EPILOG

Odgłos kroków na schodach obudził Johna. Przewrócił się na drugi bok, przytulając do śpiącej obok żony. Zanurzając twarz w jej złocistych włosach, wyszeptał:

- Minęło dziesięć lat, a ja wciąż tak samo pani pragnę, pani Davis.

- Mam nadzieję, że to prawda, mecenasie. - Przeciągnęła się i ziewnęła. Przysunęła się bliżej do męża i zaczęła pieścić jego plecy tak, jak lubił. - Udowodnij mi. - Zachęciła go z uśmiechem.

Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać.

Tymczasem na horyzoncie pokazało się już słońce i oświetliło swymi promieniami starą farmę. Ze swej sypialni, dobudowanej do domu sześć lat temu, John i Ruth usłyszeli odgłosy ich przekrzykujących się dzieci.

- Popatrzcie, co mi przyniósł Mikołaj! - oznajmił piskliwym głosikiem czteroletni David.

- Ooo, patrzcie na to! - Sześćioletnia Anne najwyraźniej wyciągnęła spod choinki swoją nową lalkę.

- Phi, to dobre dla dzieciaków. Ja mam nowy rower. - Roscoe czuł się najważniejszy, miał już dziewięć lat.

John i Ruth leżeli w łóżku, trzymając się za ręce.

- Czy żal ci czasem tego, co miałeś w Seattle, Johnny?

151

Wielkich procesów? Eleganckich biur? Wysokiej pensji? Czy twoja praktyka tu, w Tupelo, nie nudzi cię czasem? John Davis podparł się na łokciu i uśmiechnął do żony.

- Niech to sobie przemyślę...

- Ach, ty...! - Rzuciła w niego poduszką i wstała z łóżka.

- Która godzina? - spytał John.

- Kwadrans po piątej. Znasz dzieci i ich ranne wstawanie w Boże Narodzenie. Boją się, że coś je ominie. - Ruth, nucąc, przeszła do łazienki pod prysznic.

John zdjął piżamę i dołączył do niej. Wyjął żonie mydło z ręki i zaczął mydlić jej plecy.

- Znam jeszcze kogoś, kto boi się cokolwiek przeoczyć.

- Kto to?

- Moja żona.

- Ha, kto wie, jakie niespodzianki przyniesie Gwiazdka...

Gdy John i Ruth zeszli na dół, salon pogrążony był w ciszy. Czyżby dzieci znów zasnęły? Byli już przy drzwiach, kiedy zobaczył ich wuj Roscoe. Huknął w podłogę swą laską i zawołał do nich:

- Szybko. Nie usłyszycie mojej opowieści.

Trójka małych Davisów siedziała już u stóp staruszka w oczekiwaniu na coroczną historię o królikach.

Ruth i John dołączyli do nich i usiedli obok siebie na kanapie.

- Dawno, dawno temu, kiedy z nieba padał śnieg, usłyszałem, jak śpiewają króliki.

- Dlaczego śpiewały, wujku Roscoe? - padło tradycyjne pytanie Anne.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Cóż, po pierwsze śpiewały, bo nadeszły święta, a one były szczęśliwe z tego powodu. Bóg lubi, gdy jego stworzenia świętują narodziny jego Syna.

- I co dalej, wujku? - dopytywał się jak co roku mały Roscoe.

- Teraz najlepsza część. Śpiewały, by uczcić ślub waszych rodziców, ale przede wszystkim dlatego, że wiedziały, iż się urodzicie.

- Czy znów zaśpiewają? - Anne wdrapała się na kolana dziadka i przytuliła do niego.

- Nie wiem, mała Annie. - Roscoe zwrócił wzrok ku Ruth i Johnowi. - Zaśpiewają?

- Ćśśś - powiedziała Ruth, kładąc palec na ustach. - Słyszycie to?

- Tak, tak! - odpowiedziały dzieci.

- A niech mnie, słyszę króliki - potwierdził wuj Roscoe.

Z daleka dobiegała pieśń. Czy to były króliki, czy poranni kolędnicy, tego już Ruth nie wiedziała.

Uśmiechnęła się.

- Latem, kiedy trawa będzie zielona i zakwitną kwiat- i ki, urodzi się w naszym domu jeszcze jeden dzidzius.

- I będzie to kolejny cud. - John uściskał dłoń żony.

Horton Naomi

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Śniąc o aniołach

PRZYSMAK Z NANAIMO

Przepis Naomi Horton

Było to tak: pewna gospodyni z niewielkiego miasteczka Nanaimo, w którym i ja mieszkam, wysłała swój przepis na konkurs kulinarny organizowany przez redakcją jednego z czasopism. Kierując się lokalnym patriotyzmem, ciasteczkom nadała nazwę „Przysmak z Nanaimo”. Wygrała i w ten oto sposób nasze miasto stało się sławne na cały kraj. Od razu znaleźli się tacy, którzy zaczęli sobie przypisywać autorstwo tego przepisu, zmienili nawet nazwę na „Nowojorskiprzekładaniec”. Ale wiercie mi - oryginalny przepis pochodzi właśnie z Nanaimo, z Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Oto on. Smacznego!

WARSTWA DOLNA:

8 łyżek masła lub margaryny, 4 duże łyżki cukru, 5 łyżek kakao, 1 roztrzepane jajko, 1 łyżka wanilii (lub pół łyżeczki cukru waniliowego), 1,5 szklanki pokruszonych waflí grahama (mogą być zwykłe herbatniki), 12 łyżek wiórków kokosowych, pół szklanki posiekanych orzechów
Rozpuścić na wolnym ogniu masło, cukier i kakao, ostrożnie dodać jajko i wanilię. Zagotować, stale mieszając, aż masa stanie się gęsto. Wsypać pokruszone herbatniki, wiórki kokosowe i orzechy, wymieszać. Wylać masę i rozprowadzić równo na blasze o wymiarach ok. 25 x 25 cm. Pozostawić do zastygnięcia.

WARSTWA ŚRODKOWA: *4 łyżki masła lub margaryny, 2 łyżki mleka, 2 łyżki budyniu waniliowego w proszku, 1,5 szklanki cukru pudru*

Utrzeć razem masło, mleko i budyn waniliowy, dodać cukier puder i zmiksować dokładnie, tak aby składniki tworzyły jednolitą masę. Roz-smarować na doln 'ej'warstwie, całość pozostawić do zastygnięcia.

WARSTWA GÓRNA:

2 tabliczki miękkiej czekolady, 2 łyżki masła

*Rozpuścić składniki na wolnym ogniu, a gdy masa nieco przestyg-nie, rozsmarować ją po wierzchu.
Pozostawić, aż górna warstwa zakrzepnie, schłodzić, a następnie pociąć całość na 16-20
kwadratowych ciasteczek
Jeśli chcielibyście poeksperymentować, możecie zamiast budyniu waniliowego spróbować innych
smaków, albo zamiast mleka użyć mocnej kawy.*

PROLOG

Wlepiął wzrok w zalepioną śniegiem przednią szybę samochodu i klął pod nosem. Mięśnie ramion zdreptały mu boleśnie od ściskania kierownicy, walki z wiatrem i coraz głębszymi zaspami na drodze.

Tylko człowiek szalony mógł z własnej woli wyruszyć tej nocy do Denver. W radiu ostrzegano o nieprzejezdnych drogach i zamieciach śnieżnych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien nawet myśleć o tym, żeby wyciągać samochód z garażu.

Uśmiechnął się ponuro. Do licha, od sześciu miesięcy nie był przy zdrowych zmysłach; od czasu, kiedy utracił tę jedną, przeklętą rzecz, która naprawdę liczyła się w jego życiu.

Zerknął na leżące na sąsiednim fotelu pudełko z prezentem. Decyzję podjął zeszłego wieczoru i teraz nic już nie było w stanie go powstrzymać.

W półciężarówkę ponownie uderzyła zamieć. Znowu zaklął i spuścił nogę z pedału gazu.

Nieoczekiwanie z tumanów śniegu wyłoniły się czerwone światła hamulców i tył jakiegoś samochodu.

W tylnej szybie auta mignęła pobladła twarz i szeroko rozwarte ze strachu oczy dziecka, a po chwili kolejny tu-

156

GWIAZDKA MIŁOŚCI

man śniegu zasłonił świat. Rozpaczliwie nacisnął na hamulec, modląc się o to, żeby opony złapały przyczepność.

I nagle jakby zatańczył na lodzie. Stracił panowanie nad wozem, przejechał środkową linię szosy i w następnym ułamku sekundy dostrzegł błysk czołowych reflektorów nadjeżdżającej z przeciwka z hukiem ciężarówki-cysterny. Gage zamknął oczy. Wiedział, że to koniec. Teraz już nic nie mógł zrobić...

Tuż przed zderzeniem pomyślał, czy ktoś znajdzie pudełko z prezentem i jej przekaże. Miał nadzieję że tak. Boże, miał taką nadzieję...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Telefon zadzwonił chwilę po ósmej.

Kathleen rozpakowywała właśnie zabawki choinkowe, gdy usłyszała sygnał. Zerwała się na równe nogi, ale Beth, stojąca w progu kuchennych drzwi z kubaśsem eggnogu w jednym ręku i kawałkiem ciasta w drugim, gestem wskazała, by nie ruszała się z miejsca, i Kathleen z ulgą ponownie opadła na kolana.

Z pewnością dzwonił ktoś ze znajomych, żeby zapytać, jak się miewa. Zapytać tym ostrożnym tonem, który zdążyła już znienawidzić, czy ma jakieś plany. Jeśli nie - powie - byłoby cudownie, gdyby do nich przyjechała.

„Tak zawsze bywa o tej porze roku” - usprawiedliwiała przyjaciół Beth. - „To normalne: przed Wigilią chcą wykazać się współczuciem i troską.”

Tylko że Kathleen nie była w tej chwili w nastroju, by cokolwiek świętować, a już na pewno nie Boże Narodzenie. Nie chciała oglądać tych uprzejmych uśmiechów, pełnych skrepowania i napięcia, nie chciała słuchać frazesów w stylu: „może i lepiej, że tak się stało”, albo: „teraz możesz sobie sama urządzać życie”.

To bolało, bolało jak wszyscy diabli.

Ale tak zawsze bywa z utraconą miłością.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Nie zamierzała obchodzić świąt. Wiązało się z nimi zbyt wiele wspomnień, do których Kathleen nie chciała wracać. Wolała wyjechać do ciepłego kraju, lub po prostu pracować w święta.

Niestety, Beth, która znała ją na tyle dobrze, by bez trudu rozszyfrować zamiary przyjaciółki, postanowiła udaremnić jej plany. I tak Beth i Doug zjawili się przed kilkoma godzinami w domu Kathleen z siedmiokilogramowym indykiem, choinką, prezentami, świątecznym jedzeniem oraz dwójką obdarzonych niezwykle temperamentem dzieci, które od razu wypełniły jej mieszkanie hałasem i jazgotem.

- Cudownie - skłamała z uśmiechem Kathleen, robiąc dobrą minę do złej gry. - Po prostu cudownie. Cieszę się, że przyszliście z chłopcami.

- Kłamiesz - odparł krótko Doug. - Wolałabyś, żebyśmy zostali w domu i zajęli się swymi sprawami. Ale wiesz, jaka jest Beth...

Kathleen roześmiała się szczerze.

- O, tak, dobrze ją znam. Ale naprawdę się cieszę, że przyszliście. Choć dobrze wiem, że święta bez dziadków i spanie na podłodze to dla dzieciaków żadna atrakcja...

- Ja lubię spać na podłodze - przerwał jej Jimmy. - To zupełnie jak na kempingu. Poza tym tatuś powiedział, że święty Mikołaj i tak wie, gdzie teraz jesteśmy. A do dziadków pójdziemy później. Kathleen uśmiechnęła się, wymierzyła chłopcu lekkiego szturchańca i zabrała się za rozpakowywanie zabawek choinkowych, które przynieśli jej przyjaciele. Gdy sięgnęła do kartonowego pudełka i wyjęła z niego pierwszą zabawkę, łzy napłynęły jej do oczu.

Śniąc o aniołach

159

Był to kryształowy anioł z kręconymi włosami i złocistymi skrzydłami. Kathleen wpatrywała się w przedmiot, całkiem zastygła w bezruchu. Nie, to nie może być prawda

- pomyślała oszołomiona. To nie może być ten sam anioł, którego podarował jej Gage podczas drugiego Bożego Narodzenia, które spędzili razem.

Oczywiście była to inna zabawka.

Stwierdziwszy, że serce zaczyna jej bić spokojniej, Kathleen zaczęła powoli rozpakowywać dalsze ozdoby. To nie mógł być tamten anioł - powtarzała sobie cały czas uparcie. Tamten został zniszczony, strzaskany na drobne kawałki w chwili gniewu.

- Ostrożnie - szepnęła, wręczając figurkę Jimmy'emu.

- To jest bardzo kruche.

Kryształ, jak marzenia, jak serca, jak uczucia, jest bardzo delikatny...

- Kathleen...?

Głos Beth był osobliwie napięty. Kathleen podniosła się z podłogi. Przyjaciółka stała na progu i spoglądała na nią z przestrawieniem. Twarz miała pobladła, dłoń przyciskała do piersi. Kathleen poczuła, że robi się jej zimno.

Doug spojrział na żonę i natychmiast zaczął schodzić z drabiny.

- Co się stało? Coś złego? Coś z ojcem?

Beth potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od Kathleen.

- To... Gage.

Doug obrzucił Kathleen długim spojrzeniem, po czym zaklął.

- Powiedz, że ona nie chce z nim rozmawiać - wark-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nał, ruszając w stronę Beth. - Daj mi słuchawkę. Ja się go pozbędę.

- Nie - odrzekła Beth, chwytając męża za ramię. - To nie Gage dzwoni. Telefonuje jego ojciec. Gage...

- Beth znów wlepiła w Kathleen oczy pełne strachu. - Kathy, Gage miał wypadek samochodowy.

Poważny. Potrzebny jest... potrzebny jest twój podpis. Dla chirurgów i... i na oświadczeniu dawcy organów.

- Dawcy ... organów? - Własny głos dobiegał do Kathleen z niezmierzonej dali. Dopiero po chwili zrozumiała, co to znaczy, że Gage może stać się dawcą organów: do przeszczepu, dla kogoś, bo jemu nie będą już potrzebne... Pokój zdawał się kołysać, cały świat stał się nierealny. - Czy... czy on nie żyje?

„Nie żyje” - te słowa nie były w stanie dotrzeć do jej świadomości. Gage? Nie żyje? Łatwiej było uwierzyć w to, że księżyc spadnie z nieba. Przecież Gage'a nic nie mogło zmóc. Był członkiem rodu Ramseyów, synem Deckera Ramsey'a. Był nietykalny, doskonały, nieśmiertelny.

- Żyje - wyjaśniła łagodnie Beth. - Ale jest w bardzo ciężkim stanie. Lekarze nie wiedzą, czy... - Urwała, nie mając odwagi skończyć.

- Mój Boże! - szepnęła Kathleen. Pokój zaczął wirować i zamknęła oczy. - Tylko nie Gage. Zachwiała się, lecz natychmiast chwyciło ją silne ramię Douga.

- Kathy, usiądź - powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Pojadę i osobiście się tym zajmę. Twoja obecność nie jest konieczna. Sam wszystko wyjaśnię. Powiem im, że nie jesteś jego...

161

- Ależ jestem - nie dała mu dokończyć. - Jestem jego żoną, Doug. Ciagle jestem.

- Ach, daj spokój, Kathy - odparł cicho. - Od blisko sześciu miesięcy jesteście w separacji. Nic mu nie jesteś winna. A już na pewno nie po tym, jak cię potraktował.

- Jestem jego żoną - powtórzyła cicho. Popatrzyła na Douga, czując, że spływa na nią jakiś dziwny spokój. - Gage jest moim mężem. I muszę tam jechać.

- Kathy...!

- Doug. - Cichy głos Beth był zimny i twardy niczym stal. Nie pozwoliła mężowi wyrzec ani słowa więcej, narzuciła na ramiona Kathleen grubą kurtkę i zakomenderowała: - Doug, poprowadzisz Uamochód. Poczekam tu z dziećmi, dopóki mama po nie nie przyjedzie. Wtedy dojadę do was do szpitala.

- Ja mogę prowadzić - szepnęła nieprzytomnie Kathleen. - Mogę prowadzić.

- Doug, pilnuj jej cały czas - mówiła zdecydowanym tonem Beth. - I niech nikt się nawet do niej nie zbliża. Słyszysz, co mówię? Ani jego siostra, ani żaden z braci. A już na pewno nie pozwól na to Deckerowi. Wszyscy oni są jak piranie... Gotowi zjeść ją żywcem.

- Nie martw się - odrzekł posepnie Doug. - Zanim Decker spróbuje cokolwiek zrobić, najpierw będzie miał ze mną do czynienia.

Coś było nie tak

On, Gage, znajdował się w miejscu ciemnym i zimnym. I nie mógł się ruszać. Z mroku dobiegały głosy; nie słowa,

GWIAZDKA MIŁOŚCI

głosy bez znaczenia, jakieś napływające i oddalające się szepty. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie umiera.

Miał wypadek, to pamiętał. Oślepiająco białe tumany śniegu w blasku czołowych reflektorów, nieoczekiwane tylne światła auta z przodu, tafla czarnego lodu, przyprawiające o mdłości uczucie, gdy ciężarówka wyrwała mu się spod kontroli i zaczęła tańczyć na szosie...

A może już jest martwy ?

Poczuł, jak zaczyna osuwać się w ciemność. Ogarnął go nagły strach, zawołał ją. Ale wiedział, że ona nie słyszy. Nie może do niego przyjść. A on tak bardzo jej potrzebował... Pragnął jej bardziej niż samego życia...

W drodze do szpitala Doug się nie odzywał. Kathleen, mimo że otulona ciepłą kurtką, cały czas trzęsła się z zimna i ze strachu. Była wdzięczna Dougowi, że zachowuje milczenie, skoro i tak nic sensownego nie było do powiedzenia. Wpatrywała się tępo w świetlistą wstęgę samochodów na drodze, a jej myśli wypełniały obrazy z przeszłości.

Doug, Beth i ona wychowywali się razem. Razem odrabiali lekcje, razem popołudniami chodzili do kina, wspólnie marzyli. Ale ani Doug, ani Beth nie mogli zrozumieć, dlaczego Kathleen w końcu to zrobiła. Dlaczego to właśnie ona wyszła za mąż za jednego z synów Ramseya?

Ostatecznie była córką Langforda, a Langfordowie i Ramseyowie od trzech pokoleń toczyli ze sobą wojnę o ziemię, wodę, kobiety i wszystko inne, co między nimi stało. Poza tym wiadomo było, że chłopcy Ramseya to czysty kłopot. Stanowili obiekt westchnień wszystkich

dziewcząt w okolicy i jednocześnie byli niczym najgorszy koszmar dla ich ojców - opinia piekielników i kobieciarzy nie była przecież bezpodstawna.

Kathleen nigdy nawet nie starała się wytłumaczyć przyjacielom powodów swej decyzji. Cóż mogła bowiem powiedzieć? Że zamierza wyjść za mąż tylko dlatego, żeby spełnić obietnicę daną umierającemu ojcu? A przecież tak właśnie było. Jej związek z Gage'em to była czysta naiwność, papierowe małżeństwo. A przede wszystkim... interes.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że zamieszka w mieście. Światła ulic, rozgwar bulwarów, sklepów, teatrów i kin wprawiały ją w zmieszanie. Była w końcu córką farmera i miasto stanowiło dla niej obcy świat. Lecz gdy przed sześcioma miesiącami opuściła dom Gage'a Ramsey'a, wyniosła się właśnie do miasta. Było ono dla niej niczym azyl, w którym może skryć się bezpiecznie i stać kimś innym niż tylko żoną swego męża, jego własnością, kolejnym elementem majątku obok ziemi, bydła, koni i najemnych robotników.

Ale czy na rodzinnej farmie High Mesa było inaczej? Nie. Również była przede wszystkim własnością swego ojca i częścią jego majątku, choć wtedy jako nieświadoma niczego dziewczynka nie zdawała sobie z tego sprawy.

Dopiero później, kiedy zaczęła nieśmiało interesować się chłopcami, a oni nią, pojęła, co naprawdę znaczy być córką Brue Langforda.

„Znaczy to” - wyjaśnił jej ojciec bez ogródek pewnego popołudnia, kiedy miała czternaście lat - „że każdy młody nicpoń w okolicy będzie się za tobą uganiał. Ale pamiętaj - nie tyle zależeć mu będzie na tobie, ile na ziemi. Na

GWIAZDKA MIŁOŚCI

mojej ziemi. Dziewczyno, High Mesa warta jest miliony, a ty poślubisz dokładnie tego, którego ja ci wskażę. Czy to jasne?"

Problem ten nie wydawał się jej wówczas istotny i oświadczenie ojca przyjęła spokojnie. W okolicznych farmach mieszkało wszak wielu chłopców stanowiących odpowiednią partię, więc w którymś - sądziła - na pewno się zakocha.

Teraz, patrząc przez szybę samochodu na migające światłami ulice miasta, Kathleen zastanowiła się, nie po raz pierwszy zresztą, co by się stało, gdyby ojciec nie zachorował tak szybko, a ona nie spełniła jego żądania, by wyjść za mężczyznę wskazanego przez niego. Co by było, gdyby High Mesa nie znalazła się na skraju bankructwa w wyniku rosnących odsetek od nie spłaconych kredytów? Co by było, gdyby susza nie zniszczyła sąsiednich gospodarstw, w tym Tanglefoot Ramseya? Co wreszcie by było, gdyby pewnego popołudnia nie pojawił się Gage z propozycją idealnego „układu”...

Tyle tych „gdyby” - pomyślała żałośnie. Tyle innych rzeczy mogło się przydarzyć. Choć zapewne i tak w końcu stałoby się to, co się stało. Bo zakochać się było tak łatwo...

Pamiętała nie tylko ten dzień, ale tę chwilę. Chwilę nad Fireweed Creek, w dzień jej szesnastych urodzin.

Uśmiechnęła się do siebie smutno. Silnik samochodu mrucał sennie, za oknem uciekało rozjarzone świątecznym blaskiem miasto, a ona wspominała... ,

Najpierw usłyszała jakąś ryczącą nad Fireweed Creek krowę. Zaintrygowana, zawróciła w tamtą stronę Reda, jej

Śniąc o aniołach

165

wiernego wierzchowca, trąciła jego boki piętami i wielki ogier ruszył w dół zbocza przez splątane zielska.

Szybko zorientowała się, co się stało. Krowa z cielakiem odłączyła od stada i ruszyła do potoku, by napić się wody. Nad brzegiem było bagno i tygodniowe maleństwo zapadło się w nie po brzuch. Z każdym oszalałym ruchem zapadało się coraz głębiej w szlam.

Kathleen popatrzyła z niesmakiem w błoto, westchnęła, po czym zeskoczyła z konia. Gdyby cielę było starsze i silniejsze, po prostu zarzuciłaby na nie laso i z pomocą Reda wyciągnęła z pułapki. Zwierzę było jednak zbyt małe, zbyt głęboko ugrzęzło w błocku, więc wyciąganie go za pomocą liny mogłoby wyrządzić mu krzywdę. Cóż było robić? Kathleen zdjęła buty, skarpetki, podwinęła dzinsy do kołan i z ponurą miną weszła w błoto.

Z wysiłkiem wydobyła cielaka, który natychmiast zaczął ciskać się w jej ramionach. Kathleen z mlaskiem wyciągała nogi z błota, brnąc w grząskim mule, a cielak wierzgał jak oszalały.

- Ho, ho! Nie wiedziałem, że jesteś taka silna. - Zza pleców dobiegły ją nieoczekiwane czyjeś słowa, którym po chwili zawtórował głośny śmiech.

W tej samej chwili cielę szarpnęło się gwałtownie i upadło w błocko, pociągając za sobą Kathleen. Dziewczyna krzyknęła ze strachu. Wciągnęła przy tym do ust potężny haust mulistej wody. Kaszląc i ściskając stworzenie w ramionach, dźwignęła się na nogi, a następnie rzuciła cielaka na twardy grunt. Obejrzała się za siebie. Ujrzała złotowłosego Adonisa, który patrzył na nią z wysokiego brzegu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Gage Ramsey. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Siedział na długonogim kasztanku dokładnie tak, jak powinien siedzieć uwodziciel i łowca kobiecych serc. Mimo że liczył sobie dopiero osiemnaście lat, był wysoki i rozrośnięty w barach jak wszyscy Ramseyowie. Miał typowe dla tej rodziny rysy: twarde, szorstkie, szopę złocistych jak miód włosów, oczy barwy letniego nieba i zawadiacki, mówiący „idź do licha” uśmieszek. Gdyby był to ktoś inny - gdyby oną była kimś innym - efekt nie byłby tak piorunujący.

Stała z rękami wspartymi na biodrach i obrzuciła go płomiennym spojrzeniem.

- To posiadłość Langfordów. Bezprawnie wkroczyłeś na nasz teren - oświadczyła dobitnie
Słowa te nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia. Nie spuszczał z Kathleen hardego spojrzenia swych niebieskich oczu.

- Wrzaski dotarły do mnie aż na grań. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak jednak tu zjadę i zobaczę, co się dzieje. - Obrzucił ją spojrzeniem, pod wpływem którego poczuła, że coś ściska ją w dołku. - Aleś się upaćkała, dziewczyno!

Ku swemu przerażeniu Kathleen zaczerwieniła się. Uświadomiła sobie nagle, jak musi wyglądać: ociekająca błockiem i mulistą wodą, z potarganymi włosami i w lepiącym się do ciała ubraniu.

- Jeśli ci się nie podobam, to zmykaj.

Z jakichś względów Gage tym razem nie wybuchnął śmiechem.

- Wcale tego nie twierdzą - powiedział cicho. - Nigdy dotąd nie zauważyłem... nie jesteś już taka mała, na jaką przeważnie wyglądasz, prawda?

Głupota tego pytania musiała dotrzeć do niego po chwili, bo roześmiał się nerwowo, odsunął z czoła stetsona, i mocniej nasunął go na włosy koloru pszenicy.

- Chodziło mi o to, że...

Umiera! Umiera!

- *Brak oddechu... brak pulsu...*

- *Wpada w śpiączkę. Wózek!*

- *Zacząć masaż serca...*

- *Raz tysiąc, dwa tysiąc, trzy tysiąc... No, nie rób nam tego bracie!*

- *W porządku, podłożyć pod niego deskę.*

- *Poproszą wñernik krtaniowy i rurkę numer osiem.*

- *Defibrylacja dwieście. Proszę łopatkę.*

- *Tak trzymać... mam puls!*

- *Ciśnienie?*

- *W porządku... w porządku. Pojawiło się. Mamy go z powrotem.*

- *Sam tego dokonał. Ten facet to prawdziwy wojownik*

- *To jedyna rzecz, która przemawia na jego korzyść. Jedyna.*

- *Miejmy nadzieję, że wystarczy. Teraz dostańcie się do środka i powstrzymajcie krwawienie. Tego już sam nie zrobi...*

Śnił, pamiętał. Ciemność zagarnęła w swe mroczne, lodowate otchłanie również owe szepczące głosy. Gage próbował je ignorować, chciał je odegnąć. Chciał znów spać... z jakichś względów wydawało się to niebywale istotne; zupełnie, jakby miało być tak, że dopóki znajdować

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się będzie we śnie, będzie bezpieczny. Pozwolił sobie odpłynąć w mrok, daleko od chłodu, bólu i strachu. Chciał wrócić nad Fireweed Creek, gdzie czekała Kathy...

Cielak beztrąsko już hasał po twardym gruncie, gdy Gage zbliżył się do skraju bagienka, pochylił się i wyciągnął dłoń w stronę brodzącej w błocie Kathleen.

Stała chwilę z rozpostartymi rękami, pochyliła twarz ozdobioną grubą maską czarnego błota i z niedowierzaniem spoglądała na siebie. Po chwili powoli uniosła głowę, popatrzyła na Gage'a i... wybuchnęła gromkim śmiechem.

Takiej okazji Gage nie mógł przegapić. Szeroko roześmiany, wyciągnął jeszcze dalej ramię, po czym przyłożył dłoń do piersi Kathleen i lekko pchnął dziewczynę, która zachwiała się, spojrzała na niego z osłupieniem, by wreszcie ponownie rymnąć jak długa w bagno.

Wściekłość malująca się na jej twarzy była tak wielka, że Gage wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Ze śmiechem ponownie wyciągnął rękę, by tym razem już naprawdę pomóc Kathleen wydostać się z bagna. Jej ośliz-łe, mokre palce mocno zacisnęły się na jego dłoni, ale w następnej chwili to on stracił grunt pod nogami. Krzyknął z zaskoczenia, ale na próżno. Po chwili już pławił się w błocku tuż obok Kathleen.

Usiadł i zamrugał oczyma zalanyymi mulistą wodą. Gdy tylko ujrzał, że Kathleen dźwiga się na nogi, wrzasnął dziko i rzucił się w jej stronę.

- Za nic w świecie, złotko! - zawołał.

- Nieee! . . Kathleen próbowała odskoczyć, ale błocko było zbyt

grząskie i głębokie, a śliski muł zdradliwy. Gage chwycił ją w pasie, po czym oboje z donośnym pluskiem ponownie zanurzyli się w gęstej mazi.

Choć Kathleen była śliska jak węgorz, Gage'owi udało się jakoś nie wypuścić jej z objęć. Po chwili oboje, zanosząc się śmiechem, zaczęli niezdarnie gramolić się z błota. Jej cudownie smukłe ciało obracało się w jego ramionach tak, że całkiem zaschło mu w ustach. Czuł pod palcami cudowne, rozkoszne kobiece kształty.

W następnej chwili i ona zauroczyła się jego ciałem. Dysząc, z trudem łapiąc oddech, znieruchomiała, palce kurczowo zacisnęła na jego koszuli. A gdy spojrzała mu w oczy, ujrzała, że są otwarte szeroko i pełne zdumienia.

Mógł ją wtedy pocałować. Był więcej niż pewien, że nie protestowałyby. A jednak pochylił się tylko nad Kathleen i uśmiechnął się do niej promiennie.

- Czy mam wracać do domu uświniony jak prosię, czy też pozwolisz mi się wykapać?

Odpowiedziała uśmiechem. Na tle umazanej błotem twarzy zęby miała zaskakująco białe.

- Tata by mi dał, gdyby się dowiedział, że pozwoliłam pływać Ramseyowi w naszym potoku.

- Nie musimy tacie nic mówić.

Roześmiała się radośnie. Oczy zaślniły jej złotym blaskiem i w tej właśnie chwili Gage pojął, że ta dziewczyna musi należeć do niego. Wszystko jedno jak, bez względu na to, kim był jej ojciec, i co powiedziałby na to jego ojciec, Kathleen Langford musiała należeć do niego.

Ściągnął ubłocone dzinsy i koszulę. Ku jego zdumieniu, po chwili Kathleen też weszła do wody i, wykazując się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

odwagą, o którą jej nie podejrzewał, również zdjęła ubranie.

Kapali się blisko godzinę, pływając leniwie w przeświecających przez liście drzew złocistych promieniach słońca. W końcu Gage objął Kathleen i zniżył swe usta do jej warg. Oboje wiedzieli, że nadeszła chwila, na którą czekali.

Całował ją delikatnie, pieścił wargami jej usta, napawał się wonią jej oddechu, a ona nieśmiało odpowiadała na jego pieszczoty. Skórę miała niczym wilgotny jedwab. Płynąc obok siebie, opletli się nogami. Pieścił dłońmi jej ciało, jej kark, ramiona, plecy. Pożądał jej do utraty zmysłów, ale nie chciał ponaglać.

- Sami prosimy się o kłopoty - mruknął prosto w jej usta.

Jej piersi, skryte koronkowym stanikiem, otarły się o jego tors. Pod wpływem tego ekscytującego dotyku Gage zacisnął zęby i mocniej przygarnął dziewczynę. Miała płaski, zniewalająco gładki brzuch, czuł, jak przyciska do jego bioder swoje biodra.

- Nie wiedziałam, że chłopcy Ramsey'a boją się drobnych kłopotów - szepnęła, gryząc delikatnie jego dolną wargę.

Gage zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem. Jeszcze trochę, a... Boże, czy ona tego nie rozumie? Czy Kathleen nie zdaje sobie sprawy z tego, co z nim robi, nie wie, do czego taka bliskość może doprowadzić? Zachowywała się tak niewinnie i tak uwodzicielsko zarazem. A on przecież wiedział, że ta dziewczyna naprawdę jest jeszcze niewinna. Kochać się z kobietą to jedno; z dziewczynką, to już zupełnie coś innego.

Do diabła, czy jest na to gotów...? Do licha, przecież to jeszcze dziecko! Dziecko Brue Langforda, a na dodatek dziewczica!

- A tak swoją drogą... ile ty właściwie masz lat? - zapytał głosem, drżącym z pożądania.

Jej zęby zsunęły się z jego dolnej wargi i wsunęła mu do ust swój aksamitny język.

- Wystarczająco wiele. - Wyczuł, że Kathleen się uśmiecha. - Szesnaście.

Szesnaście! Aż jęknął. Ocierała się o niego, jeszcze bardziej rozpalając jego i tak już rozpalone ciało.

- Kathy... kochanie. Nie jestem pewien... - Czuł, że granica jest blisko; ta słodka, rozkoszna, upojna granica, po przekroczeniu której będzie mógł już tylko pograżyć się w zniewalającej błogości miłosnego spełnienia.

- Ale ja jestem pewna - szepnęła mu do ucha niczym Ewa-kusicielka. - Nie jesteś taki jak inni, Gage. Zawsze byłeś... kimś szczególnym.

- Twój tata nam da, kiedy się dowie...

- O niczym się nie dowie - roześmiała się radosnym, beztroskim i ufnym śmiechem dziewczyny, która pierwszy raz przekracza próg-dorosłości. - Nie zamierzam o niczym mówić. A ty?

Nie odpowiedział. Zrobił dokładnie to, do czego nagliło go jego gorące z niezaspokojonej tęsknoty ciało, na co czekała Kathleen - z cichym jękiem pochylił twarz nad jej ustami, jego pieszczoty stały się mniej delikatne, bardziej pożądliwe, domagające się odpowiedzi.

Odpowiedziała ochoczo. Odwieczny kobiecy instynkt powiedział jej, jak się poruszyć, jak ułożyć ciało, jak...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ej, ty tam! Co, do cholery ciężkiej, wyprawiasz?! Zabieraj łapy od mojej córki albo zastrzelę cię jak psa!

Potężny głos rozdarł panującą ciszę niczym wystrzał z karabinu. Przez ułamek sekundy Gage sądził, że intruz rzeczywiście użył broni.

Dziewczyna gwałtownie wyrwała się z jego objęć. Gage obejrzał się i ujrzał na brzegu silnego, postawnego mężczyznę, ojca Kathleen. Siedział na wielkiej, szarej kłacz, która trzymana krótką ręką zadzierała głowę i parskała. Przeszywał ich zamglonym z wściekłości wzrokiem.

- Gage Ramsey! Powinienem się był tego domyślić!

- Langford podniósł do twarzy strzelbę i wystrzelił. Kula przeleciała tuż nad głową chłopaka.

- Tato!!! - krzyknęła przerażona Kathleen. - Boże wielki, tato, przestań! Zabijesz go!

- Do cholery jasnej, dokładnie to mam zamiar zrobić!

- wrzasnął ojciec, zeskoczył z konia i ruszył wielkimi krokami nad brzeg strumienia.

- Przestań! To moja wina! On mi tylko pomagał. Cielak ugrzązł w bagnie i Gage pomógł mi go wyciągnąć!

- Nie widzę w błocie żadnego cielaka! - rzucił Langford z poczerwieniałą twarzą. - Widziałem natomiast, jak Gage Ramsey obrzydliwie obmacuje moją córkę!

- Usmarowaliśmy się w błocie i weszliśmy do potoku się obmyć!

Kathleen, najwyraźniej rozdarta między wściekłością a wstydem, wypłynęła na płyciznę i wyprostowała się. Zdjęła z gałęzi pobliskiego krzaka schnącą sukienkę.

- Co...!? Pływasz prawie na golasa!? Na Boga, Kathleen, ja naprawdę...

Śniąc o aniołach

173

Nie dokończył, tylko z furią ruszył w jej stronę wielkimi krokami. Ale w tej samej chwili z wody wyskoczył Gage i stanął między nimi.

- Ona nie zrobiła nic złego, panie Langford - powiedział cicho. - Byliśmy mokrzy i zabłoceni, więc postanowiliśmy popływać w potoku i zmyć z siebie brud, dokładnie tak, jak powiedziała. Próbowałem ją pocałować, ale mnie odepchnęła. To wszystko.

- Gage!

- Nie interesuje mnie pańska córka, panie Langford - oświadczył twardo Gage.

Było to oczywiste łgarstwo. Zdawał sobie przecież sprawę z tego, iż pragnie Kathleen Langford bardziej niż czegokolwiek innego w życiu.

Ale czy mógł się do tego przyznać? Na pewno nie przed Langfordem. Nawet nie przed samym sobą czy nawet przed Kathleen. Teraz, gdy wygasł już w nim pożar namiętności, kiedy ochłonął, uświadomił sobie, że nie miałoby to najmniejszego sensu. Po coż było zwodzić i siebie, i Kathleen jakimikolwiek obietnicami, skoro i tak nie byliby w stanie ich zrealizować?

Ale mógł przynajmniej ją obronić.

- Mogę mieć każdą dziewczynę w okolicy - dodał buńczucznie. - Więc co mi po takiej kościstej i bojaźliwej małej dziewicy jak ona?

- Dotknij jej jeszcze raz, Ramsey, a zabiję cię. Jasne? Gage parsknął, odwrócił się i, nie spoglądając na Kathleen, ruszył w stronę ubrania

- Niech pan się nie boi, panie Langford. To jeszcze dziecko. Co takiego miałbym w niej widzieć?

ROZDZIAŁ DRUGI

Doug zaklął pod nosem i niecierpliwie nacisnął pedał hamulca, zatrzymując auto na czerwonych światłach. Lekko oszołomiona Kathleen rozejrzała się ze zdziwieniem. Wspomnienia znad Fireweed Creek były tak żywe! Prawie czuła smak ust Gage'a na swoich. Bardzo niechętnie wróciła myślami do rzeczywistości.

Uśmiechnęła się do siebie. Gage zachował się wtedy jak prawdziwy bohater, chociaż uświadomiła sobie to dopiero wiele lat później. Tamtego dnia uważała, że po prostu haniebnie ją zdradził.

Musiała jednak przyznać, że wówczas dotrzymał słowa. Tak jak zapowiedział, po prostu ubrał się i odmaszerował, nie oglądając się ani razu za siebie. A później, ilekroć się spotykali, spoglądał jej przelotnie w oczy, po czym odwracał głowę, zupełnie jakby jej nie znał, jakby owe namiętne, pełne żaru i intymności chwile w potoku nigdy nie miały miejsca.

Przez wiele tygodni chodziła wściekła, obrażona i zawstydzona. Dopiero po latach pojęła, że tą brutalnością Gage po prostu bronił Kathleen przed jej własnym ojcem.

A ojciec szybko zapomniał o całej sprawie i nigdy więcej nie wspominał o tym incydencie. Później umarła matka, ojciec zachorował i sprawy zaczęły się pogarszać.

Śniąc o aniołach

175

O mało co nie utracili High Mesa. Tacie nie starczało sił na prowadzenie gospodarstwa, był jednak zbyt uparty, zbyt dumny, żeby prosić o pomoc. Kathleen robiła wszystko, co było w jej mocy, aby podźwignąć ich i farmę z kłopotów, ale okazało się, że głównym jej przeciwnikiem jest własny ojciec, który zlekceważył i zniweczył wszystkie jej starania. To właśnie któregoś dnia w ciągu tych długich trzech czy czterech lat ojciec wymógł na niej przysięgę, że nigdy nie sprzeda High Mesa.

A sprawy układały się coraz gorzej. Farma stanęła na skraju bankructwa, wyprzedano stada, ziemia była zadłużona, wokół gospodarstwa niczym sępy krążyli bankierzy.

1 oto pewnego dnia do frontowych drzwi zastukał Gage Ramsey z propozycją... nie, nie małżeństwa. Zgłosił się z ofertą układu, fuzji interesów, jak to określił - kontraktu. Kathleen ponownie zatopiała się we wspomnieniach...

- Zupełnie nie pojmuję, o czym mówisz. - Kathleen znów zaczęła przechadzać się po pokoju dużymi krokami, wściekła i załamana, jakkolwiek żadnemu z tych uczuć nie pozwalała nad sobą zapanować.

- Do licha, Kathy - odezwał się przeciągle. Jego niebieskie oczy obserwowały ją z pobłażliwym rozbawieniem. - To chyba jasne. Po prostu zapytałem, czy mnie poślubisz?

Tak. Znów to powiedział. To właśnie słowo.

- Nie przypomina to normalnych oświadczeń - odparła ostrożnie Kathleen. - Brzmi raczej jak...

- Układ w interesach? - wyręczył ją uprzejmie. - Dokładnie o to, złotko, chodzi. Czysty, prosty, uczciwy interes. A co, wołałabyś inaczej?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Po tobie nie spodziewam się niczego więcej - odparła, dumna i załamana zarazem. - Dobrze, że chociaż jesteś szczerzy i mówisz, że chodzi ci o jedno, o ziemię.

- Wcale nie o ziemię - wyjaśnił grzecznie. - O wodę. Jest to jedyna rzecz, jakiej od ciebie pragnę. Słowem, po to przyszedł. Susza, która trapiła cały rejon od blisko dwóch lat, nie dotknęła jedynie High Mesa. Za to na wszystkie większe gospodarstwa, takie jak Tanglefoot Ramseyów, przyszły bardzo ciężkie czasy.

- Zredukowaliśmy już stada do połowy - ciągnął Gage.

- Ale jeśli susza się przeciągnie, znajdziemy się w opałach. Z wodą w High Mesa nie będziemy musieli się martwić.

Kathleen zapatrzyła się na kołującego na niebie orła.

- Dlaczego chcesz mnie poślubić? - zapytała w końcu.

- Dlaczego po prostu nie zaproponujesz kupna?

- Twój staruszek nie sprzeda ziemi, a ja nie mogę czekać na jego śmierć - odparł z brutalną szczerością.

Po grzbiecie ponownie przebiegł jej zimny dreszcz.

- Czy sądzisz, że zgodzi się na nasz ślub?

- Sądzę, że jesteś na tyle duża, żeby sama podejmować decyzje. - Nie spuszczał z niej uporczywego spojrzenia. - Mówię jedynie o fuzji interesów, Kathleen. O niczym więcej. Tanglefoot i High Mesa mają kłopoty. Wy potrzebujecie pieniędzy, ja wody i czasu. Zdaję sobie sprawę, że nawet gdyby udało mi się przekonać twego ojca, nie starczy mi pieniędzy, żeby kupić waszą posiadłość na pniu. Mam ich jednak tyle, żeby spłacić waszych wierzycieli i sprawić, że wasza farma, jak i moja, ponownie rozkwitną. - A więc?

- A więc zawrzemy kontrakt. Pozostaniesz moją żoną

tak długo, aż skończy się susza i wzrośnie cena ziemi. W tym czasie sprowadzę do Tanglefoot trzode, spłacę wasze długi i oba gospodarstwa zaczną prosperować. Pomyśl o ojcu - powiedział cicho. - Przecież nie będzie żył wiecznie. Zabije go widok wierzycieli, którzy zlicytują jego ziemie. Sama najlepiej o tym wiesz. Poślubiając mnie i łącząc się z Tanglefoot, utrzymasz farmę... no cóż, do czasu, gdy będziesz mogła ją sprzedać. A wtedy albo odkupię twoje ziemie za uczciwą cenę, albo odsprzedam trzecią część. Określę dokładnie, ile w nią włożyłem. Rozliczymy się i będziesz mogła ją zatrzymać... prowadzić samodzielnie.

- Nic więcej?

Czystym szaleństwem było sądzić, że Gage nie postawi dodatkowych warunków. Kathleen wiedziała o tym doskonale. A jednak ujęła ją prostota zaproponowanego rozwiązania. Była wyczerpana ciągnącymi się od miesięcy negocjacjami z bankierami, zmęczona świadomością, że zbliża się nieuchronny koniec wszystkiego. Jak łatwo było cały ten ciężar zrzucić na barki Gage'a Ramsey'a.

- Nic więcej - usłyszała tuż nad uchem jego głos. Zdawała sobie sprawę, że Gage zamierza ją dotknąć i na

przekór samej sobie drgnęła, gdy delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Natychmiast zalała ją fala wspomnień...

- Pamiętasz to popołudnie nad Fireweed Creek? - mruknął, Kathleen poczuła na karku jego oddech. -

Czy to naprawdę aż tak trudne? Jako moja żona...

Cofnęła się krok i odwróciła w jego stronę. Myślała, że lada chwila załamią się pod nią kolana.

- Zgoda - powiedziała wreszcie oziębło. - Ale pod jednym warunkiem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jakim?

- Będę spała w swoim łóżku, a ty w swoim. Spróbuj mnie tknąć, a natychmiast odejdę... i zabiorę High Mesa.

Milczał chwilę, jego wlepione w nią oczy płonęły.

- Niech cię szlag - powiedział szeptem. - Dobrze wiesz, gdzie uderzyć, żeby najbardziej zabolalo.

- To układ. Możesz się zgodzić, albo nie.

- Wydaje mi się, że nie jesteś w najlepszej pozycji, żeby się targować, złotko. Gdy u drzwi stoi wilk...

- Jeśli mam się prostytuować, wolę jeszcze dziś po południu oddać bankierom High Mesa - oświadczyła dobitnie. - Poślubię cię i dam ci w zarząd naszą farmę do czasu, gdy oboje nie wygrzebiemy się z tarapatów i dopóki będzie żył mój ojciec. Ale spać z tobą nie będę. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Wy, Ramseyowie, za pieniądze chcielibyście kupić wszystko, nawet... to. Ale nie ode mnie.

- Za „to” nigdy jeszcze nie płaciłem - odparł Gage. Twarz mu poczerwieniała, oczy się zwęziły. - I nie będę.

- Zatem doskonale.

Kathleen przełknęła ślinę. Zwycięstwo nie dało jej najmniejszej satysfakcji. Już otwierała usta, żeby wyjaśnić, że mówiąc o oddzielnych sypialniach, chciała tylko sprawdzić, jak zareaguje, ale widok jego mrocznych, niebieskich oczu sprawił, że nie odezwała się słowem.

- Więc co, dobiliśmy targu? - zapytał, patrząc jej w oczy. Zacisnął usta, w źrenicach pojawił mu się lodowaty błysk.

- Tak - szepnęła i odwróciła się, żeby nie dostrzegł łez w jej oczach.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Zostawię cię przy izbie przyjęć i poszukam miejsca do zaparkowania samochodu. - Głos Douga wyrwał Kathleen z zamyślenia. Mężczyzna popatrzył na nią z niepokojem. - A może będzie lepiej, jak wejdziemy razem?

- Nie bądź niemądry, Doug - odparła Kathleen, odpinając pas bezpieczeństwa. - Jestem dorosła. Umiem sobie radzić.

Starła się zachować zimną krew, ale coś wewnątrz niej skowyczało. Bała się wchodzić do środka. Na pewno nie sama. Nie chciała... nie chciała widzieć ich, jego rodziny. Nie chciała pzbawiać się kojącej asysty Douga, słuchać, jak jakiś przepracowany i przemęczony lekarz powie jej, że...

- Poradzę sobie - stwierdziła stanowczo i otworzyła drzwi samochodu. - Nie musisz zostawać, Doug, naprawdę. Przecież nie ma sensu, żeby matka Beth jechała taki kawał drogi tylko dlatego, że wy...

- Zostanę - powiedział. Jego oczy ostro odbiły jaskrawe światło oświetlające wejście do szpitalnej izby przyjęć. - Wracam za chwilę.

Gdy Kathleen zbliżyła się do biurka dyżurnej pielęgniarki, poczuła, jak coś boleśnie ściska ją w gardle. W głównej poczekalni poza pielęgniarką znajdowały się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dwie osoby: młody lekarz o zapadłej, szarej ze zmęczenia twarzy, ciągle jeszcze przebrany w zielony strój chirurga, oraz jakiś mężczyzna. Wysoki. Barczysty. Ubrany w skórzaną kurtkę i dżinsy. Nawet patrząc na niego od tyłu, rozpoznała jednego z Ramseyów.

Nie musiała spoglądać mu w twarz, żeby stwierdzić, że to Decker Ramsey - starzec równie sławny, jak nazwisko które nosił. I jeszcze bardziej budzący lęk.

W tej samej chwili Decker odwrócił się i ujrzał Kathleen. Posłał jej spojrzenie ponad przybranym w zielony strój ramieniem lekarza i zadarł wysoko swą siwiejącą głowę. W niebieskich oczach załśnił mu gniew.

Bała się, że starzec natychmiast da jemu upust, on jednak zapanował nad sobą. Widocznie stwierdził, że to nie miejsce do konfrontacji z Kathleen i że rozmówi się z nią nie tu, gdzie mogło ich słyszeć tyle nieżyczliwych i ciekawskich uszu. Problemy Ramseyów rozwiązywało się we własnym gronie, najlepiej za zamkniętymi drzwiami.

- Nie sądziłem, że przyjedziesz - powiedział krótko. Jak śmiałaś tu przychodzić? - miał na myśli.

Ku zdumieniu Kathleen, na widok Deckera Ramseyego nie ogarnęło jej przerażenie. Skonstatowała tylko, że ma przed sobą po prostu starego człowieka. Starego, zmęczonego i... śmiertelnie wystraszonego. Wszystko to widziała w jego oczach.

Serce w niej zamarło. Oszołomiona, potrafiła tylko wodzić wzrokiem po twardych rysach mężczyzny.

- Czy on...?

Uprzejma odpowiedź przyszła mu z trudem. Wykrzywił usta, by w końcu wypluć z siebie jedno słówko:

181

- Nie.

- A pani jest...? - zapytał nerwowo lekarz.

- Kathleen Ramsey - odrzekła, patrząc mu uporczywie w oczy. - Jestem żoną Gage'a Ramseya. I chcę wiedzieć, w jakim stanie znajduje się mój mąż.

Lekarz popatrzył na nią uważnie.

- Doktor Haynes - przedstawił się. - Chciałbym z panią porozmawiać, pani Ramsey. W cztery oczy.

- Chyba nie zamierza pan rozmawiać o moim synu beze mnie - warknął ze złością Decker. - Ta kobieta nie ma...

- Proszę wybaczyć, panie Ramsey - odrzekł gładko Haynes, ujmując Kathleen za łokieć i kierując ją w stronę bocznego korytarza. - Niech pan dołączy do pozostałych w poczekalni. Porozmawiam z panem później. A na razie muszę zamienić kilka słów z żoną pańskiego syna.

Słowa te zapaliły w oczach Deckera ogień gniewu, ale zanim stary człowiek zdążył cokolwiek powiedzieć, Haynes odszedł z Kathleen w głąb korytarza.

Zaprowadził ją do małego, komfortowo wyposażonego gabinetu, ruchem głowy wskazał jej fotel, a sam podszedł do ekspresu do kawy. Nalewając filiżankę czarnego „szatana”, uniósł pytająco brwi. Kathleen odmownie potrząsnęła głową i lekarz wsypał sobie łyżeczkę cukru, przeszedł za biurko i ciężko usiadł na krześle.

- Jest źle, prawda? - Kathleen zmusiła się, by zapytać opanowanym głosem.

Lekarz spoglądał na nią chwilę w milczeniu, po czym skinął głową.

- Fatalnie. - Wypił łyk gorącej kawy i chwilę szukał słów. - Zderzenie czołowe. Pani mąż stracił panowanie nad

GWIAZDKA MIŁOŚCI

kierownicą, kiedy chciał uniknąć zderzenia z innym wozem. Wpadł w poślizg. Samochód przewrócił się na bok i uderzył w cysternę nadjeżdżającą z przeciwka. Cud boski, że nie nastąpiła eksplozja, ale...

- Wzruszył ramionami. - Mąż jest w stanie krytycznym. Nie jesteśmy nawet pewni, jak rozległe są wewnętrzne obrażenia. Ostatnie dwie godziny spędziliśmy tylko na tym, żeby utrzymać go przy życiu. Odrętwiała, przejęta wewnętrznym chłodem, Kathleen była tylko w stanie w milczeniu skinąć głową.

- A... - chrząknęła - mówili... przez telefon... że potrzebuje pan mojej zgody na operację.

Lekarz uśmiechnął się lekko.

- To tylko pretekst. Po prostu chciałem, żeby pani tu była. Bo on chce, żeby pani tu była.

Kathleen ze zdumienia zamrugła oczyma.

- Gage?

- Zaraz po tym jak go przywieziono, odzyskał na chwilę przytomność. Wzywał panią. - Spoglądał na nią chwilę zamyślonym wzrokiem. - Jego ojciec twierdzi, że pani nie jest już jego żoną.

Zirytowała się gwałtownie.

- Jesteśmy w separacji od blisko sześciu miesięcy, ale ciągle jesteśmy małżeństwem. Podejrzewam, że domyśla się pan, że ja i jego rodzina nie jesteśmy sobie... zbyt bliscy.

Cień uśmiechu przemknął przez twarz lekarza.

- Tak, domyślam się - odrzekł i znów spoważniał. - Sugerowali, by nie stosować na siłę aparatury podtrzymującej jego życie - oświadczył cicho.

- Oni? Co? - Kathleen wyprostowała się w fotelu, jej ostry głos wypełnił pokój.
 - W normalnych okolicznościach nie mieliby nic do powiedzenia, ale ten szpital funkcjonuje dzięki pieniądzom Ramseya. Ogromnym pieniądzom. Tak więc robi on tu, co chce.
 - Po moim trupie - odparła Kathleen zimnym, spokojnym, opanowanym głosem.
 - Miałem nadzieję, że właśnie to pani powie. Niewiele osób jest w stanie przeciwstawić się się Ramseyowi. Nie wiem, czy pani to potrafi.
 - Nie boję się Deckera Ramseya - skłamała. - Ani reszty jego rodziny. Im chodzi wyłącznie o ziemię. O ranczo. Przed mniej więcej sześciu laty Decker mocno podupadł na zdrowiu i przekazał Gage'owi zarządzanie Tanglefoot. Od tego czasu każdego dnia żałuje tej decyzji. Nie zgadzają się z synem niemal we wszystkim. Jednak główny kłopot stanowią bracia Gage'a.
- Kathleen wstała z fotela i zaczęła przechadzać się po gabinecie. Zdawała sobie sprawę, że to, o czym mówi, nie musi interesować lekarza, ale jednocześnie była przekonana, iż doktor powinien o tym wiedzieć. Znać powody, dla których rodzina Ramseyów chce, żeby Gage umarł.
- Wmówili Deckerowi, że czasy wielkich rancz minęły. Że Tanglefoot należy sprzedać inwestorom, którzy chcą na tych ziemiach zbudować wielki ośrodek turystyczno-rekreacyjny.
- Haynes cicho gwizdnął pod nosem.
- Bez względu na to, czy panuje susza, czy nie, ziemia ta jest warta fortunę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Wyrażając się kwotą ośmiocyfrową - uściśliła obojętnym tonem Kathleen.

Jej serce nie było jednak obojętne wobec planów braci Ramseyów. Chcieli sprzedać nie tylko Tanglefoot, ale również High Mesa wraz z jej studniami artezyjskimi zawierającymi bezcenną wodę. I choć Kathleen wmawiała sobie, że to nieważne, że o to nie dba, tak naprawdę los rodzinnej farmy zatruwał spokój jej duszy.

- Ale Gage ziemi nie sprzeda - dodała cicho. - On jest farmerem, nie inwestorem. Nie chce pieniędzy, chce ziemi. I nikt nie jest z tego zadowolony.

Z wyjątkiem mnie - dodała w duchu.

- Rozumiem. Jeśli się im przeciwstawię i wbrew ich woli będę trzymał go przy życiu, stracą miliony.

- Bardziej niż pewne, iż straci je również pański szpital - odparła Kathleen. - Czy mogę zobaczyć Gage'a?

Lekarz zmarszczył brwi.

- Nie radziłbym. Jest masa potłuczonego szkła i krwi. Poza tym przygotowują go do operacji. To... no cóż, nie jest to najlepszy pomysł.

- Jakie ma szanse?

Musiała zadać to pytanie. Musiała znać prawdę.

- Niewielkie - padła cicha, szczerą odpowiedź. Opuściwszy gabinet lekarza, Kathleen stanęła bezradnie

na środku korytarza, zastanawiając się, co dalej robić.

- Pani Ramsey?

Cichy głos sprawił, że rozejrzała się. Obok niej stała pielęgniarka, trzymając w ręku zniszczoną skórzaną kurtkę.

- To jedyna rzecz, jaką policji udało się uratować z samochodu pani męża. /

185

Kathleen wzięła odruchowo kurtkę i mruknęła coś w podziękowaniu, powstrzymując napływające do oczu łzy. Pielęgniarka uśmiechnęła się i podała jeszcze jeden przedmiot.

- I to - dodała łagodnie. - Jest na niej pani imię. Myślę... chyba chciałby, żeby pani to dostała.

Kathleen popatrzyła tępo na niewielką paczuszkę zawiniętą w błyszczący błękitny papier i przewiazaną lśniąca srebrzystą tasiemką, a następnie na pielęgniarkę.

- Dziękuję - szepnęła wzruszona i ujęła pakunczek lodowato zimnymi palcami.

- Za tymi drzwiami mamy osobną poczekalnię - powiedziała cicho pielęgniarka. - Znajdzie tam pani chwilę wytchnienia, zanim przybędzie reszta rodziny pani męża.

- Tak - odparła szeptem Kathleen i jak we śnie ruszyła w kierunku wskazanych przez pielęgniarkę drzwi. Nie była świadoma niczego oprócz ciężaru skórzanej kurtki Gage'a, którą niosła.

Tuląc ją do piersi, usiadła na krześle. Nadeszła najgorsza chwila, gdy nic nie była już w stanie zrobić.

Mogła tylko bezradnie siedzieć i czekać, podczas gdy inni próbowali ratować jej męża.

Uświadomiła sobie, że po policzkach płyną jej łzy. Nie próbowała ich nawet ukryć. Otarła tylko dłonią i zaczęła szukać chusteczki. Gage nienawidził, kiedy płakała...

Nie znalazłszy chusteczki w swoich kieszeniach, zaklęła cicho i zaczęła szukać w kieszeniach kurtki Gage'a.

Namacała ją w drugiej kieszeni i wyjęła, żeby wytrzeć łzy. W chusteczkę było coś zawinięte.

Niecierpliwie rozwinęła materiał i... i długo siedziała nieruchomo, gapiąc się w leżącego na dłoni malutkiego, szklanego aniołka.

186

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Jej aniołka.

Gage podarował go jej na pierwsze po ich ślubie Boże Narodzenie.

Ale to przecież niemożliwe.

Osobiście roztrzaskała go w chwili gniewu. Widziała na własne oczy kawałki szkła leżące na podłodze sypialni!

A jednak był to ten sam anioł. Dojrzała ostre pęknięcia w miejscach, gdzie Gage nieporadnie posklejał kawałki. Przeciągnęła palcem po chropawej krawędzi skrzydła. Z oczu popłynęły jej strumienie łez, których teraz już nawet nie próbowała wycierać.

- Dlaczego, Gage? - zapytała żałośnie. - Dlaczego...?

I wbrew jej woli znów napłynęły wspomnienia...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Były to drugie święta Bożego Narodzenia po ich ślubie. Jak zwykle cała rodzina miała je spędzić u Gorda i jego żony, w ich rozległej posiadłości na pogórzcu. Decker, który mieszkał na ranczo z Kathleen i Gage'em, wyjechał wcześniej, chcąc po drodze odwiedzić w mieście jakichś swoich kumpli. Kathleen i Gage spędzili rano na przygotowaniach do drogi.

Już od rana radio ostrzegało o zbliżającej się burzy śnieżnej, ale Gage zwlekał z wyruszeniem do ostatniej chwili, sprawdzając, czy wszystko na ranczo zostało zamknięte i przygotowane na wyjazd właścicieli. Zadymka nadeszła tuż przed ich wyjazdem. Z trudem dotarli do głównej drogi, a wtedy Gage zatrzymał samochód i oświadczył, że jazda w taką pogodę to niemal to samo co samobójstwo. - Ech, to nie będą prawdziwe święta... - stwierdził ponuro, taksując ją wzrokiem. - Sami, bez rodziny... Sam, tylko z żoną - mówił jego ton.

Kathleen uśmiechnęła się z przymusem. Nie chciała tego mówić, lecz wolałaby spędzić święta nago w zaspie śnieżnej niż z jego rodziną.

- Nie będzie tak źle - powiedziała pogodnie. - Ubierzemy choinkę, przygotujemy eggnog, posłuchamy kolęd...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Nie spuszczał z niej wzroku, pokiwał powoli głową.

- No tak, ale nie zobaczysz się z ojcem...

- Zrozumie. Zresztą do niego i ciotki Maud przyjeżdża na świąteczny obiad duże towarzystwo, więc nie będą sami. Wpadnę do nich, kiedy drogi będą już przejezdne.

- A jeśli wyłączą prąd?

Teraz już kpił, kącki oczu zmarszczyły mu się w lekkim uśmiešku.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli wyłączą prąd, to zasiądziemy przed płonącym kominkiem i będziemy grali w karty albo... robili coś innego...

Cholera jasna, czy mógłby przestać się tak na mnie gapić - pomyślała. W jego oczach było coś niepokojącego - jakiś subtelny, erotyczny kontekst. Gage błdził spojrzeniem po jej ustach, kształtnej szyi w taki sposób, że Kathleen czuła, jak zasycha jej w gardle. Nie patrzył tak na nią od początku ich małżeństwa, a nawet od tamtego popołudnia nad Fireweed Creek, gdzie niemal nie doszło między nimi do...

- Sypie coraz bardziej - powiedziała nerwowo, byle tylko przestał na nią patrzeć. - Wracajmy, nim do reszty zasypie drogi.

- Masz rację. - Gage chwilę jeszcze bacznie się przyglądał Kathleen, po czym uśmiechnął się do siebie i uruchomił silnik. - W końcu nie chciałbym pierwszej rocznicy ślubu spędzać w zaspie.

Rocznica ślubu.

Słowa te przeszyły Kathleen niczym kryształowe ostrze, docierając do samego serca.

Boże, jak mogła zapomnieć! Przecież to Wigilia. Przed , rokiem tego samego dnia wzięli ślub.

Popatrzyła na Gage'a zajętego zawracaniem auta na zaśnieżonej drodze. Nigdy nawet nie napomknął, że są małżeństwem, nie nazwał jej nigdy żoną, zawsze traktował tylko jak jednego z domowników. Nie jak pracownika, ale też i nie jak członka rodziny.

Ale czego miała się niby spodziewać? Od początku uczciwie dotrzymywał umowy, a ona przecież w ten związek - unikała słowa małżeństwo - weszła, doskonale wiedząc, co robi. Musiałaby postradać rozum, żeby mieć nadzieję, że pewnego ranka obudzi się w ramionach Gage'a Ram-seya, który wyzna jej miłość.

Poza tym ich małżeństwo miało trwać jedynie do chwili, kiedy Tanglefoot i High Mesa staną ponownie na nogi. A skoro od początku wiadomo było, że kiedyś to nastąpi i że ich drogi rozejdą się na zawsze, byłoby szaleństwem angażować się w coś, co nie miało przyszłości.

Z tych przypominających senne marzenia rozmyślań wyrwał ją natarczywy, przenikliwy dźwięk dzwoniącego gdzieś telefonu.

Kathleen z uporem nie otwierała oczu, nie chcąc wracać do ponurej rzeczywistości. Z jakichś względów wydawało się jej niebywale ważne, by nie wydobywać się z tego snu na jawie. Zupełnie jakby pozostając w marzeniach, pozostawała z Gage'em. Nie chciała pozwolić, żeby odszedł od niej na dobre...

Jeśli pozwolę umysłowi dryfować - wmawiała sobie rozpaczliwie - to wrócę. Wrócę do samochodu, tamtego zimnego poranka, gdy na świecie szalała zamieć. Wrócę do Gage'a...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- *Jakie ciśnienie krwi?*

- *W normie. A jak u ciebie?*

- *Lepiej niż się spodziewałem. Ten facet rzeczywiście miał szczęście. Kilka centymetrów w jedną albo drugą stronę i byłoby po nim. Podaj nici i wysysij jeszcze trochę krwi.*

Szepty, głosy bez słów nieustannie wyrywały go z ciepła i bezpieczeństwa sennych marzeń.

Poirytowany Gage walczył. Chciał do niej wrócić. Tam byłby bezpieczny. Chroniony. Sen, który śnił, był tak rzeczywisty, że prawie czuł w płucach lodowate smagnięcia wiatru, słyszał jak nawiewany wichurą śnieg szoruje o karoserię auta, słyszał, jak ten śnieg skrzypi pod oponami. Pamiętał, że znajdowali się w samochodzie, a on jej oświadczył, że muszą spędzić Boże Narodzenie - i ich rocznicę - we dwójkę, sami. Gdyby się odpowiednio skoncentrował, mógłby być tam z nią ponownie. W samochodzie... Wrócił my ślą do przeszłości...

Ten plan zrodził mu się w głowie poprzedniego dnia po 14⁰⁰ po południu, kiedy nadeszły pierwsze doniesienia o nadchodzącej burzy śnieżnej. Dał już Marthcie i służbie kilka dni wolnego, więc pozostało mu tylko przekonać Deckera, że powinien wyjechać wcześniej. Nie było to proste, ale jakoś tego dokonał, a następnie tak długo zwlekał z wyjazdem, że przyszła taka śnieżyca, iż Kathleen nie mogła mieć wobec jego decyzji żadnych podejrzeń.

Plan zadziałał znakomicie. Cały problem polegał jednak na tym, co robić dalej.

Spojrzał na nią w tej samej chwili, gdy ona patrzyła na niego i poczuł obezwładniający ucisk w żołądku. Wcześniej czuł to już wielokrotnie - lekkie napięcie seksualne,

świadomość wzajemnej obecności - ostatnim razem przydarzyło mu się to jednak już dość dawno. Teraz do tego niepokojącego napięcia doszedł dodatkowy element -świadomość kim są, kobietą i mężczyzną złączonymi węzłem małżeństwa, i tego, kim mogliby stać się naprawdę.

Zaprzagnął nagle wziąć Kathleen w ramiona i całować jej słodkie jak nektar usta, bez opamiętania, długo, aż do znużenia. Dotykać jej, wodzić dłońmi po smukłym, rozkosznym ciele, czuć pod palcami aksamit skóry. Przygarnąć ją, wziąć w ramiona, czuć gorącą i jedwabistą nagość.

Ale najbardziej chciał się z nią kochać, jak mężczyzna z kobietą, jak mąż z żoną. Zagłębić się w wilgotnym wnętrzu jej ciała, czuć ją, smakować, pogрузić się bez reszty w rozkosznych doznaniach. Chciał słyszeć;* jak Kathleen szepcze nieprzytomnie jego imię, jak krzyczy z pożądania i rozkoszy. Chciał, żeby stoczyła się w najgłębsze przepaście miłosnej ekstazy, a potem wznieść głowę do księżycy i wyć, gdy eksplodowałby jego własny świat.

Od ponad roku nie kochał się z żadną kobietą. Czasami budził się nocą ogarnięty bolesną żądzą i leżał w ciemnościach, myśląc o Kathleen, która spała tuż za ścianą jego sypialni. Ileż to razy wstawał, podchodził do dzielących ich pokoje drzwi i stał z ręką na klamce, pragnąc przekroczyć próg, wślizgnąć się do łóżka Kathleen, wziąć ją w ramiona i pokazać, co to prawdziwa miłość.

Ale nie mógł, coś go wstrzymywało...

Czasami myślał, że gdyby wiedział, jak będzie ciężko, nigdy by się nie zdecydował na to przedziwne małżeństwo. Ba, gdyby wiedział.....

Mrzonki, złudne nadzieje - myślał wielokrotnie z gory-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

czą. Poślubił ją, sądząc, że Kathleen natychmiast się w nim zakocha - ta wyniosła i dumna Kathleen Langford zakocha się w nim do szaleństwa. A tu - przeciwnie, to on się w niej zakochał...

Podczas jazdy powrotnej na ranczo, kiedy brnęli powoli przez tumany śniegu, żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Gdy wreszcie dotarli do domu, wydał się im dziwacznie cichy i pusty, co wzmogło tylko panujące między nimi pełne niepokoju napięcie. Gage znosił je cierpliwie, ale do czasu. Gdy stało się zbyt wielkie, mruknął, że pójdzie zobaczyć co z trzodą i wyszedł, zamiast oświadczyć, że do diabła z obietnicami i zdrowym rozsądkiem, że powinni natychmiast pójść do łóżka.

Kiedy po mniej więcej godzinie wrócił, wiedział już, że nie zdoła dłużej ze sobą walczyć, wyruszył więc na poszukiwanie Kathleen.

Była w kuchni. Ubielone mąką włosy opadały jej na oczy, policzki miała poczerwieniałe od bijącego z piecyka gorąca. W skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami, pochylała się nad stolnicą i wyrabiała ciasteczka w kształcie aniołków.

- Nie wiedziałem, że potrafisz gotować.

Podszedł do niej i zajrzał przez ramię, jak nakłada lukier na skrzydełka, aby błyszcząły niczym srebrne.

- Naturalnie, że potrafię - powiedziała ze śmiechem i otarła przedramieniem czoło.

Kiedy na ułamek sekundy ich wzrok się spotkał, Gage pojął nagle, że Kathleen myśli o tym samym co on: że od roku są małżeństwem i że przez cały ten okres najwyżej od czasu do czasu robiła mu filiżankę kawy.

Przyciągnęła do siebie kolejną brytfankę z ciastkami.

193

- Boże Narodzenie nie byłoby Bożym Narodzeniem bez ciasteczkowych aniołków - powiedziała, podając mu jedno. - Zawsze pomagałam mamie je robić. I zanim jedno posypałam cukrem, zdążyłam zjeść dwa...

Gage roześmiał się i wbił zęby w ciastko.

- Mnie to ominęło. Moja mama zmarła, kiedy miałem dwa lata. Nawet jej nie pamiętam.

Popatrzyła na niego, najwyraźniej ważąc jakąś myśl. Nagle roześmiała się i wręczyła mu garnek z lukrem.

- Zawsze twierdziłam, że na szczęśliwe dzieciństwo nigdy nie jest za późno. - Musiał wyglądać na kompletnie zaskoczonego, bo wybuchnęła śmiechem. - To łatwe. Chodź, pokażę ci...

Delikatnie ujęła jego dłonie i pokazała, jak nakładać lukier. Zawahał się, ale dał się prowadzić.

Spróbował. Na widok rezultatu oboje zmarszczyli brwi.

- No cóż - stwierdziła. - Do tego potrzeba wprawy. Gage parsknął śmiechem.

- Nie chęć cię załamywać, słoneczko, ale twoje wysiłki idą na marne. Moje artystyczne zdolności wystarczają najwyżej do malowania stodół i płotów. To beznadziejny trud.

- Nic nie jest beznadziejne.

- Nawet ja?

- Nawet ty. - Spojrzała na niego z ukosa. - No, spróbuj jeszcze raz.

Nie miał serca mówić jej, że traci tylko swój czas. Poza tym ogromną rozkosz sprawiała mu jej bliskość. Czuł ciepło bijące od ciała Kathleen, jej włosy łaskotały go w policzek, krągłe piersi muskały jego ramię. Myślał o wszystkim, tylko nie o lepieniu bożonarodzeniowych aniołków.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

W końcu nie był w stanie znieść dłużej tego napięcia. Jeszcze sekunda, pomyślał, i narobi sobie dużych kłopotów. Bo gdy chwyci ją w ramiona i zacznie całować, to...

- Muszę iść - powiedział ochryple.

Kathleen zaczęła protestować, lecz on odwrócił się i szybko wyszedł z kuchni.

Kiedy dużo, dużo później wszedł do salonu, zastał w nim Kathleen siedzącą na plecionym dywaniku przed kominkiem. Wpatrywała się w języki ognia z tak żalnym wyrazem twarzy, że pomyślał, iż za chwilę pęknie mu serce.

Usłyszała, że wszedł, uniosła twarz i popatrzyła na niego lśnącymi oczyma, a Gage nabrał nieprzyjemnej pewności, że Kathleen płakała. Jakby chcąc zaprzeczyć jego myślom, dziewczyna uśmiechnęła się, a potem przeciągnęła rozkosznie.

- Może jesteś głodny? - zapytała. - Upiekłam szynkę, mamy też...

- Później - odparł i usiadł obok niej na dywanie. Przez chwilę obracał w palcach niewielkie pudełeczko, owinięte w błyszczący papier, i zastanawiał się, dlaczego czuje się tak nieswojo.

- Ja... no... przywiozłem to w zeszłym tygodniu z miasta - mruknął w końcu. - Pomyślałem, że może ci się spodoba...

Na widok osłupienia na jej twarzy wybuchnął śmiechem jak dzieciak. Podał jej pudełeczko.

- Otwórz.

- Ale przecież Boże Narodzenie... to jeszcze nie dzisiaj.

- No właśnie. Bo to nie jest prezent na Boże Narodzenie.

Śniąc o aniołach

195

Powoli rozpakowała paczuszkę.

- Och, Gage! - westchnęła z zachwytem. - To jest... cudowne - dokończyła cicho, a on ujął jej podbródek, uniósł głowę i delikatnie pocałował w usta.

- Dziś jest rocznica naszego ślubu, dziecko. Przetrwaliśmy cały rok.

Jej oczy zaćmił smutek, lecz natychmiast uśmiechnęła się i znów spojrzała na podarowany jej przed chwilą pierścionek.

- Tak - powiedziała cicho, dziwnie grubym głosem. - Przetrwaliśmy... - Westchnęła głęboko i znów przeniosła wzrok na Gage'a. - Jest cudowny, ale nie mogę go przyjąć, Gage. To nie byłoby uczciwe. Nie w tych... okolicznościach. - Znów spojrzała na pierścionek. - Gdybym go wzięła, byłby to fałsz.

- Daj spokój, Kathy. Chcę, żebyś go wzięła - powiedział szorstko, odebrał jej z dłoni pudełeczko, wyjął z niego pierścionek i wsunął jej na palec lewej dłoni. - Wiem, że to cholerstwo nic nie znaczy, ale chcę, żebyś przyjęła ode mnie ten pierścionek. Później, jeśli zechcesz, sprzedasz go. Ale teraz chcę, żebyś go nosiła.

Popatrzyła na niego niepewnie, skinęła głową i położyła pudełeczko obok siebie. Gage odetchnął z ulgą.

- Ale ja dla ciebie nic nie mam - powiedziała cicho, nie patrząc na niego. - Nie wiedziałam, że zechcesz świętować tę rocznicę.

- Niczego się nie spodziewałem - burknął. - Kupiłem pierścionek, bo uważałem, że jestem ci coś winien. To wszystko. Nie możesz wyjść z naszego układu z niczym. Potraktuj go jako inwestycję na przyszłość, a od razu spojrzysz na niego łaskawszym okiem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Pochyliła głowę tak, że nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Zastanawiał się chwilę, jak można dzielić z kimś życie i jednocześnie czuć się tak samotnym.

- Przepraszam - mruknął kwaśno. - Kupiłem ci pierścionek, żeby sprawić ci przyjemność, a nie psuć Boże Narodzenie.

W oczach Kathleen pojawił się cieplejszy blask. Uśmiechnęła się.

- Wcale nie zepsułeś mi Bożego Narodzenia, Gage. Po prostu myślałam sobie, jak miło byłoby nam bez... - urwała. - Tylko my, we dwoje. Prawie wcale ze sobą nie rozmawiamy. .. - Znow urwała, a jej wzrok powędrował w stronę lśniącego na palcu pierścionka.

- Nie jest to łatwe, prawda? - zapytał nieoczekiwanie. - Chodzi mi o małżeństwo takie jak nasze.

Wzruszyła ramionami trochę zbyt obojętnie.

- Rzeczywiście - przyznała - spodziewałam się, że będzie łatwiej. - Spojrzała na Gage'a, po czym znow przeniosła wzrok na pierścionek. - Nie chodzi o ciebie - dodała bardzo cicho. - Ty okazałeś się więcej niż uczciwy. Ale twoja rodzina jest taka... trudna. Gage chrząknął.

- Moja rodzina jest jeszcze bardziej niestrawna, niż myślisz. Staruszek nie może pogodzić się z myślą, że prowadzę Tanglefoot bez jego pomocy, a moi bracia i Carol dostają furii na samą myśl, że ojciec przekazał ziemię mnie, zamiast podzielić ją między wszystkich.

- W utrzymaniu rancza w całości tkwi wielki sens. Gage popatrzył na nią i od razu domyślił się tego, czego

Kathleen nie dopowiedziała: że tylko on z całej szóstki

naprawdę pragnął ziemi i że oddałby za nią wszystko. Że Todd przepiłby swoją działkę, a Gord przegrałby ją w pokera. Joe sprzedałby temu, kto zaoferowałby najwyższą cenę, Brack wykorzystałby ją, żeby podwekslować swe wątpliwej marki interesy, a Carol... Cóż, Carol użyłaby jej, aby zwabić kolejnego bogatego męża. Parsknął gorzkim śmiechem.

- Owszem, ale Tanglefoot warte jest miliony. Choćby sama ziemia...

- A to dzięki pracy, którą włożyłeś - odrzekła cicho Kathleen. - Kiedy ojciec dawał ci ziemię, a im pieniądze, Tanglefoot było obłożone większymi długami, niż samo było warte. To ty je odbudowałeś, a teraz chcą ci je odebrać.

Dziwne, pomyślał Gage, jak łatwo przychodzi siedzieć tu z nią przy kominku i rozmawiać. Byli mężem i żoną, ale zupełnie się nie znali. I po raz pierwszy od dnia ślubu poczuł bezmierny żal z powodu tego, co utracił. Nie tylko z powodu tych długich upojnych nocy, które mogłyby stać się ich udziałem, a się nie stały, ale też z powodu nieodby-tych rozmów, wspólnoty dusz, której nie było, przelotnych spojrzeń, cichego śmiechu...

Mąż i żona.

Przełknął ślinę i omiół powolnym spojrzeniem jej twarz. W blasku płomieni miała kremową, nieskalną skórę, usta wilgotne i ponętne...

Nagle, nie myśląc, co robi, zbliżył usta do jej warg.

Myślał, że go odtrąci, ale nie. Spodziewał się wybuchu dzikiego gniewu, a poczuł jedynie cudownie rozchylone, gorące wargi Kathleen na swych ustach.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Nie próbował nawet zastanawiać się nad tym, co się wydarzyło w ciągu kilku następnych minut. Nie pamiętał, kiedy wsunął dłonie pod gruby, wełniany sweter, kiedy poczuł pod palcami jedwabistą, gorącą miękkość jej ciała. Nie pamiętał, jak osunęli się na dywan, a jeszcze mniej zapamiętał z chwil, gdy leżeli spleceni ramionami i nogami, a jej smukłe gibkie ciało wiło się w jego rozpaczliwie namiętych objęciach.

Usłyszał jęk i mgliście uświadomił sobie, że to jego własny głos.

Niewiele już do niego docierało, ale zdał sobie jeszcze sprawę, że jeśli natychmiast nie przestanie, jeśli nie zdoła się powstrzymać, to będzie już za późno. Coś się skończy w jego życiu. I coś zacznie.

- Kathy... - Oderwał usta od jej warg i przytrzymał żonę mocno w pewnej odległości od siebie. Serce biło mu jak oszalałe, każdy nerw pożył jej dotyku. - Za gorąco, za szybko, złotko. Nie wiem, jak silną wolą dysponujesz,

ale ja lada sekunda stracę panowanie nad sobą i...

- Czy chcesz się ze mną kochać? - przerwała mu. Zapytała z taką prostotą, tak szczerze, że Gage mógł tylko gapić się na nią, przekonany, że się przesłyszał. Przez długą chwilę milczała z oczyma utkwionymi w jego twarzy. Nagle wyrwała się z objęć męża i usiadła. Bez słowa, szybko ściągnęła przez głowę sweter, a włosy opadły jej złocistymi kaskadami na ramiona.

Gage patrzył na nią jak zaczarowany. Miała na sobie koronkowy stanik. Pod materiałem pyszniły się nabrzmiałe sutki. Sięgnęła do zameczka na przodzie biustonosza, a jemu zaparło dech w piersiach.

- Nie rób tego, Kathy, jeśli naprawdę nie chcesz... Proszę, nie kpij ze mnie w ten sposób. Zameczek rozpiął się bezszelestnie i bujne, cudownie miękkie i cudownie sprężyste piersi wyrwały się na wolność.

- Dotknij mnie - szepnęła, sięgając po jego dłoń. -Zróbmy to naprawdę, Gage. Zrób ze mnie swoją żonę...

Jęknął, doprowadzony do granic wytrzymałości, i od tej chwili nie słychać było już nic, jedynie cichy trzask płomieni tańczących na węglach w palenisku, delikatnie ocierające się o siebie ciała, czasami ciężki oddech lub pomruk rozkoszy.

Później, gdy ostygł żar namiętności, Gage po prostu przekreślił się na bok i, zapadając w sen, trzymał Kathleen w ramionach. Uśmiechał się z twarzą przytuloną do jej policzka. Wiedział, że wszystko stało się właśnie tak, jak powinno.

Dużo później wręczył jej kolejny podarek.

- Miało nie być więcej pierścionków - powiedziała, rozwiązując paczuszkę.

- I nie będzie - zapewnił ją. - Jedyne w życiu oświadczyły jedynej w życiu kobiecie to mój limit.

- Gage, to jest śliczne! - wykrzyknęła Kathleen, rozwiniawszy z bibułki małego, kryształowego aniołka.

- Przypominał mi ciebie. Wybrałem też inny prezent, znajdziesz go pod choinką w odpowiednim czasie, ale ten przykuł moją uwagę. Bałem się tylko, że... wyrzucisz mnie razem z nim.

- On jest precudny! - zawołała Kathleen, a jej oczy zaślniły radością, jakiej w nich nigdy przedtem nie widział.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz teraz podać kolacji - wymruczał jej do ucha, oplótł Kathleen ramionami i znów przygarnął do siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Kathy? Kathleen?

Jakiś głos w nieprzyjemny sposób przywołał ją do rzeczywistości. Rozejrzała się i ujrzała Douga, przyglądającego się jej z niepokojem.

- Och, już jesteś. Przepraszam... musiałam zasnąć...

- Dowiedziałaś się czegoś? Rozmawiałaś z lekarzem? Kiwnęła ze znużeniem głową.

- Zabrali go na operację. Nie jest dobrze. Lekarze... lekarze nie są pewni, czy...

- Wszystko będzie dobrze, Kate. Gage to twardy facet, 'sama najlepiej o tym wiesz. I nosi nazwisko Ramsey. Do licha, lekarze nie odważą się pozwolić mu umrzeć.

Kathleen uśmiechnęła się blado i popatrzyła na Douga.

- Muszę chyba uzupełnić poziom cukru w organizmie. Przed szpitalem widziałam automat z cukierkami...

Doug uśmiechnął się, kiwnął głową i posłusznie skierował się do drzwi.

Doug miał rację. Gage to twardy facet, o naturze wojownika. Ale przecież nawet gdy medycyna zdolna jest czynić cuda, musi zostać spełniony jeden podstawowy warunek - pacjent musi chcieć żyć.

Choć brzmi to irracjonalnie, ostatecznie wszystko zależy od jego woli.

201

Kathleen popatrzyła na kryształowego aniołka leżącego na jej dłoni i wróciła myślami do czterech cudownych dni Bożego Narodzenia, które spędziła wtedy z Gage'em.

Gdy obudzili się następnego dnia, burza minęła. Niczym uczniaki wybiegli ze śmiechem przed dom i bawili się w śniegu. Wieczór spędzili przy kominku.

Prze te cztery wspaniałe dni pili wino i kochali się, gdzie i kiedy przyszła im na to ochota: przed kominkiem, na kanapie, na podłodze w kuchni, gdzie ze zdumieniem obserwowały ich dwa bure kocury. Pewnego popołudnia zawędrowali do stodoły i ułożyli się na miękkim, wonnym sianie.

Ale już wtedy, gdy zarumieniona, z trudem łapiąc powietrze, leżała w jego ramionach, powinna była wiedzieć, że tak między nimi nie będzie zawsze.

I rzeczywiście. Idylla nie trwała długo. Piątego dnia wrócił Decker, Martha, wróciła służba i życie zaczęło się toczyć dawnym biegiem.

Dosłownie w ciągu kilku godzin Gage się odmienił. Stał się znów odległy, oziębły, zaabsorbowany bez reszty utarczkami z ojcem. Cała radość, która poprzednio jaśniała na jego twarzy, zniknęła w jednej chwili.

Kiedy wieczorem pojawił się w jej sypialni, przez chwilę Kathleen łudziła się, że przeżyją jeszcze raz cudowne chwile. Ale tym razem ich zaloty były nieśmiałe i niezdarne, w końcu doszło między nimi do kłótni.

Kazała mu się wynosić do wszystkich diabłów. Gage ruszył do drzwi z pobladłą od furii twarzą. Ostatnia rzecz, jaką z tej nocy zapamiętała Kathleen, było to, że cisnęła za nim co sił szklanym aniołkiem, który roztrzaskał się na drobne kawałki o zamykające się za Gage'em drzwi.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Następnego ranka szukała kawałków figurki, myśląc, że ją skleci, ale nigdzie ich nie znalazła.

Pomyślała, że Martha zmiotła je i wyrzuciła.

Znów usłyszała jakiś trzask. Tym razem jednak nie we wspomnieniach, a w rzeczywistości. Kathleen podniosła powieki, uniosła głowę. To Decker otworzył drzwi poczekalni i stanął w progu. Twarz miał porytą zmarszczkami i szarą jak popiół. Ten człowiek jest stary, pomyślała. Stary i wystraszony. Na mgnienie oka przestał być nagle Deckerem Ramseyem. Był ojcem, którego syn w każdej chwili może umrzeć.

- Myślałem, że już cię tutaj nie ma - powiedział zgrzytliwym głosem.

- Chciałeś powiedzieć, że miałeś taką nadzieję - odparła cierpko.

Zastanowiła się, od kiedy pojawiła się ta wrogość między nią a Deckerem. Od samego początku.

Decker żelazną ręką trzymał klan Ramseyów, domagając się od rodziny absolutnego posłuszeństwa.

Ona była obcą kartą w talii i przy każdej okazji stawała mu okoniem. Ją obwiniał za to, że Gage nieustannie się przeciw niemu buntuje.

- Lekarz mówi, że to ty musisz podpisać wszystkie papiery.

- Jestem jego żoną. Decker parsknął.

- Moim zdaniem przestałaś nią być, droga pani, kiedy przed sześcioma miesiącami opuściłaś jego dom.

Nie widziała sensu w przekonywaniu starca, że odeszła nie dlatego, że przestała kochać Gage'a, ale właśnie dlatego, że darzyła go zbyt wielkim uczuciem.

203

- Co jeszcze powiedział lekarz? - spytała. - Gage kilka godzin spędził w sali operacyjnej...

Decker popatrzył na Kathleen oczyma pełnymi gniewu.

- To ty nastawiłaś przeciw mnie tego chłopca - syknął.

- Kobieta nigdy nie powinna stawać między ojcem a synem.

- Sam nastawiłeś Gage'a przeciw sobie - odparła Kathleen, naprawdę współczując staremu człowiekowi. - Najpierw przekazałeś mu ranczo, a potem nie dawałeś samodzielnie prowadzić gospodarstwa. A on przecież jest już dorosłym mężczyzną, nie chłopcem.

- On nie ma pojęcia o prowadzeniu rancza! Sprowadza komputery, rozmawia z japońskimi bankierami. - Na twarzy starca odmalowała się odraza. - Człowiek nie potrzebuje komputera, żeby wiedzieć, czy świeci słońce albo czy w studniach jest niski poziom wody. A poza tym bankierom nigdy nie wolno ufać.

- Nastaly inne czasy - odparła Kathleen.

- Ej, tato, co jest... - W progu stanął jak wryty Gord Ramsey. Na widok Kathleen jego czerwona, nalana twarz pokraśniała. Jak wszyscy Ramseyowie był wysoki i barczysty, ale wygodny tryb życia, nadmiar jedzenia i trunków sprawiły, że utył, a jego rysy rozmyły się, nabierając niezdrowego wyglądu. - Co ty tu robisz? - zapytał zaczepnie.

- Myślałem, że Gage pozbył się ciebie raz na zawsze.

- Podszedł wielkimi krokami do Kathleen i pochylił się nad nią. Zionął bourbonem. - Wiem, po co tu przyjechałaś, kwiatuszku - oświadczył. - Ale wybij sobie z głowy wszelkie plany sprzedania Tanglefoot, gdy Gage już umrze. Ranczo należy do Ramseyów... - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Należy do nas, podobnie jak High Mesa.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

I nie dostaniesz ani grosza. Więc nie próbuj nawet nic kombinować.

- Twój brat jest moim mężem - odparła zimno, nie okazując, jak dotkliwie zraniły ją jego słowa. „Gdy Gage już umrze” ... Nie „jeśli”, ale „gdy” ...

- Być może ciągle jesteś jego żoną, ale tylko na papierze - oświadczył Gord z nieprzyjemnym uśmiechem. - A papier łatwo się pali, kwiatuszku. Pali się.

Powiedział coś do Deckera i po chwili obaj opuścili poczekalnię.

Kathleen rozluźniła uścisk palców na rękawie skórzanej kurtki Gage'a. Wzięła głęboki oddech.

- Nie umrze - powiedziała do siebie z naciskiem. - Nie umrze.

Nieustanne, uporczywe głosy na krawędzi świadomości... Nie zwracał na nie uwagi, pragnął, żeby ucichły. Śnił o aniołach, próbował pochwycić unoszące się w ciemno-% ściach wiotkie kształty, ale nieustannie mu się wymykały.

I naraz pomyślał o małym kryształowym aniołku, jakiego kupił Kathleen na Boże Narodzenie, które spędzili na ranczo tylko we dwoje. Pamiętał radość na jej twarzy, kiedy odwinęła z bibułki prezent. Pamiętał tę noc, gdy pokłócili się w jej sypialni, a później znalazł potłuczonego aniołka, leżącego na podłodze.

Pozbierał troskliwie kawałki, a potem długo stał nad łóżkiem, w którym spała Kathy, i bacznie się jej przyglądał. Płakała przez sen. Chciał otrzeć jej łzy, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń. Nie wiedział, co spowodowało, że wrócił. Wiedział tylko, że musi z nią porozmawiać. Chciał ją

przeprosić za swój gniew i brak cierpliwości, chciał wziąć w ramiona, chciał, żeby wrócił ów ulotny czar czterech dni, które spędzili razem.

Wyszedł jednak z pokoju, zabierając ze sobą potłuczoną figurkę. Nie było sensu odtwarzać tego, co nie istniało. Był najgłębiej przekonany, że Kathleen żałowała tamtego chwilowego impulsu, który kazał jej rzucić mu się w ramiona. Teraz zawieszenie broni się skończyło.

I znów nadeszła ciemność i jeszcze więcej bólu... Wykrzyczał bezgłośnie jej imię.

Kathy, potrzebuję cię! Gdzie jesteś, Kathy? Gdzie jesteś...? '

Kathleen gwałtownie wróciła do rzeczywistości. W jej uszach ciągle jeszcze brzmiał głos Gage'a. Rozejrzała się oszołomiona po szpitalnej poczekalni. Była zdezorientowana i zmieszana.

Uświadomiła sobie, że był to tylko sen.

Popatrzyła na wiszący nad drzwiami zegar i ze zdumieniem skonstatowała, że spała tylko kilka minut. To niemożliwe, żeby czas włókł się w tak żółtym tempie. Później pojawił się Doug, następnie Beth z termosami z gorącą zupą i z kawą oraz z naręczem kocy. Teraz też przy niej była. Spała w obszernym fotelu obok Kathleen.

I znów wróciły do niej obrazy z przeszłości. Przypomniała sobie, jak Gage o mało nie zwichnął karku, próbując okiełznać deresza.

Nie wiedziała, dlaczego uśmiechnęła się na to wspomnienie. Otuliła się szczelniej kurtką Gage'a, zamknęła oczy i zanurzyła się w przeszłość...

Była właśnie w kuchni, kiedy dwóch pracowników ran-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

cza przyniosło go do domu. Gdy ujrzała jego zakrwawioną nogę ze sterczącą z boku, lśniąca kością, o mało nie zemdląca.

Natychmiast wezwała karetkę. Gage miał poszarzałą twarz, na czole perliły mu się grube krople potu, ale gdy Kathleen ujęła jego zbrukaną krwią dłoń, udało mu się przesłać jej szeroki uśmiech.

- Nie rób takiej wystraszonej miny, Kathy - zażartował, szczerząc przy tym zęby w grymasie bólu. - Wychodziłem już z gorszych opresji. Będę z powrotem, nim się obejrzysz.

Operacja była jednak poważna. Minęły cztery godziny, nim lekarze poskładali kości i pozszywali rany. Później jeszcze sześć dni trzymano go w szpitalu, a w domu natychmiast został unieruchomiony w łóżku do czasu, aż noga zacznie się zrastać.

W czasie trwania rekonwalescencji bynajmniej nie był spokojny. Należał do ludzi czynu - aktywnych, przyzwyczajonych do tego, że od świtu do nocy są w ruchu - nie potrafił więc pogodzić się z długotrwałym unieruchomieniem i bezustannym leżeniem w łóżku.

Pewnego dnia, gdy Kathleen skończyła właśnie gotować obiad, dobiegł ją z góry wrzask Gage'a. Wpadła do jego pokoju na piętrze. Gage zrzucił z siebie kołdrę i porozrzucił wokół gazety i czasopisma. Na widok Kathleen uniósł głowę niczym wężący wiatr koń, nozdrza miał rozdęte, w oczach paliła mu się wściekłość.

- Nie śpieszyło ci się na górę. A wołam już od piętnastu minut. W tym domu człowiek prędzej umrze, niż doczeka się czyjejkolwiek pomocy.

207

- Sądząc po głosie, jesteś już zupełnie zdrowy - odparła spokojnie, odstawiła tacę z jedzeniem na stół i zaczęła wygładzać prześcieradło. - Usiądź, to poprawię ci poduszki.

- Nie chcę żadnych poduszek. Chcę kul.

Kathleen popatrzyła na niego ostro. Twarz miał bladą i zapadniętą, włosy na skroniach mokre od potu.

- Chcesz znowu wstać z łóżka, prawda? Daj spokój, Gage. Słyszałeś, co mówił lekarz...

- Chcę po prostu pójść do tej cholерnej łazienki - wrzasnął bezradnie.

- Podam ci basen - zaofiarowała swą pomoc Kathleen. Gage zachnął się tylko.

- Doskonale - powiedziała z niewzruszonym spokojem. - Skoro nie chcesz mojej pomocy, zawołam Marthę i...

- Nie! - wrzasnął, chwytając ją za ramię. - Do cholery, Kathy, nie rób mi tego.

- No dobrze - zgodziła się. - Pomogę ci wsiąść na wózek. Nie było to proste, ale jakoś w końcu Gage wylądował

na wózku inwalidzkim. Kathleen zawiozła go do łazienki, zamknęła drzwi i czekała w przedpokoju.

Ze środka dobiegały głośne hałasy, trzaski, Gage klął pod nosem, ale kiedy wreszcie po kilku minutach otworzył drzwi, sprawiał wrażenie nieco szczęśliwszego, a nawet, gdy pchała go w stronę łóżka, wymruczał kilka słów podziękowania.

Kathleen poprawiła poduszki pod jego plecami i postawiła przed nim tacę.

- Co, znowu zupa? Czy nie możesz mi przynieść czegoś innego? Umrę z głodu, zanim...

- Nie, to nie! - i zanim zdążyła pojąć, co robi, energicznie zabrała tacę i z trzaskiem postawiła ją na stole. - Mam

GWIAZDKA MIŁOŚCI

już tego dosyć! Zniosę od czasu do czasu twoje napady złości, ale nie zamierzam tolerować dłużej ciągłego narzekania i marudzenia! Nie tylko ty mieszkasz w tym domu. Jest jeszcze całe ranczo i nie pozwolę go zaniedbywać tylko dlatego, że ty leżysz w łóżku. Wiem, że bardzo cię boli, i wiem, że martwisz się o gospodarstwo, ale my robimy wszystko, co w naszej mocy. Od teraz, mój panie, sam się sobą zajmuj, bo ja nie pozwolę traktować się jak... jak niewolnik!

Zapadła chwilowa cisza, po czym Kathleen odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

- Poczekaj... Kathy, poczekaj! - W jego głosie pojawił się jakiś ton, który sprawił, że Kathleen obejrzała się podejrzliwie. Gage przesłał jej ponure spojrzenie. - No dobra, przepraszam... Wiem, że jestem nieznośny. Ale to leżenie w łóżku doprowadza mnie do szału... - Wzruszył ramionami i na twarzy pojawił mu się uśmiech. - Chodź tu, Kathy, nie odchodź. Proszę. Zostań ze mną i porozmawiajmy.

- O czym? - Częściowo tylko ułagodzona postąpiła krok w stronę łóżka.

- O czym chcesz. - Wyciągnął ramię w jej stronę z jeszcze szerszym uśmiechem. - No, chodź tu, usiądź przy mnie na chwilę. Tak się nudzę. Nic tylko te mydlane opery w telewizji i cztery ściany pokoju. Jeśli nie chcesz, możesz nawet nic nie mówić. Po prostu posiedź przy mnie.

- A nie będzie więcej wrzasków, ryków czy poleceń?

- Przysięgam - powiedział, kładąc dłoń na sercu. Wciąż patrząc na niego podejrzliwie, postawiła przed nim tacę.

- Jak skończysz, mogę cię umyć gąbką - oświadczyła.

Popatrzył na nią z uśmiechem i podniósł do ust łyżkę z zupą.

- Zabrzmiało to tak, jakbym miał wybór. Co sądzisz o dwóch gąbkach? Jedną ty umyjesz mnie, a drugą ja ciebie.

Kathleen wybuchnęła śmiechem i zaczęła zbierać porozrzucane po pokoju książki i czasopisma.

- Widzę, że naprawdę wracasz do zdrowia.

- Tylko o tym myślę - zapewnił ją Gage i zachichotał. - Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedyśmy się razem kąpali...

- *Ej, mamy problem z pulsem.*

- *Cholera, dajcie...*

- *Nie. Poczekaj. Wraca do normy. Oddech i ciśnienie w porządku. Ale puls ciągle nierówny.*

- *Nic dziwnego, przy tej ilości krwi, jaką stracił...*

- *Już w porządku. Wszystkie wskazania w normie. Może śni mu się żona... przy takiej kobiecie puls zawsze będzie nierówny.*

- *Ale uważajcie na niego. Mamy jeszcze dużo roboty... Gage trzymał się snu jak tonący brzytwy, przerażony, że*

jeśli tylko pozwoli mu umknąć, znów pochwyci go ciemność

i będzie stracony na zawsze. Sen był realny - tak realny jak zapach wiosny wpadający przez okno sypialni. Tak realny jak zaskoczenie na twarzy Kathy, gdy zażartował o kąpeli..

- *Do licha, Kathy, straciłem cię.*

Nie chciał tego powiedzieć. Ale powiedział. Wymknęło mu się, nim zdążył poskromić język i, ku własnemu zdu-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

mieniu, przestało go obchodzić, że odkrył przed nią swe uczucia. Wszystko przestało go obchodzić poza jej cudownymi, gorącymi ustami i wielkimi, niebieskimi oczyma. W jednej chwili wszystkie jego obietnice i zaklęcia runęły z hukiem. Zaczął ją całować.

Nie dbał już o nic. Liczyła się tylko jedna rzecz. Ten pocałunek.

Zaskoczyło go, że nie odepchnęła go z gniewem, co więcej, że Kathleen oddała mu pocałunek. Miał na ustach jej rozchylone wargi. Kiedy wsunął między nie język, zadrżała i całkowicie zatopila się w pieszczocie.

Teraz już ostatecznie runęły w gruzy wszystkie składane samemu sobie przysięgi. Gage, nie zważając na ból połamanych żeber, przyciągnął żonę namiętnie do siebie i napawał się jej aksamitnymi ustami. Język Kathleen muskał jego język niczym żywy płomień. Pieściła twarz Gage'a, jego włosy. Czuł, jak mocno bije jej serce. Ogarnął go żar. Wyciągnął jej z džinsów bawełnianą bluzkę i drżącymi palcami, niezgrabnie próbował rozpinąć guziki. Kiedy został już tylko jeden, po prostu urwał go i zerwał z niej bluzkę. Gdy brutalnie rozpiął stanik, Kathleen przywarła odkrytymi piersiami do jego torsu.

Piersi miała pełne, ciężkie, takie same jak zapamiętał, sutki napęczniałe i twarde. Jęknęła cicho, gdy zaczął je pieścić opuszkami palców, jeszcze zachłanniej wpiła usta w jego wargi. I nagle, jakby uświadamiając sobie, co się dzieje, wyrwała mu się i z trudem złapała powietrze.

- Gage, co my robimy... ?

- Kochamy się - mruknął, ujmując jedną ręką jej twarz i przysuwając jej usta do swoich.

211

- Ale... ale nie możemy! - zaprotestowała z cichym śmiechem. - Gage, to wariactwo! Twoja noga...
- Nic jej nie będzie, jeśli zrobimy to odpowiednio -szepnął jej prosto w usta. - Zamknij drzwi, Kathy.
Szybko... zamknij drzwi.

Zachichotała i odsunęła się, żeby spojrzeć na męża. Miała zaróżowione policzki, w jej oczach skrzyły się figlarne ogniki.

- Nie możemy!

- Możemy. A teraz zamykaj drzwi i wracaj do mnie. Pokażę ci, jak w potrzebie potrafi sprawować się jedenonogi kowboj.

Nie wiedział, które z nich było bardziej zdumione, gdy Kathleen zrobiła to, co jej powiedział - czy ona, kiedy wykonywała jego polecenie, czy on, kiedy Kathleen wróciła do niego i bez zmrużenia oka ściągnęła dzinsy. W następnej sekundzie spoczywała już w jego ramionach, naga i aksamitnie ciepła, tak pełna gotowości, że nawet gips i zabandażowane żebra stały się niewiele znaczącą niedogodnością.

Powiedział jej dokładnie, co i jak ma robić, a ona ochoczo zastosowała się do jego wskazówek i z błogim westchnieniem zamknęła Gage'a w swym gorącym, jedwabistym wnętrzu. Jęczała słodko, a on zaciskał zęby, trzymał dłonie na jej biodrach i przynaglał do cudownego, wprawiającego w ekstazę ruchu.

Nie zajęło im to dużo czasu. Kathleen wygięła się w łuk po raz ostatni, a z jej ust dobył się krzyk rozkoszy. Gage ekstazę osiągnął chwilę po niej. Później długo leżeli obok siebie spleceni ramionami i nogami, nawet chwilę się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

zdrzemnęli. Gdy wreszcie Kathleen wstała i poprawiła wzburzone włosy, uśmiechała się pogodnie.

- Nie musisz się nigdzie śpieszyć. - Gage przeciągnął dłońmi po jej ramionach. - Jeszcze wcześniej.
- Powinam już iść - odparła, rumieniąc się. - Nie miałam zamiaru... na tak długo opuszczać kuchni.
- Kate... Posłuchaj. Nie ma powodu, żeby tak jak teraz nie było już ciągle.

Uśmiechnęła się.

- Po tym, co się stało w święta Bożego Narodzenia, trudno udawać, że wszystko jest tylko układem - odparła.
- Tylko mi nie wmawiaj, że spędzało ci to sen z powiek - mruknął, całując ją w kącik ust.
- Czasami. - Kathy się zarumieniła. - Czasami miałam sny. Bardzo... wyraziste.

Gage wybuchnął śmiechem.

- Mam nadzieję, że to mnie w nich spotykałaś.
- Noo... tak - odparła.
- Zawsze możesz przekroczyć próg mojej sypialni, a ziszczą się te sny.
- Czy to zaproszenie?
- Kochanie, to rozkaz. Wiesz, zastanawiam się, dlaczego cały czas tacy dla siebie jesteśmy. Może powinniśmy zapomnieć o korzeniach naszego małżeństwa i skoncentrować się na przyjemniejszych jego aspektach?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdzieś za ścianą zaskrzypiała winda. Kathleen zamrugała oczyma i rozejrzała się. Gdy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, znów ogarnął ją strach i niedowierzenie.

Wspomnienia były tak żywe, tak plastyczne, że niemal czuła słodycz ust Gage'a, jego dotyk. Ogarnęło ją zażenowanie, gdy pojęła, że jest podniecona. Jej ciało zareagowało tak, jakby mąż rzeczywiście był przy niej.

W oczach stanęły jej łzy. To wszystko moja wina - myślała żałośnie. Gdyby tylko dotzymała przyrzeczenia, nie leżałby teraz na stole operacyjnym, walcząc ze śmiercią.

Gdyby tylko się w nim nie zakochała!

Ale się zakochała.

Dwa tygodnie po tamtym wydarzeniu spędzili, śmiejąc się i rozmawiając. Grali w karty, układali puzzle, kochali się jak normalne, szczęśliwe małżeństwo. Przez jakiś czas Kathleen naprawdę głęboko wierzyła, że wszystko się ułoży.

Powinna była być mądrzejsza.

W przymusowym pobycie Gage'a w łóżku Decker dostrzegł szansę ponownego przejęcia kontroli nad Tanglefoot. Waśń między Kathleen a starcem przerodziła się w otwartą wojnę. Chciała oszczędzić Gage'owi najgorszego i popełniła największy błąd. Decker wykorzystał ją jako

GWIAZDKA MIŁOŚCI

broń przeciw swemu synowi. Nagle znalazła się między dwoma mężczyznami, stała się pionkiem w walce toczącej się między nimi od lat. Kiedy więc wreszcie Gage opuścił łóżko, skończył się śmiech, skończyła się miłość, a stary dom znów wypełniły kłótnie i wrogość.

Wtedy zrozumiała, że musi odejść. Zrozumiała, że przez cały ten czas nie była szczęśliwa i mężowi nie dała szczęścia. Na początku miała nadzieję, że on ją pokocha. Później, gdy uświadomiła sobie, iż tak się nigdy nie stanie, próbowała samą siebie przekonać, że to nie ma znaczenia, że wystarczy, gdy będzie blisko niego. Ale i to nie przyniosło im małżeńskiego szczęścia. Postanowiła więc, że uwolni Gage'a od kłopotów. Pewnego dnia, jesienią, gdy nadejdzie już czas, po prostu odwróci się na pięcie i odejdzie.

Stało się to dopiero wiosną, gdy umarł ojciec Kathleen, zwalniając ją z obietnicy, która zaprowadziła jego córkę do Tanglefoot.

Gage zapewne domyślał się, że Kathleen zamierza odejść, choć nie wspomniała na ten temat ani słowem. W miesiącach, które nastąpiły po śmierci jej ojca, stał się zamknięty w sobie, milczący i opryskliwy. Zaczął źle odnosić się do pracowników rancza, a nawet do Marthy. Do Kathleen prawie w ogóle się nie odzywał, nawet na nią nie patrzył. Zupełnie jakby nie mógł już dłużej znieść jej obecności.

Wobec tego, co miało się stać, to naturalnie i tak nie miało większego znaczenia. Mogło wręcz ułatwić Kathleen odejście. Ale nie odchodziła. Prawie codziennie wybuchała płaczem z powodu zupełnych głupstw, a nocami

215

leżała samotnie w łóżku, marząc, by przyszedł do niej Gage, wziął w ramiona, utulił, poprosił, **by** została.

Nie przyszedł. I ostatecznie nadszedł dzień, **kiedy** zrozumiała, że dłużej nie można tego ciągnąć. **Nie** można czekać na miłość, która nigdy nie nadejdzie. Oświadczyła Gage'owi, że odchodzi.

- Nie.

Słowo to zagrzmiało w pokoju niczym wystrzał. **Oczy** Gage'a były zwężone, pełne wściekłości.

Brutalnie ujął jej podbródek i skierował twarz Kathleen ku swojej.

- Nie, moja panno, nie odejdziesz stąd, dopóki całkowicie nie stanę na nogi - powiedział z naciskiem.

- Podpisałaś kontrakt, pamiętasz?

- Pamięć dopisuje mi znakomicie - odparła lodowato. - To twoja funkcjonuje wybiórczo. Zawarliśmy kontrakt na czas ograniczony - do chwili, aż Tanglefoot podniesie się z długów albo do śmierci mego ojca. Oba warunki zostały wypełnione. A wraz z nimi moje zobowiązania wobec ciebie.

- Nie - odparł Gage, patrząc na nią hardo. - Podpisaliśmy go na trzy lata z możliwością przedłużenia.

Jesteśmy małżeństwem zaledwie dwa i pół roku. Jesteś mi winna jeszcze sześć miesięcy, Kathy.

- Nie jestem ci nic winna, do cholery! - Na chwilę poniósł ją gniew, ale zdołała nad sobą zapanować. - Gage, dlaczego to robisz? Doskonale wiesz, że wyszłam za ciebie tylko dlatego, żeby mój tata nie musiał sprzedawać High Mesa. Zresztą, to w tej chwili nieważne! Jeśli chcesz High Mesa, sprzedam ci je po godziwej cenie i rozejdziemy się w zgodzie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nawet o tym nie myśl - warknął, odwrócił się na pięcie i podszedł do biurka stojącego w pobliżu kominka. - Zawarłaś układ i mam cię w garści.

- Gage!

Jej głos był napęczniały bólem i Gage musiał mocno wziąć się w garść, żeby spokojnie usiąść przy biurku i udawać, że przegląda porzucane na blacie papiery. Postępował nieuczciwie i doskonale o tym wiedział. Zawarli umowę bez żadnych dodatkowych warunków, ale w tej chwili o to nie dbał. Wiedział tylko, że nie zamierza się poddać. Pragnął Kathleen i był przekonany, że jeśli zatrzyma ją jeszcze jakiś czas, uda mu się sprawić, że go pokocha.

Zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że jeśli teraz ustąpi i pozwoli jej odejść, utraci bezpowrotnie jedyną kobietę, którą naprawdę w życiu kochał.

- Gage? - Jej głos był łagodny, proszący. - Gage, czy nie rozumiesz[^] że tym udawaniem krzywdzisz i mnie, i siebie? Powinieneś pomyśleć o żonie...

- Mam żonę.

- Mówię o prawdziwej żonie - powiedziała z nutą rozpaczony w głosie. - Chcesz mieć dzieci. Sam mi to kiedyś mówiłeś. Pragniesz kochającej żony... prawdziwej. Takiej...

- Ty jesteś moją prawdziwą żoną - odparł z lekką kpina. - Związek małżeński posiada moc prawną, złotko.

- Gage, proszę. - Stała obok niego i błagalnie spojrzała mu w oczy. - Dlaczego to robisz? Przecież wiesz, że nie łączy nas miłość. Wiesz.

„Wiem, że w końcu mnie pokochasz!” - chciał wrzasnąć, ale powiedział tylko:

217

- Tracisz czas, złotko. Jesteś moją żoną i pozostaniesz nią tak długo, jak zechcę.

- Ale dlaczego ja? Przecież istnieją tysiące kobiet, które dałyby się zabić, żeby tylko móc cię poślubić.

Gage, dlaczego...

- Ponieważ ty niczego ode mnie nie chcesz - przerwał jej z rozbijającą szczerością. - Dlatego jesteś, tak unikalna. Jesteś jedyną kobietą, jaką spotkałem, która nie powiedziała tego cholernego: czy wiesz, kim jestem? - Uśmiechnął się pośpiesznie. - Może po prostu najwyższą cenę uczciwość, złotko.

- Niech cię szlag trafi, Gage! - zawołała. - Ja i tak odejdę.

Gage odwrócił się z krzesłem, różparł w nim i zarzucił nogi na blat biurka.

- Spróbuj tylko opuścić Tanglefoot, kochanie - oświadczył przyjaźnie - a obiecuję ci, że nie zajedziesz daleko.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- A niby w jaki sposób mnie zatrzymasz? Wzruszył ramionami.

- Nie masz środka transportu, to raz. Wszystkie pojazdy należą do rancza. A to oznacza, że są moje.

Zabierz choć jedną rzecz, a każę cię aresztować.

Jej oczy rozszerzyły się z oburzenia.

- Nie śmiałyś tego zrobić! - wykrzyknęła, lecz w jego wzroku wyczytała, że jest gotów na wszystko.

- Zamówię taksówkę.

Uśmiechnął się szeroko.

- A czym zapłacisz? Ujmującą rozmową? Kierowca zażąda gotówki, złotko. A tej nie posiadasz.

218

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Mam pieniądze w banku - odparła szorstko.

- Moje pieniądze. W moim banku.

Tu ją miał. I Kathleen dobrze o tym wiedziała. Wyczytał to w jej pełnych bólu oczach, wiedział też, że zapędził ją w ślepy zaułek, z którego nie miała ucieczki. Czuł do siebie obrzydzenie za to, że przyszło mu to tak łatwo.

- Jest tak, jak powiedziałem, Kathy. Należysz do mnie. I zostaniesz moją tak długo, dopóki nie zdecyduje, że jest inaczej.

- Znajdę sposób - powiedziała zawziętym głosem. - Niech cię szlag, Gage... Znajdę sposób!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

I znalazłam, dumając Kathleen, pocierając palcami czoło, próbując odgonić natrętny ból głowy. Drogę do wolności otworzyła jej pamiątkowa biżuteria, którą dostała w spadku po matce. Zostało tego niewiele, zaledwie kilka sztuk, reszta dawno poszła na spłatę wierzycieli.

Nie dostała za to wiele pieniędzy, ale wystarczyło. Spakowała rzeczy i autostopem dotarła do miasta, gdzie kupiła bilet autobusowy do Denver. Ani razu nie obejrzała się za siebie, choć płakała całą drogę. A im większa dzieliła ją odległość od jedyne go mężczyzny, którego kochała, tym płacz był rozpaczliwszy.

Nie ruszył za nią w pogoń.

Przez pierwszy tydzień modliła się, raz - żeby po nią przyjechał, kiedy indziej - żeby się nie pojawiał. W końcu pojęła, że Gage'a nic już nie obchodzi. Wmawiała sobie, że taki właśnie był jej cel i że właśnie go osiągnęła.

- Kathy?

Znów ktoś nie pozwalał jej zostać w świecie wspomnień. Kathleen uniosła głowę i ujrzała stojącą obok siebie Beth.

- Idę po kawę. Przynieść ci?

- Jasne. Dzięki.

Beth ścisnęła jej ramię i wyszła z poczekalni.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Po chwili drzwi otworzyły się nieoczekiwanie, w progu stanął Decker. Popatrzył na nią tępo, a Kathleen na widok jego zapadniętej, bladej twarzy kolejny raz ogarnęło współczucie.

- Czy rozmawiałeś z lekarzami? - zapytała cicho.

. Potrzęsnał głową. Podeszedł do kanapy i usiadł. Przeciagnał dłońmi po twarzy.

- Tak długo to trwa - powiedział cicho, zrzędlivym tonem. - Dlaczego tak długo to trwa?

- Powiedzieli, że może trwać jeszcze dłużej.

Kathleen wstała, przeszła przez poczekalnię i bezwiednie położyła ręce na ramionach starszego mężczyzny. W pierwszej chwili zachnął się, ale natychmiast bez słowa chwycił jej dłoń. Odwrócił głowę.

- Kocham go - powiedział tak cicho, że Kathy zdawało się, że to tylko złudzenie. - Kocham tego chłopaka.

- Wiem. - Przełknęła ślinę i splotła palce z palcami Deckera.

- Opuszczam ranczo - ciągnął schrypniętym szeptem. - Kupuję mieszkanie w mieście. Ojciec nie powinien na siłę radzić synowi, jak ma prowadzić gospodarstwo.

Jego słowa tak zaskoczyły Kathleen, że nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Dopiero po długiej chwili zapytała, gdzie są pozostali członkowie rodziny.

- Odesłałem ich do domów. - Głos mu stwardniał. - Beznadziejni durnie. Tylko Gage się liczył.

Jedyny. A teraz jest...

Jego szerokie ramiona zadrżały.

- Wyjdzie z tego - mruknęła Kathleen takim tonem, jakby odmawiała modlitwę. - Wyjdzie z tego...

Gdy kilka minut później drzwi się otworzyły, nawet tego

221

nie usłyszała. Podniosła głowę dopiero, gdy padł na nią czyjś cień. Przed sobą ujrzała doktora Haynesa. Był kompletnie wyczerpany, ramiona miał obwisłe, zielony chirurgiczny czepek mokry od potu.

Popatrzył na Kathleen, a ona pomyślała, że ziemia usuwa się spod jej stóp.

- Nie - szepnęła, dławiąc narastający w gardle krzyk. -Nie...

- Żyje - powiedział cicho chirurg, pełnym znużenia gestem zdjął z głowy czepek i przetarł oczy. -

Chyba wszystko się udało. Ale pewnoś będziemy mieli dopiero wtedy, gdy odzyska przytomność.

Leży teraz na sali intensywnej opieki, wskazania nie są najgorsze... Nie chcę jednak pani ludzić, pani Ramsey. Jego stan jest ciężki w każdej chwili może się pogorszyć. Chociaż chłop jest silny jak byk... no i wykazuje wielką wolę życia. Kiedy budził się po narkozie, kilkakrotnie wymówił pani imię.

Myślę, że to pani nie pozwoliła mu odejść.

- Czy mogę go zobaczyć? Lekarz przeniósł wzrok na Deckera.

- Mogę pozwolić na kilkuminutową wizytę tylko jednej osobie. Tylko jednej.

Decker popatrzył łagodnie na lekarza.

- Kathleen powinna być przy nim - powiedział cicho. - Miejsce żony jest przy mężu.

Gdy doktor Haynes wprowadził Kathleen do niewielkiego pokoju z zasłoniętymi oknami, ogarnęła ją zgroza. Gage leżał jak martwy, otoczony rozbłyskującymi światłami szumiących cicho monitorów.

Podeszła do skraju łóżka, gdzie ktoś postawił krzesło.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Usiadła i instynktownie sięgnęła po opaloną dłoń spoczywającą bezwładnie na śnieżnobiałym prześcieradle. Była zdumiewająco ciepła. Kathleen splotła palce z palcami nieprzytomnego męża, desperacko walcząc ze sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Nie możesz umrzeć, Gage - szepnęła przez łzy urywanym głosem. - Do cholery, przecież cię kocham, kocham...

Śniła mu się płacząca kobieta. Znajdował się w długim korytarzu. Panował w nim mrok, chłód i bardzo się bał. Szepczące głosy umilkły, wraz z nimi odszedł ból. Nie było teraz nic. Żadnych odczuć, żadnych głosów, nic rzeczywistego, o co można by się zakotwiczyć.

Nic, tylko chłód, samotność i lęk.

I wtedy ją usłyszał. Kathy. Wołała jego imię. Niezdarnie odwrócił się w swym śnie i ujrzał ją w końcu korytarza. Miała złocistą skórę, emanowało z niej kobiece ciepło, w oczach lśniły łzy. Znow zawołała jego imię i wyciągnęła do niego rękę. Natychmiast opuścił go strach.

Powinien wiedzieć, że może na nią liczyć. Że pójdzie za nim w te mroczne, zimne przestrzenie, że odnajdzie go i wy-prowadź w światłość.

Czuł.

Gage, gapiąc się w sufit, wciągnął ostrożnie powietrze w płuca, czując coś więcej niż tylko czający się gdzieś na obrzeżach świadomości ból. Naszpikowany był po uszy lekami, ale czuł się wspaniale we własnym ciele.

Co się do licha stało? Pamiętał tylko ścianę wirującego śniegu i tylne światła hamującego przed nim samochodu.

Śniąc o aniołach

223

Pamiętał, że próbował zatrzymać swój pojazd. Pamiętał, że jego auto zaczęło się ślizgać na oblodzonym asfalcie... A później - pustka.

Odwrócił lekko głowę i ujrzał siedzącą obok ciemnowłosą kobietę. Spała, wspierając głowę na wysokim oparciu szpitalnego krzesła. Policzki miała zaczerwienione, a na długich rzęsach lśniły jeszcze łzy.

Płakała. Płakała z jego powodu.

Poczuł, że coś ściska go w gardle. Uniósł z wysiłkiem rękę i delikatnie dotknął głowy śpiącej. Na widok tej kobiety grało mu w duszy. Tak straszliwie za nią tęsknił przez ostatnich sześć miesięcy, pragnął wziąć ją w ramiona i wyznać, jakim był durniem. Pragnął wyznać jej całą i jedyną prawdę: kochał ją i zamierzał kochać zawsze.

Kathleen zbudziła się zdezorientowana i otumaniona. Zastanawiała się, jak długo spała. Nie zamierzała przecież zasnąć, ale przyłożyła tylko na chwilę głowę i...

A jeśli w ciągu tych kilku minut coś przytrafiło się Gage'owi? Wściekła na siebie za to zaniedbanie, wyprostowała się i popatrzyła na monitory instrumentów. Nie znała się na nich, ale zielony, równy, pulsujący rytmicznie blask w jakiś sposób ją uspokoił.

I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Gage się obudził. Nie tylko się obudził, ale był świadom jej obecności. Jego niebieskie oczy patrzyły na nią, jak zwykle z lekką kpina.

- Ej, złotko - wykrzywił twarz w uśmiechu. - Ale zapaskudziłem ci święta, co?

- Gage! Jak długo... od kiedy...?

- Już jakiś czas. - Z bólem przełknął ślinę. - Po prostu tak sobie leżałem i myślałem, czy ty to naprawdę ty.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Ogarnęła ją fala ulgi. Aż zakręciło się jej w głowie ze szczęścia.

- Do licha, Gage, śmiertelnie mnie wystraszyłeś. - Po policzkach Kathleen popłynęły łzy. Otarła je natychmiast, starając się dzielnie powstrzymać drżenie podbródka. - Powinnam kogoś zawołać i...

- Nie. Nie chcę nikogo widzieć. Chcę patrzeć tylko na ciebie...

Beczała jak idiotka, ale nie potrafiła się opanować. Śmiała się przez łzy, aż do bólu pragnęła znaleźć się w jego objęciach. Znów poszukała chusteczki w kieszeni kurtki Gage'a i wytarła w nią nos. Ciągłe szlochała. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest jej przykro, jak bardzo go kocha, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała... Tyle miała mu do opowiadania.

- Jazda w taką pogodę to szaleństwo - zdołała tylko wyjąkać. - Mogłeś się zabić i...

- Kathy, jesteś nacudowniejszym stworzeniem, jakie widziałem. Tak za tobą tęskniłem.

- Ja... ja też tęskniłam.

- Co się stało?

- Straciłeś panowanie nad samochodem w trakcie hamowania. Przewróciłeś się na bok i zderzyłeś z nadjeżdżającą z przeciwka cysterną. - Zadrzała. - Policja twierdzi, że cudem uniknąłeś śmierci na miejscu. Jak się teraz czujesz?

- Jak po zderzeniu z cysterną - zażartował. Po chwili spoważniał, ścisnął lekko palce Kathleen i popatrzył jej prosto w oczy. - Wiem, że nie powinienem wybierać się w podróż w taką pogodę, ale musiałem cię zobaczyć, Kathy.

- Jak to? - Zamrugła oczyma. - Jechałeś do mnie?

- Oczywiście. A w jakim innym celu ryzykowałbym życiem? - Znow lekko uściśnął jej dłoń i spoważniał. - Miałem dla ciebie prezent świąteczny, aniołku. Mogłem go wysłać pocztą, ale wolałem wręczyć ci go osobiście. Niestety, przepadł i muszę...

- Mam go. - Kathleen podniosła z podłogi srebrzy-stoniebieskie pudełeczko. - Policja go znalazła i przywiozła tutaj wraz tobą. - I to... - Wyciągnęła rękę i pokazała szklanego anioła. - Masz.

Wzruszył ramionami, niby obojętnie.

- Zawsze mi cię przypominał, złotko. - Dotknął palcem skrzydeł i lekko się uśmiechnął. - Zabawne, niedawno śniłem o aniołach. W każdym razie o tym na pewno. Śniłem, że znow jestem na ranczo w czasie Bożego Narodzenia i ci go daję...

Kathleen popatrzyła na niego, serce jej mocniej zabiło, a on uśmiechnął się, tym razem bardziej drapieżnie.

- Pewnie były to pobożne życzenia. Miałem też inne sny. Śniłem o popołudniu nad Fireweed Creek. Boże, zupełnie jakbym znow był tam z tobą. Sen był tak plastyczny... Przyśniło mi się też, jak złamałem nogę, próbując okiełznać tego deresza, jak przyniosłaś mi lunch, jak wściekłaś się na mnie, jak się kochaliśmy...

Po plecach Kathleen przeszedł dreszcz. Przecież to niemożliwe! Po prostu zbieg okoliczności. A jednak...

- Ciekawe, bo ja myślałam dokładnie o tym samym, kiedy leżałaś na stole operacyjnym. Takie... sny na jawie. Ale tak żywe, realne... Tamto popołudnie, gdy robiłam ciasteczka w kształcie aniołów, a ty pomagałaś mi je lukrować. .. Prawie miałam w ustach smak tego lukru!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A później ta noc przed kominkiem. - Popatrzył jej w oczy. Kathleen wyczytała w nich, że Gage bardzo dobrze pamięta, co się stało później. - Czyżby ludzie potrafili dzielić sny? - zapytał niemal bezgłośnie.

- Może? Jeśli bardzo tego chcą - odparła równie cicho.

- Która godzina?

- Godzina? - Kathleen spojrzała na zegarek. - Trochę po drugiej. Dlaczego pytasz?

- Już Boże Narodzenie. Możesz otworzyć prezent. Roześmiała się cicho.

- Najlepszym prezentem jest to, że tutaj siedzę i z tobą rozmawiam. Nie potrzebuję niczego innego.

- Otwórz. ,

- Nie rozumiem, dlaczego nie wysłałeś tego pocztą -mruknęła, rozwijając papier. - Co może być aż tak ważnego, że ryzykowałeś życiem...

Gdy zdjęła przykrywkę, zamarła. Długą chwilę trwało, zanim dotarło do niej, co naprawdę znajduje się w pudełku. A nawet kiedy już dotarło, nie potrafiła nadać temu żadnego sensu. Marszcząc brwi, wyjęła pierścionek z brylantami i szmaragdami, ametystowe kolczyki, podwójny sznur pereł.

- Biżuteria mojej matki - powiedziała głucho. Kosztowności matki, które sprzedała pół roku temu po ucieczce z Tanglefoot, gdy była bez grosza przy duszy. - Ale... jak?

Uśmiechnął się.

- Wiem o wszystkim, co się tu z tobą działo, złotko. Następnego dnia po tym, jak je sprzedałaś, zadzwonił do mnie właściciel sklepu. Odebrałem je kilka dni później.

Zmarszczył brwi i popatrzył na pudełko w dłoniach Kathleen.

- Wiem, ile dla ciebie znaczą. To nieuczciwe, że musiałaś je sprzedać po to, by ode mnie uciec.
 - Och, Gage! - W oczach Kathleen znów stanęły łzy, które starała się wszelkimi siłami zwalczyć.
 - To ja nie miałem racji, Kathy - powiedział cicho.
 - Całe życie sądziłem, że jako Ramsey mogę mieć wszystko, co tylko zechcę. Ale nie miałem racji... To ty zasługujesz na wszystko, nie ja.
 - Gage, proszę... - wyjąkała.
 - Tam jest więcej. - Wskazał pudełko. - W tej kopercie na dnie.
- W środku znajdowały się jakieś przedarte na pół papiery. Kathleen zmarszczyła brwi i zaczęła je rozkładać.
- Nie mam prawa siłą trzymać cię w tym małżeństwie
 - stwierdził cicho Gage. - Pragnę cię. Ale to nie jest sposób...
- Kompletnie oszołomiona, Kathleen spoglądała tępo na przedarte kartki papieru.
- Nasz kontrakt ślubny - szepnęła.
 - Kocham cię, Kathy. Za bardzo cię kocham, aby więzić w związku, którego nie chcesz.
- Umilkł, a ona po prostu gapiała się w podarte dokumenty.
- Myślałam... - Spojrzała mu prosto w oczy.
 - Myślałaś, że to wyłącznie interes? - Uśmiechnął się ponuro. - Do licha, dla mnie nigdy nie byłaś przedmiotem interesu. Byłaś córką Langforda... Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans cię poślubić. Zrobiłem więc to podstępem w nadziei, że po kilku latach mnie pokochasz. Ale nie pokochałaś. A ja nie mogłem się zdobyć na to, żeby złamać nasz układ... Pragnąłem cię od tamtego dnia nad Fireweed Creek. Gdyby tylko istniał jakiś inny sposób,

GWIAZDKA MIŁOŚCI

chwyciłbym się go. Czy wyszłabyś za mnie, gdybym po prostu do ciebie przyszedł i się oświadczył?
Popatrzyła na niego i chwilę się zastanawiała.

- Nie. Nie za życia mego ojca. Twoja rodzina również by na to nie pozwoliła. Przecież Decker zgodził się tylko dlatego, że mógł od mego ojca przejąć High Mesa.

- Było, minęło... Kocham cię, Kathleen. Uśmiechnęła się smutno i popatrzyła na podarte dokumenty, które trzymała w dłoniach.

- Zmarnowaliśmy tyle czasu.

- Czy słyszałaś, co powiedziałem, Kathy? Powiedziałem, że cię kocham.

Znów się uśmiechnęła, słysząc zniecierpliwienie w jego głosie. Śmierć mogła ciągnąć go za nogawkę, mógł wyznać jej miłość, ale pozostawał starym Gage'em, który nie znosił czekania.

- Słyszałam.

- No i co?

- Przecież jesteśmy małżeństwem - odparła ze śmiechem, ale Gage nie spuszczał z niej poważnego, pochmurnego wzroku.

- Mówię poważnie, Kathy. Żadnych układów, żadnych warunków. Tylko ty, ja, kościół i całe życie przed nami. Tak to powinno się odbyć. Powiedz, poślubisz mnie? Poślubisz ponownie?

- Tak - powiedziała resztką sił Kathleen.

Mogłaby przysiąc, że kiedy pochylała się, żeby delikatnie musnąć wargami usta swego byłego i przyszłego męża, kryształowy anioł się uśmiechnął.

Heather Graham Pozzessere

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Miłość pod choinkę

WIGILIJNA POTRAWKA Z ANANASA ISERA WEDŁUG SIOSTRYSLOAN

Przepis Heather Graham Pozzessere

Przepis ten dała mi moja siostra, która z kolei otrzymała go od siostry mojego szwagra, Sloan. Potrawka okazała się tegorocznym przebojem na naszym świątecznym stole. Jest słodka, krucha i zupełnie inna niż wszystkie!

SKŁADNIKI:

2 duże puszki ananasów w plasterkach

2 filiżanki startego sera typu cheddar

1 filiżanka cukru

6 łyżek stołowych mąki

1 opakowanie (3 porcje) pokruszonych krakersów pół kostki stopionego masła

PRZYGOTOWANIE:

Zmieszać pokrojone w kostkę ananasy i ser. Odstawić. 'Zmiksować mąkę z cukrem. Do mieszaniny dodać owoce i ser. Całość umieścić w żaroodpornym naczyniu. Wierzch posypać krakersami i polać stopionym masłem. Piec w dobrze nagrzanym piekarniku około 35 do 40 minut. Schłodzić i podawać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co byś chciała dostać pod choinkę, kochanie? - Cary Adams wsparła brodę na dłoniach i nachyliła się do swojej przyjaciółki, June Harrison.

Cary była brunetką. Gładkie, lśniące włosy okalały jej delikatną twarz, a oczy barwy przedniego miocka iskrzyły się, kiedy się uśmiechała. Duże i niewinne, przypominały oczy anioła Zwiastowania.

- Nie co, a kogo - odparła z rozbawieniem June. - Nieważne, jak się będzie nazywał. Liczy się tylko to, żeby był wysokim, przystojnym brunetem. No i, oczywiście, musi być bogaty - dodała po chwili namysłu, po czym wykrzywiła twarz. - Nie pomyśl sobie, że jestem materialistką, ale ten świat jest już tak ułożony, że te cechy są bardzo ważne u mężczyzn.

Cary uśmiechnęła się, oparła na krześle i wycelowała palcem w June.

- To nie w porządku z twojej strony. Nie jestem w stanie załatwić ci takiego prezentu.

- Nie? No, cóż. I tak wcale go nie oczekuję. Ale pani, pani Adams, z całą pewnością zasługuje na właśnie takiego mężczyznę: wysokiego, przystojnego i ciemnowłosego bogacza.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A jeśli wolę blondynów?

- Przykro mi, ale musi być dokładnie taki, jakiego przed chwilą opisałam. Koniec i kropka.

Cary roześmiała się i rozejrzała po pokoju.

Mimo iż święta Bożego Narodzenia wypadały niedługo po uroczystościach Dziękczynienia, Cary nigdy nie miała dość świątecznych kolacji w gronie przyjaciół z biura. Rozkoszowała się wówczas muzyką, zapachem ostro-krzewu, choinką i świeczkami. Dzisiaj natomiast cieszył ją nawet śnieg, który grubą puchową kołdrą przykrył chodniki i ulice.

Pary z niecierpliwością czekała na wieczorną zabawę, w której miały uczestniczyć rodziny pracowników „Ele-gance”. Rokrocznie wydawca magazynu, Jason McCready, wynajmował w tym celu salę balową w jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Bostonie. Podczas świątecznej imprezy Cary z błogością przypatrywała się raczkującym maluchom i rozbawionej młodzieży, która krążyła wśród wystrojonych w smokingi kelnerów i kosztowała specjalnego ponczu w kolorze żywej czerwieni. Dorośli zaś raczyli się do woli szampanem, grzanym alkoholem z jajkiem, piwem i winem. Na stole zwykle zjawiały się olbrzymie indyki i szynki. Można też było wygrać kuchenkę mikrofalową, telewizor, magnetowid i tym podobne sprzęty. Mimo licznych dziwactw Jason McCready potrafił doskonale zorganizować bożonarodzeniowe przyjęcie dla swoich pracowników. Nikt nie wychodził z imprezy z gołymi rękami. Biesiadnicy ciągnęli z kapelusza losy z nazwiskami osób, z którymi mieli wymienić się upominkami. W zasadzie wszyscy, bez względu na zapatrywania religij-

ne, radośnie przyłączali się do wspólnej **zabawy, która** przebiegała w atmosferze ciepła i harmonii.

- Hej, dzieciaku! Jesteś śmiertelnie poważna. **A przecież** przyszliśmy tu, żeby się bawić. Mam rację? Cary zamrugła, po czym uśmiechnęła się. June, **która** pracowała w dziale reklamy, przyglądała się jej z uwagą. Od pięciu lat była zwierzchnikiem Cary, którą początkowo denerwował nonszalancki zwrot „dzieciak”, skierowany pod jej adresem. Szybko jednak przekonała się, że June zwraca się tak do niej z czystej sympatii. Po burzliwym, pełnym konfliktów początku ich współpracy te dwie kobiety zostały bliskimi przyjaciółkami.

- Zamyśliłam się - odparła Cary.

- To straszne! - mruknęła z kpina June, niezwykle atrakcyjna blondynka o łagodnych szarych oczach. Była tak zgrabna, że mogłaby pozować do zdjęć magazynom o modzie. Jednocześnie była pełna temperamentu i miała smykałkę do interesów. Energicznie zamieszała kawę po irlandzku i spytała: - O czym myślisz? O mężczyznach?

- Nie. A właściwie tak. O jednym konkretnym. Pomyślałam sobie, że McCready wydał doskonałe przyjęcie. Jest to dosyć dziwne, zważywszy, jaki to dziwak - dodała niepewnie.

June uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Cary wiedziała, że jej przyjaciółka doskonale zrozumiała, co ma na myśli. Jason McCready był zdecydowanie przystojnym, wysokim mężczyzną około czterdziestki. To dosyć młody wiek jak na zawodową pozycję, którą zajmował. Mówiono o nim, że gdy miał zaledwie dwadzieścia lat, był już żywiołowym i pełnym pomysłów inteligentem.

Dzięki swym

GWIAZDKA MIŁOŚCI

przymiotom udało mu się zmienić podupadający tygodnik w szanowane i błyskotliwe pismo.

W „Elegance” był dział dotyczący najwspanialszych posiadłości ziemskich w Ameryce, a także rozrywka i bieżące wiadomości społeczno-polityczne. Cary zajmowała się kolumną zatytułowaną „Amerykański świat”, poświęconą znanym osobistościom i ich prywatnemu życiu. Magazyn łączył w sobie nowoczesne podejście do życia z tradycyjnymi, ogólnie uznanymi wartościami. Ten swoisty styl pisma był dziełem McCready'ego.

McCready pełnił nie tylko funkcję wydawcy, ale i prezesa zarządu magazynu. Bez wątpienia należał do ludzi sukcesu. Na długo zanim Cary zaczęła pracować w swoim zawodzie, wiele dzienników pisało o nim na pierwszych stronach. Szczególnie wyraźnie Cary zapamiętała fotografię, która przedstawiała McCready'ego z żoną na Rockefeller Plaża.

Tak się złożyło, że było to zdjęcie zrobione tuż przed Bożym Narodzeniem. W tle widniała potężna choinka i rozświetlony kolorowymi neonami Nowy Jork. Z przodu zaś, tuż przed małżeństwem McCready, rozciągał się sztucznie przygotowany tor łyżwiarski. Jason McCready miał na sobie długi czarny płaszcz, który podkreślał przystojną sylwetkę. Jego piękna żona, Sara, w delikatnym futrze z norek, z puklami blond włosów i niewiarygodnie błękitnymi oczami wyglądała na zupełne przeciwieństwo małżonka. Na zdjęciu obydwójce uśmiechali się do siebie. Na twarzy Sary malowało się uwielbienie męża, zaś jego wzrok przepełniała wzruszająca wręcz czułość. Państwo McCready wyglądali po prostu jak baśniowa para.

235

Rok później Cary dowiedziała się, że **Sara McCready** zmarła jeszcze przed Wigilią. Po tym **wydarzeniu Jason** nigdy więcej nie udzielił już wywiadu. Cary **pomyślała, że** spróbowałyby go namówić na rozmowę dla „**Elegance**”. W zasadzie była to jedyna okazja, żeby **porozmawiać** z McCreadym w cztery oczy.

Doskonale pamiętała spotkanie w jego biurze, **do którego** tak starannie się przygotowała. Miała w zanadrzu **mnóstwo** argumentów, które miały skłonić szefa do intymnych zwierzeń.

Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, kiedy wkroczyła do gabinetu McCready'ego, było skromne wyposażenie wnętrza. Na białych ścianach wisiały dwie ryciny, a na wyłożonej brzoskiwniowym dywanem podłodze stało jedynie masywne dębowe biurko, skórzana kanapa i dwa krzesła.

McCready nie zaproponował Cary, żeby usiadła. Pozostał za biurkiem i, słuchając, przeszywał ją na wylot ostrym, lodowatym spojrzeniem swych zielonych oczu. Mówiła już co najmniej minutę, kiedy nagle wypuścił z ręki ołówek, po czym wstał zza biurka, wyprostował się w całej okazałości swej prawie dwumetrowej sylwetki i podszedł do rozmówczynie. Cary zamarła, kiedy chwycił ją za ramiona. Stanowczo. Władczo, ale nie brutalnie. Oschłym głosem rzucił tylko jedno słowo:

- Nie!

Nie ruszając się z miejsca, zmierzył Cary stanowczym spojrzeniem. Kosmyk idealnie wypielegnowanych czarnych włosów opadł mu na ciemną brew. Na jego twarzy pojawiła się bladość i zaciętość. Nawet pełne usta ściągnęły się w cienką linię. McCready patrzył na Cary tak, jakby

GWIAZDKA MIŁOŚCI

była jego odwiecznym wrogiem, ona zaś nie marzyła już o niczym innym, jak tylko o rychłej ucieczce z jaskini lwa.

I to nie odwaga kazała jej zostać na miejscu, a zaskoczenie, które po prostu sparaliżowało jej ruchy. W końcu McCready zdjął dłonie z jej ramion i odwrócił się.

- Moja odpowiedź brzmi: nie, panno Adams.

- Pani Adams - poprawiła go, walcząc z cisnącymi się jej do oczu łzami. Jednocześnie zastanawiała się, czy jest sens, żeby w takiej sytuacji uświadamiać szefowi swój stan cywilny.

- Tak. Pani Adams. Proszę mi wybaczyć pomyłkę - rzekł chłodno. Podszedł do biurka i ponownie rozsiadł się w krześle z ładu królewską manierą. - Czy mogłaby mnie teraz pani zostawić samego? Jestem zajęty, a kwestię wywiadu uważam za zamkniętą.

Cary zastygła w bezruchu uświadamiając sobie, że nie tylko otrzymała odmowę, ale i wypowiedzenie.

- Do piątej sprzątnę rzeczy z mojego biurka - stwierdziła na pozór obojętnie. - Spodziewam się, że wkrótce otrzymam czek z ostatnią wypłatą.

McCready wygiął w łuk ciemne brwi i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego, do licha, miałaby pani sprzątać swoje biurko, pani Adams?

Cary postanowiła nie poddawać się, ale niemoc była od niej silniejsza. Poczwała, że jej policzki oblewają się rumieńcem.

- Panie McCready, odniosłam wrażenie, że jest pan rozdrażniony i odmawia dalszej współpracy ze mną.

- Owszem, pani Adams. Jestem rozdrażniony, ale nie

wyrzucam ludzi z pracy tylko dlatego, że **od czasu do czasu** mnie denerwują. Uważam, że jest pani **doskonałym** pracownikiem. Chciałem tylko, żeby pani opuściła **moje biuro** i wybiła sobie z głowy pomysł napisania artykułu **w oparciu** o wywiad ze mną.

Cary nadal z niedowierzaniem spoglądała na **szefa**. Często zachodziła w głowę, czy McCready czyta **drukowane** w „Elegance” artykuły. Najwidoczniej jednak tak.

- Czy jeszcze coś, pani Adams?

- Nie! - rzuciła pośpiesznie, ale nie poruszyła się, **zaskoczona** własną impertynencją, kiedy dodała: - **Panie** McCready, przecież „Elegance” to pana pismo! **Dlaczego...**

McCready wstał. Ku swojemu zdziwieniu, Cary odniosła wrażenie, że zdołała wreszcie skupić na sobie jego uwagę, a nie jedynie gniew.

- Dlatego, że nie chcę mówić o moim życiu prywatnym. To wszystko. Rozumie pani?

- Tak - przytaknęła. Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła skupione, wycelowane prosto w nią spojrzenie McCrea-dy'ego. Poczwała, jak po plecach przebiega jej gorący, a za chwilę lodowaty dreszcz.

Przez moment na twarzy mężczyzny rysował się ból. Cary intuicyjnie wyczuła, że pomyślał o zmarłej żonie.

- Przepraszam, że...-zaczęła.

- Nie trzeba! - wszedł jej w słowo. Tym razem jego głos brzmiał łagodniej, co dodało Cary więcej odwagi.

- Wiem, że bardzo kochał pan żonę. Widzę to. **I jest** mi przykro. Tak okropnie przykro. Ale nie jest pan **jedynym** człowiekiem na ziemi, którego opuściła ukochana **osoba**.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Przyznaję, że artykuł może nie jest najlepszym pomysłem, ale powinien pan przynajmniej z kimś porozmawiać. Powinien pan... - głos uwiązał jej w gardle. McCready wbił w nią rozwścieczony wzrok.

- Czy pani już skończyła?

Przytaknęła uznając, że nie powinna dalej walczyć i pchać się z butami w prywatne sprawy szefa.

- No to może zechce pani wrócić do swojej pracy - zasugerował życzliwie.

Dopiero teraz do Cary dotarło, że McCready naprawdę nie ma zamiaru wyrzucić jej z pracy. Z pracy, która tak naprawdę była jedyną ważną rzeczą w jej życiu.

- Pani Adams! - zawołał, a Cary uniosła spojrzenie.

- Proszę mi wybaczyć, że byłem dla pani niegrzeczny. Naprawdę jest mi przykro z powodu tej rozmowy - dodał łagodnie, po czym usiadł i zwinął dłonie w pięści. Jego ciemne brwi i oszałamiająco zielone oczy zahipnotyzowały Cary. Zaciskając zęby, odganiała od siebie przemożną chęć przytulenia się do tego mężczyzny i pocieszenia go.

Naturalnie, było to jedynie złudzenie. McCready nie pragnął od niej niczego poza tym, żeby wreszcie wyszła z jego gabinetu.

Teraz, w czasie świątecznego przyjęcia, pamięć o tamtym zdarzeniu odezwała się w Cary jeszcze wyraźniej.

- McCready naprawdę należycie zadbał o gości - skomentowała obojętnie i rzuciła June nieszczerzy uśmiech.

- Zupełnie tak, jakby rzeczywiście wierzył w Świętego Mikołaja...

- A ty powiedziałaś to tak, jakbyś sama w niego wierzy-

ła - odparła June w zamyśleniu i zmierzyła przyjaciółkę baczным wzrokiem.

Cary poczuła, że serce zaczyna jej walić jak młot, i że nie może złapać oddechu. Zaboląły ją słowa June. Przecież próbowała. I to co roku, gdy tylko zbliżały się święta. Nauczyła się już uśmiechać i śmiać. Zrobiła to dla rodziny, nie dla siebie. W jej przekonaniu wyszła zwycięsko z walki z własnymi słabościami.

Cary zdołała przełamać uczucie szoku, rozterki, gniewu i bezsilności. Znalazła nowe mieszkanie, stała się niezależna. Udało się jej zbudować nowe życie, wypełnione matczynymi obowiązkami wobec ośmioletniego syna, pracą, wizytami u teściów i u własnych rodziców. niesprawiedliwa uwaga June była dla niej krzywdząca.

Ale June wcale nie miała zamiaru urazić przyjaciółki. Potrząsnęła jedynie bujną grzywą, upiła łyk drinka i wskazała szklanką duży, suto udekorowany domek z kartonu, w którym Święty Mikołaj przyjmował najmłodszych uczestników zabawy.

- W tym roku chyba Jeremy przebrał się za Mikołaja, prawda?

- Tak - przytaknęła Cary. - Wypchał się watą i bawi się w najlepsze. Zaraz podejdzie do niego mój Danny. Ciekawa jestem, czy rozpozna Jeremy'ego.

- Chodźmy tam - zaproponowała June.

Kiedy podeszły do chatki, przez czerwone zasłony przechodziła właśnie dziewczynka, stojąca tuż przed Dannym. Przez szparkę w kartonie Cary dostrzegła, że Jeremy szczy-pnął swoją długonogą i piękną pomocnicę, Isabelle.

- Nasz Mikołaj to uwodziciel - westchnęła Cary.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jestem pewna, że Isabelle nie ma nic przeciwko jego zalotom - zapewniła June.

Wtem Danny odwrócił się, jakby wyczuł w pobliżu obecność mamy. Na jego piegowatej buzi pojawił się szeroki uśmiech. Serce Cary zabiło mocniej. Chłopiec tak bardzo przypominał wyglądem swojego ojca. Te czyste błękitne oczy, płowe włosy i deszcz piegów, pokrywających gęsto grzbiet nosa... Cary wiedziała, że jej syn jest niezwykle bystrym chłopcem. W jego oczach widać było mądrość, a nawet współczucie. Danny nie załamał się, kiedy dowiedział się o śmierci ojca. Jedynie płakał.

Nawet teraz jeszcze popłakiwał czasem w nocy. Odejście ojca nie załamało go jednak, a jedynie dodało dorosłości. Danny wydorósł przedwcześnie, cechował go swoisty dziecięcy urok, a zarazem poczucie odpowiedzialności rzadkie jak na ośmioletnie dziecko. Rozmawiając z nim, można było odnieść wrażenie, że jest nastolatkiem kończącym szkołę podstawową.

- Mamusiu! Chodź tutaj - krzyknął Danny.

- Idź - przykazała June. - Będę na ciebie czekać przy wyjściu z chatki.

- Dobra. - Cary uśmiechnęła się. - Chcę rzucić okiem na Danny'ego i Mikołaja.

June przytaknęła ze zrozumieniem. Cary przeprosiła ją, przecisnęła się przez rząd rodziców i dzieci i podeszła do syna. Isabelle obdarzyła ją szerokim przyjacielskim uśmiechem.

- Witam, pani Adams. Czy to pani bąbelek? - zapytała, wskazując Danny'ego.

- Tak. Danny, poznaj pannę Isabelle Lacrosse, któ-

ra pracuje z nami w gazecie. Isabelle, **to jest mój syn**, Danny.

Chłopiec zamachał rękami.

- A ja myślałem, że jesteś prawdziwym **elfem** - westchnął.

Zaskoczona Isabelle spojrzała na Cary, ta zaś **wzruszyła** ramionami i wstrzymała uśmiech.

- On lubi elfy - wyjaśniła niedbale. Isabelle zajrzała za zasłonę.

- Podejrzewam, że Mikołaj już na ciebie czeka, Danny. Jeśli pani chce, pani Adams, proszę wejść razem z synem.

Cary dostrzegła prześwit, przez który mogła szpiegować przebieg wizyty u Mikołaja. Uśmiechnęła się serdecznie do Isabelle, Danny zaś pomaszerował prosto na kolana Mikołaja.

- Ho, ho! Kogo my tu widzimy! Przecież to sam pan Daniel Adams! - krzyknął na przywitanie Mikołaj. Cary widziała, jak synowi ze szczęścia rozszerzają się źrenice.

Jeremy doskonale nadawał się do roli Mikołaja. Był świetnie ucharakteryzowany i miał idealnie dopasowany kostium. Obfita biała broda zakrywała mu pół twarzy, a jeśli dodać do tego sumiaste wąsy, można było powiedzieć, że był nie do rozpoznania. Wciśnięta głęboko na czoło czapa i złote okulary, osadzone na czubku nosa, dopełniały bajkowego wyglądu.

- Tak jest, panie Mikołaju - odpowiedział Danny z zachwytem. Wcześniej zapewnił mamę, że nie usiądzie Mikołajowi na kolana, bo to nie wypada tak dużemu chłopcu jak on. Danny miał zamiar rozmawiać z bajkowym gościem jak mężczyzna z mężczyzną.

Niestety, wszystkie obietnice poszły w niepamięć.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Chłopiec wdrapał się na kolana Mikołaja, absolutnie nieświadom tego, że to kuzyn mamy, a jednocześnie jego własny wujek.

- Wiem, że w tym roku byłeś grzeczny, Danny. Zaslugujesz więc na prezent. Powiedz mi, co byś chciał dostać pod choinkę.

Chłopiec zawahał się. Cary zmarszczyła brwi i bacznie obserwowała syna.

- Wierzę w Świętego Mikołaja - zaczął Danny. - Wierzę w Boga, Mikołaja i cuda, a zwłaszcza te, które zdarzają się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Wiem też, że możesz mi pomóc, Mikołaju, to znaczy panie Mikołaju.

- Danny, ja...

- Chciałbym mieć tatusia. O, nie! Nie tego prawdziwego. Wiem, że nie możesz zwrócić mi zmarłego taty. Bóg nie zwraca ludzi, jeśli raz ich zabierze do siebie. Tak naprawdę, to chciałbym, żeby moja mamusia miała kogoś. Ona próbuje ukryć, że jest nieszczęśliwa, ale mnie nie oszuka. Nie sądzę, żeby się domyślała, że ja to wiem. Ale ja naprawdę to wiem.

- Danny...

- Mamusia genialnie gotuje i umie prowadzić dom. Piecze pyszne czekoladowe ciasteczka. I jest pisarką. Opisuje życie innych ludzi, którzy potrzebują wsparcia. Czasami nawet to, co napisze, rzeczywiście im pomaga. Mikołaju, moja mama jest naprawdę dobra. Proszę...

Cary poczuła, że jej serce dosłownie pęka. Oczy wypełniły się łzami. Kiedy je połykała, niemalże się nimi zakrztusiła. Uśmiechnęła się do siebie myśląc, jak bardzo kocha swego syna.

243

- Widzisz, Danny - Mikołaj zdołał **wreszcie wejść** chłopcu w słowo - chciałbym ci móc obiecać **nowego tatusia**, ale nie mogę tego zrobić. Chodzi o to, że **dorośli muszą** sami... No, cóż, muszą sami znaleźć sobie **kogoś, kogo** polubią.

- Wiem, że możesz mi pomóc - Danny obstawał **przy** swoim.

Z wrażenia Mikołaj otworzył usta, a po chwili **znowu je** zamknął. Wiedział, że chłopiec nie ustąpi.

- Coś ci powiem, Danny. Zobaczą, co się da zrobić, ale przyznaję, że nie jest to łatwe życzenie gwiazdkowe. Wręcz przeciwnie. Musisz mi dać więcej czasu, żeby je spełnić, zgoda?

- Ale zajmiesz się tym na pewno? -

- Już się zająłem - mruknął Jeremy pod nosem i uśmiechnął się. - Oczywiście. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Przynajmniej.

- Dzięki - bezceremonialnie odparł Danny. - Ja ci pomogę. Co noc będę się zwracał z tą prośbą do Gwiazdy Północnej.

- A jakie masz życzenie na najbliższą gwiazdkę?

- Och! Chciałbym komputer, taki specjalny dla dzieci w moim wieku. Jest u nas jeden taki w szkole. Cary nieomal krzyknęła z zaskoczenia. Danny nigdy o nic nie prosił. Aż tu nagle zażyczył sobie coś, na co nie miała pieniędzy. Wiedziała, że taki typ komputera z całym oprzyrządowaniem kosztuje kilka tysięcy dolarów.

Jeremy najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że prośba chłopca przekracza możliwości finansowe jego mamy.

- To łatwe życzenie - zapewnił Danny'ego. - Na pew-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

no się spełni - dodał i zestawił chłopca na ziemię, po czym sięgnął do dużej czerwonej torby. - A na razie, mój chłopcze, mam tu dla ciebie zdalnie sterowany samochód. Jak ci się podoba?

- Jest super, Święty Mikołaju! Ekstra. Poważnie. Dzięki, wielkie dzięki!

Danny pośpiesznie wyszedł przez zasłony, a Jeremy poprosił Isabelle, żeby wprowadziła następnego dziecko. Wtem uniósł wzrok i zobaczył Cary. Przez moment zatrzymał na niej spojrzenie, a potem skinieniem palca przywołał ją do siebie.

- Podejź no tu, Cary Adams! - rozkazał.

- Przepraszam, że podsłuchiwałam. Nie mogłam się powstrzymać.

- Słyszałam, że dobra z ciebie dziewczynka. - Puścił do niej oko.

- Przestań, bałamutniku. Jestem twoją kuzynką - zaprotestowała Cary z uśmiechem.

- Po drugiej kądzieli - poprawił ją i westchnął.

- Jestem wystarczająco bliską krewną, więc uważaj...

- No, cóż. Słyszałaś, co mówił twój syn...

- Jeremy, jesteś naprawdę słodki. Kocham cię z całego serca, i ty o tym wiesz. Ale wiesz także, że stroisz sobie ze mnie żarty.

- Ależ skąd. Wręcz przeciwnie.

- Jeremy...

- A co powiesz na tego elektryka, który wyglądał jak kulturysta?

- Wybacz - roześmiała się Cary - ale on podciągał spodnie aż do torsu.

245

- A ten prawnik z Concord?

- Miał zeza. Przysięgam.

- Cary - Jeremy spowaźniał - nikt nie **będzie drugim** Richardem. Tamten prawnik wcale nie był **zezowaty**.

Cary wstrzymała oddech i spojrzała **Jeremy'emu** w oczy. Z jego wzroku odczytała troskę i miłość.

- Wiem, że nikt nie będzie taki jak on. Mówię **szczerze**. Ale ten ktoś musiałby najpierw choć trochę zbliżyć **się do** niego. Rozumiesz mnie?

Jeremy już zaczął przytakiwać, ale nagle potrząsnął przecząco głową, może dlatego, że widział, iż Cary zbiera się na płacz.

- Pani Adams, pani syn przez cały rok był bardzo grzeczny. Sądzę więc, że...

- A ja sądzą, że wpakowałaś mnie w niezłą kabałę -przerwała mu.

- Ja? - w głosie Jeremy'ego zabrzmiało zdumienie. -Ja przecież jestem aniołem.

- Jeremy, nigdy nim nie byłeś, ale nie o tym mówię.

- Czyżby? - mruknął, urażony krytyczną uwagą kuzynki.

- Obiecałeś Danny'emu ojca.

- Słuchaj! Przecież dałem ci kilka lat na znalezienie odpowiedniego partnera.

- Dzięki. Okazałeś mi wielką wspaniałomyślność.

- Staram się, jak mogę.

- A do tego wszystkiego obiecałeś Danny'emu prezent, na który mnie nie stać.

- Co? - Jeremy ściągnął brwi i spowaźniał. - Myślałem, że ceny komputerów ostatnio spadły.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Owszem, ale nie ten typ, który chce mój syn. Ten sprzęt kosztuje tysiące dolarów, Jeremy.

- Pomogę ci.

- Nie żebrzę u rodziny! Wiesz o tym.

- Hej! Mam chyba prawo kupić mojemu kuzynowi prezent pod choinkę, co?

- Pewnie. Nawet jeśli w końcu kupię ten zestaw, to pozwolę ci zapłacić jedynie za grę albo jakiś program.

- Uparciuch z ciebie - obstawał Jeremy. Nagle w oczach zabłyśły mu ogniki. - Może dostaniemy świąteczną premię?

- Aż tyle?

- Może. Pomimo wszystko dobrze się sprawowałaś. Aż za dobrze. Okropnie, nudziarsko dobrze. W związku z tym obsypię cię w nagrodę magicznym bożonarodzeniowym pyłem. Następny mężczyzna, którego spotkasz, będzie tym wyśnionym. Będzie bogaty jak król Midas, o sylwetce lepszej niż mercedes benz, a do tego będzie też czuły, wrażliwy i miły. Będzie wysokim, przystojnym brunetem. Dzięki mojemu magicznemu pyłowi zwiążesz się z nim na dobre i na złe. Co ty na to?

Cary roześmiała się szczerze.

- Następnym mężczyzną, którego spotkam, będzie pewnie stary Pete z działu korespondencji, ze swoją dziesiątką dzieci i osiemnastoma milionami wnuków. Ale twój pomysł z magicznym pyłem nie jest wcale taki zły. Może wreszcie załapię się na jakąś randkę w czasie świątecznego przyjęcia dla dorosłych. Co o tym sądzisz?

- Myślę, że nadszedł na to właściwy czas-odparł Jeremy. - Mam nadzieję, że jako Święty Mikołaj jestem w sta-

nie dostarczyć odrobiny radości nie **tylko dzieciom, ale** przynajmniej jednej dorosłej osobie. **Możesz wstać...**

Cary ze śmiechem ześliznęła się z kolan **kuzyna. Już miała** wychodzić, kiedy kątem oka dostrzegła, że **ktoś blokuje wyjście**. Ktoś potężny. Nie widziała, kto to jest, **bowiem oślepił** ją blask świątecznych lampek. Wiedziała tylko, że **ten ktoś ma** ciemne włosy i jest twardy jak skała. Nie wiadomo **dlaczego** zatrzepotało jej serce. Poczula się przedziwnie nieswojo. **Sama przed sobą** wstydziła się, że płoszy się jak **nastolatka**. Zastanawiała się, dlaczego tak bardzo przeraził ją widok **mężczyzny w ciemnym smokingu**.

Zrobiła krok naprzód. Dopiero teraz rozpoznała tego, kto zagroził jej drogę. Powinna się była od razu domyślić po samym tylko wzroście. Nie był to nikt inny jak tylko sam Jason McCready.

Znała dobrze plotki, że wiele kobiet z „Elegance” nierozważnie poświęciło mu serce i honor. Ale on nie był zainteresowany damskimi umizgami. Nigdy nie umawiał się z pracownicami, a jeśli już musiał znaleźć osobę towarzyszącą, tak dobierał sobie partnerki, żeby nie widziano go dwa razy z tą samą kobietą.

Cary zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, po czym zamarła w bezruchu. McCready utkwiał w niej spojrzenie, które odebrało jej resztkę odwagi. Po raz kolejny wydało się jej, że zielone oczy tego mężczyzny tną jak ostrze brzytwy. Cary otoczył uwodzicielsko subtelny zapach męskiego ciała. McCready wyglądał niezwykle pociągająco. Szerokie ramiona i zgrabne biodra nadawały jego sylwetce siły i posągowego wyglądu. Była przekonana, że pod smokingiem McCready'ego kryje się muskularny tors. Zasta-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nawiała się tylko, czy owłosiony, czy też gładki. W końcu doszła do wniosku, że gładka pierś zupełnie nie pasuje do tego mężczyzny. Z pewnością pokrywa ją rzudek ciemnych włosów, biegnących od szyi do...

Zadarła głowę i spojrzała z paniką na szefa. On zaś cofnął się i uchylił zasłony.

- Pani Adams?

Cary zacisnęła zęby i ruszyła przed siebie. Wcześniej zamierzała podejść do McCready'ego i podziękować mu za wspaniałe przyjęcie, ale teraz, kiedy nadarzyła się ku temu okazja, stchórzyła.

- Pani Adams! - zawołał jeszcze raz, zbliżając się do niej. Podszedł na tak bliską odległość, że poczuła na sobie materię jego smokingu, fałdy śnieżnobiałej koszuli i ciepły oddech.

- Tak? - rzekła nieśmiało.

- Myślałem, że Mikołaj będzie przyjmował wyłącznie małe dzieci, powiedzmy do piętnastego roku życia.

Cary zastanawiała się, czy w tych słowach zabrzmiała złość, czy zwykła igraszka. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Ale nie potrafiła też odwrócić wzroku.

- PanieMcCready,ja...

Na twarzy McCready'ego rozbłysł uśmiech, który natychmiast odmłodził go i dodał chłopięcego uroku. Cary oniemiała.

- Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo cenię pani pracę.

- Dziękuję - bąknęła. Nie była jednak w stanie się uśmiechnąć ani powiedzieć nic więcej. W końcu odwróciła się i zbiegła po schodkach. Skierowała kroki ku June. W tym momencie uświadomiła sobie, że tuż przy wejściu

czeka mała dziewczynka, która ustąpiła **jej miejsca, gdy** zbiegała po schodach.

Dziewczynka była cierpliwa i przepięknie **się uśmiechała**. Mogła mieć sześć albo siedem lat. **Jej główkę** przyozdabiały dwa mysie ogonki, przewiązane **czerwoną** wstążką. Wyglądała jak anioł - była delikatna, **słodka**, no i tak cudownie uśmiechnięta. Cary wzruszył ten widok.

- Czy Mikołaj jest już wolny? - zapytała dziewczynka.

- Tak, ale obawiam się, że kolejka do niego jest z **drugiej** strony.

- Och! - zawołała z poczuciem winy. - Widzi pani, ja za chwilę muszę już iść, a tatuś powiedział, że mogłabym spróbować wejść poza kolejką. Ale tak naprawdę to wiem, że nieładnie jest się wpychać.

- Angela, przestań. Zajmiemy Mikołajowi najwyżej kilka minut. Dzieci na pewno nie będą miały nic przeciwko - tuż za ramieniem Cary zabrzmiał głęboki męski głos.

Odwróciła się pośpiesznie. To znowu McCready. Czyżby więc ta drobna dziewczynka była jego córką?

- Proszę mi wybaczyć - zaczęła się tłumaczyć. - Kochanie, jestem pewna, że Mikołaj przyjmie cię w pierwszej kolejności, skoro musisz już wychodzić.

- Dziękuję pani. Miło było panią poznać, panno... -odparła Angela.

- Pani Adams. A właściwie Cary.

- Pani Adams! - dziecko zawtórowało z radością. - Pani jest pewnie mamą Danny'ego.

Cary przytaknęła, unosząc ze zdziwieniem brew. Usiłowała ukryć zmieszanie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Siedzieliśmy obok siebie na pokazie magii. Danny nauczył mnie jednej sztuczki. To strasznie fajny chłopiec.

- No, cóż. Też tak sędzę - przytaknęła Cary.

- Mam nadzieję, że wkrótce się z nim... z wami spotkamy - rzekła Angela z nadzieją. Cary nie miała serca zaprotestować.

- Na pewno - odparła.

McCready zmierzył Cary przenikliwym spojrzeniem. Ona zaś poczuła, jak wzbiera w niej fala gorąca. W końcu ojciec i córka zniknęli za drzwiami tekturowego domku, a Cary odwróciła się i odeszła.

Zdarzyło się to zaledwie kilka chwil po tym, jak Jeremy wywróżył jej wysnionego mężczyznę. Wprost nie mogła uwierzyć w tak dziwny zbieg okoliczności. W końcu jednak otrząsnęła się z emocji stwierdzając, że nieoczekiwana rozmowa z McCreadym była dziełem czystego przypadku.

- Danny ogląda przedstawienie kukielkowe - odezwała się June. - Chodźmy na kieliszeczek pysznego szampana. Nieczęsto mam okazję tak sobie pofolgować.

- Doskonały pomysł - przyznała Cary. Myślami jednak była gdzie indziej. „Następny mężczyzna, którego spotkasz...” - dźwięczały jej w uszach słowa Jeremy'ego. Wcale nie chciała mężczyzny pod choinkę. Zastanawiała się, czy ktoś taki w ogóle jest jej potrzebny.

Czasami jednak - musiała przyznać - czuła się samotna i przestraszona, zła, że Richard ją opuścił.

Czasem też odczuwała rozgoryczenie i ból na myśl, że mąż nauczył ją, jak słodka może być miłość, a potem, odchodząc, zostawił pustkę w jej życiu. Po śmierci Richarda Cary próbowała znaleźć nowego partnera, ale szybko zaniechała wszelkich

randek, gdyż... nikt nie dotykał jej i nie adorował tak jak Richard. Pocałunki innych mężczyzn nie były dla niej czymś naturalnym.

- Cary, słuchasz mnie, czy już zupełnie odpłynęłaś?

- O, przepraszam. Co mówiłaś? - Cary zdała sobie sprawę z tego, że zignorowała rozmowę z June. Sączyły szampana i używały życia. Cary w zasadzie dobrze się bawiła. No, prawie dobrze. Pomyślała o Jeremym jako Mikołaju i uśmiechnęła się do siebie. Co by bez niego zrobiła? I bez jego wróżb? W końcu nie mogła zaprzeczyć, że pierwszym mężczyzną, na którego się natknęła, nie był stary Pete z działu korespondencji.

Wtem Cary zakrztusiła się szampanem. Przecież natknęła się na kogoś znacznie gorszego niż Pete. Na samego Jasona McCready, wysokiego, ciemnowłosego i zamożnego, dokładnie takiego, jakiego wykrakała jej June...

Pociągnęła kolejny łyk. Nie, nie, nie... Dostyc tych bożonarodzeniowych cudów!

ROZDZIAŁ DRUGI

W drodze powrotnej do domu Jasona McCready'ego nękał uporczywy ból głowy. Wiedział, że zrobił Angeli przykrość, zabierając ją tak wcześnie z przyjęcia. Nie mógłby jednak dłużej tam zostać.

Świąteczne imprezy dla pracowników „Elegance” były pomysłem jego żony. On sam też starał się nie zaniedbywać obowiązków wobec swoich podwładnych. Ciężko pracował, żeby zasłużyć na ich uznanie. Nie wżenił się w fortunę ani też nie odziedziczył rentownego pisma. Zbudował je własnym wysiłkiem. Wiedział, co znaczy znój pracy. Co więcej, wiedział też, co znaczy marzyć.

Kiedyś nawet miał wrażenie, że sięgnął magii. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno wszystko było w zasięgu ręki. Miał Sarę, która ubóstwiała święta Bożego Narodzenia. Kochała zimę, śnieg, czyste i rześkie powietrze. I kolorowe światełka, i świąteczne dekoracje, figurki Mikołajów w witrynach sklepowych i na ulicach. Szczytem szczęścia dla Jasona było siedzieć z żoną przy kominku. Niczego więcej nie żądał wtedy od losu.

Czar jednak prysnął owego feralnego grudniowego wieczora, kiedy pijany kierowca wjechał w srebrny sportowy wóz Sary i zabił ją na miejscu. Jason utracił szczęście,

253

została mu tylko córka, jedyny promyk **nadziei, który** uchronił go od rozpacz.

Początkowo Jason nie był jednak w stanie **zajmować się** dzieckiem. W końcu jednak przekonał się, że **swoją obojętnością** zadaje ból córce i odbiera jej prawo do **rodzicielskiej** miłości. Upłynęły miesiące, zanim pozbiierał **się i** zadbał o Angelę. Teraz zaś postanowił zrobić wszystko, **żeby** zadośćuczynić jej zranionym uczuciom.

- Pozwolisz mi, tatusiu?

- Co? Wybacz, kochanie. Chyba się zamyśliłem - przeprosił. Tej nocy na ulicach Bostonu panował nieznośny ruch, a świeży śnieg sprawił, że jezdnie były niebezpiecznie śliskie.

- Czy Danny Adams może jechać z nami na narty?

- Co takiego?

- Spytałam, czy...

- Nie, nie. Przepraszam cię. Słyszałem twoje pytanie, ale...

- On jest taki miły, tato. I nawet zrozumiał mnie, kiedy... - załamał się jej głos.

- Co zrozumiał? - ojciec zachęcił ją do mówienia. Na chwilę zdekoncentrował się i teraz musiał gwałtownie zahamować przed czerwonym światłem. Na rogu ulicy stał człowiek z Armii Zbawienia i, wymachując dzwoneczkiem, ogłaszał nadejście świąt. Jason często zapytywał samego siebie, dlaczego akurat wtedy, gdy zbliża się czas pokoju i nadziei, jego ogarnia tym dotkliwsza pustka.

- Nic - mruknęła Angela. - On jest po prostu... super. Możemy go zabrać? Proszę.

- Złotko, mama Danny'ego jest moją pracownicą. Nie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wiem, czy powinienem zawracać jej głowę tym wyjazdem - odparł, ale w myślach przyznał, że Cary Adams nie jest jedynie zwykłą pracownicą. Po tym, jak ją obserwował, był już prawie pewien, że jej odpowiedź brzmiałaby odmownie.

Angela najwyraźniej widziała sprawę w odmiennym świetle.

- Jego mama była taka sympatyczna. Na pewno nie będzie się złościć, kiedy powiesz jej o wyjeździe. Jason pomyślał sobie, że właściwie mógłby spróbować porozmawiać z panią Adams. Nagle jednak ogarnęło go poczucie winy. Uświadomił sobie, że życzenie córki jest wyrazem jej wielkiego osamotnienia. Angela nie miała bowiem zbyt wielu przyjaciół. Aż do teraz, kiedy zachwyciła się Dannym.

Jason nie mógł zaprzeczyć, że chłopiec wywarł i na nim szczególnie dobre wrażenie. W jego uśmiechu było coś zupełnie wyjątkowego. Danny uśmiechał się otwarcie, szczerze i w bardzo miły sposób. Tego dnia, kiedy Cary Adams zaproponowała McCready'emu wywiad, postanowił zebrać o niej parę informacji. Przy okazji dowiedział się nieco o jej synku.

Nie mógł zapomnieć, z jak dumnie uniesioną głową Cary Adams wyszła wtedy z jego gabinetu... Cary była drobnej budowy ciała. Miała dźwięczny, delikatny i melodyjny głos, któremu jednak nie brakowało stanowczości i niezłomności. Kiedy tak o niej myślał, doszedł do wniosku, że to bardzo piękna kobieta. Szczególnego uroku dodawały jej gęste ciemne włosy i otoczone bujną firaną rzęs orzechowe oczy, które płonęły, kiedy wzbierała

w niej złość. Jason uśmiechnął się do **swoich myśli**. Cary Adams nie była typem kobiety wampa, ale **za to miała** ciekawą i wyrafinowaną urodę. Jego uwagę **przykuł nie jej** wygląd, jak to zwykle bywa, ale prosta elegancja.

Nie zainteresował się Cary z powodu urody, **życie** bowiem przyzwyczało go i znieczuliło na uroki pięknych kobiet. Zaintrygowała go natomiast jej determinacja, **z jaką** przekonywała go do wywiadu i emanująca z niej **siła charakteru**, kiedy odmówił. Jasona zaciekało również pełne pasji spojrzenie złocistych oczu Cary, gdy mówiła mu, że nie jego jednego opuściła bliska osoba. Ta uwaga, choć nazbyt śmiała, dodała mu wtedy otuchy, zwłaszcza że był o krok pd litowania się nad własnym nieszczęściem. Cary uświadomiła mu, że za wszelką cenę trzeba walczyć z apatią i rozgoryczeniem. To dlatego właśnie po jej wyjściu wyciągnął z biurka akta personalne Cary Adams i zaczął je uważnie studiować. Dowiedział się, że Richard Adams zginał w płomieniach, kiedy ratował z pożaru uwięzione w domu dziecko.

- Tato?

Jason westchnął. Prześliczna pani Adams miała prawo robić mu wiele wyrzutów, ale sama też nie była wolna od wad. Mógł się niemal założyć, że zawiedzie oczekiwania jego córki i nie zgodzi się na wyjazd syna w góry. Cary bowiem nosiła na sobie obronną skorupę niczym pancernik, którego nie da się zaatakować.

- Postaram się, Angelo.

- Och! Dziękuję, tatusiu! - Dziewczynka otoczyła ojca ramionami i pocałowała go radośnie.

- Hej! Uważaj! Siedzę przecież za kierownicą.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Przepraszam, tatusiu.

Jason rzucił córce przelotne spojrzenie. Zauważył, że mała promienieje ze szczęścia. Nigdy dotąd nie widział u niej takiego zadowolenia i podekscytowania.

Zacisnął zęby. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby przekonać panią Adams. W końcu i na pancernika znajdzie się jakaś metoda - pomyślał.

Następnego ranka Cary dowiedziała się, że Jason McCready prosi ją na rozmowę do swojego gabinetu.

Właśnie przeglądała zdjęcia do walentynkowego dodatku „Elegance”, kiedy nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Uniosła głowę i ze zdumieniem stwierdziła, że przygląda się jej June. W jej spojrzeniu widać było zaciekawienie, ale i niepokój.

- Co jest?

- McCready cię wzywa - odparła nerwowo przyjaciółka.

- Co?

- Chce cię widzieć. I to zaraz.

Serce podskoczyło Cary do gardła. Czyżby więc jednak chciał ją zwolnić? Może zdenerwowało go to, że usiadła Jeremy'emu na kolanach? Popadła w rozterkę. Jeśli McCready ją wyrzuci, Danny nie dostanie pod choinkę komputera!

- Jestem z tobą-zapewniła ja ciepło June.

- Dam sobie radę - odparła i zadarła dumnie głowę. Wyprostowała się jak struna i wymaszerowała z pokoju w kierunku wind. Drżącymi palcami nacisnęła guzik piętra, na którym znajdowało się biuro wydawcy.

McCready, pochylony, przeglądał właśnie jakieś dokumenty. Natychmiast jednak podniósł się, gdy zobaczył

w drzwiach Cary. Rzucił jej uważne spojrzenie, podszedł i wyciągnął rękę na powitanie.

- Pani Adams, dziękuję, że zechciała pani tak szybko przyjść.

Cary automatycznie odwzajemniła uścisk dłoni. Kiedy jej dotknął, przeszedł ją dreszcz o niespotykanej sile i zalała ją fala gorąca. Szybko cofnęła rękę.

- Proszę usiąść. - Odsunął krzesło, a sam stanął z tyłu. Wyglądał nienagannie. Jak zwykle. Schłodny i elegancki wygląd był jego prawdziwym atutem. Cary poczuła delikatny zapach wody po goleniu, tej samej co ubiegłego wieczoru. Po krzyżu przebiegł jej dreszcz emocji. Chwyciła gorączkowy oddech. Chciała uciec, ale zatrzymał ją wzrok Jasona McCready, który podszedł do biurka, skrzyżował ręce na piersi i zaczął ją bacznie obserwować.

- Chciałbym prosić panią o pewną przysługę - zaczął. Odetchnęła z ulgą. No więc nie chodzi o wymówienie

- pomyślała. Żaden szef przecież w ten sposób nie zaczyna rozmowy z pracownikiem, którego chce się pozbyć.

- O... o przysługę?

- Tak. Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że ewentualna zgoda lub odmowa nie będzie miała wpływu na pani pozycję w firmie, pani Adams. - Uśmiechnął się. - Czy pamięta pani naszą ostatnią rozmowę w tym gabinecie?

- Owszem. Nawet bardzo dobrze - odpowiedziała chłodno.

- No, cóż. Wtedy wygłosiła pani pod moim adresem dosyć osobistą uwagę. Powiedziała pani mianowicie, że nie jestem jedyną osobą, która kogoś straciła.

Cary poczuła duszności.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Proszę posłuchać - zaczęła, podnosząc się z miejsca. - Jest mi doprawdy przykro. Nie miałam prawa...

- Ale wykorzystała je pani - wszedł jej w słowo. - Zechce pani usiąść, pani Adams? - poprosił stanowczo i usiadł w strategicznym miejscu, na rogu biurka.

Cary uniosła wzrok. Ku swojemu zażenowaniu, stwierdziła, że obecność tego mężczyzny sphywa na nią przyjemnym ciepłem, niczym promienie słońca w upalny dzień. Tak naprawdę jednak nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, jak McCready działa na jej zmysły.

- Panie McCready...

- Skoro pani skomentowała moje życie osobiste, to sądzę, że i ja mam prawo pokusić się o podobnie prywatną uwagę na pani temat. Jest pani wrażliwa, pani Adams. Powiedziałbym nawet, że odrobinę za bardzo. Nie spotkałem dotąd osoby, która broniłaby się tak zaciekle jak pani. Proszę się odprężyć.

Naprawdę jestem bardzo zadowolony z pani pracy, a ponadto podziwiam pani osobowość.

Cary osłupiała z wrażenia, mimo to jednak rzuciła McCready'emu wyzywające spojrzenie.

- No więc... ? - rzekła w końcu.

- Chciałbym wypożyczyć od pani Danny'ego.

- Co?

- Tylko na tydzień. Oczywiście, ma pani prawo odmówić. Ale mogę dać słowo honoru, że dbałbym o niego jak o własnego syna.

- O czym pan w ogóle mówi?

- W przyszłym tygodniu jadę z córką na narty. Po trosze jest to też wyjazd w interesach. Od wczorajszego przyjęcia Angela jest pod olbrzymim wrażeniem Danny'ego.

Cały czas wierci mi dziurę w brzuchu, **żebym zabrał go na narty**. To byłoby dla niego naprawdę **niecodzienne przeżycie** - kontynuował. - Zdaję sobie sprawę **z tego, że nie** darzy mnie pani specjalną sympatią, ale **Angela bardzo** polubiła pani syna. Już dawno nie widziałem, **żeby tak się** czymś ekscytowała jak tym wspólnym wyjazdem w **góry**. Odkąd zmarła jej matka, rzadko ją coś cieszy. **Jeśli pani** myśli, że jestem zgorzkniały i nie potrafię opiekować **się** dziećmi, to...

- Nie, nie! - zaprzeczyła Cary pośpiesznie. - Nie **chodzi** o to. Danny choruje na cukrzycę. Wprawdzie sam sobie robi zastrzyki z insuliny, ale to jeszcze mały chłopiec. Kiedy wciągnie się w zabawę, może zapomnieć o zastrzyku. Chętnie bym go puściła na narty, ale sam pan rozumie, że nie mogę.

Cary uświadomiła sobie, że dotyka McCready'ego. W ferworze rozmowy nakryła jego dłoń swoją, aby nadać słowom większą wiarygodność. Teraz jednak szybko cofnęła rękę.

- Przepraszam... - rzekła nieśmiało.

McCready zaczął się przechadzać po gabinecie. W końcu opadł na krzesło i odruchowo uderzył ołówkiem o bibularz.

- Jeśli naprawdę jest to jedyna przeszkoda, to damy sobie z nią radę.

- Słucham?

- Pani też może jechać.

- Och! Ale ja nie mogę. Naprawdę.

- Dlaczego?

- Mam tu dużo pracy.

- Może pani wziąć ze sobą papiery do New Hampshire.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ale i tak mogę potrzebować pewnych rzeczy na miejscu...
- Są telefony i faksy.
- Proszę wybaczyć...
- Ach! - mruknął. - Jeśli jest pani z kimś związana...
- Nie! Nic podobnego! - zaprotestowała, po chwili jednak wpadła w złość, że obnaża przed McCreadym swoją samotność. - Życie nie jest takie proste, jak się panu wydaje! - zawołała podniesionym głosem. - Pan nie musi się liczyć z realiami. Pan tylko wydaje rozporządzenia i już po wszystkim.

Na twarzy McCready'ego zagościł leniwy, smutny uśmiech.

- Myli się pani, pani Adams. Niestety, żyję w realnym świecie. Kiedyś zaklinałem się przed Bogiem, że zaprzędam wszystko, żeby tylko poczuć jeszcze raz oddech Sary, usłyszeć jej głos. Wszystko na nic. Aż zanadto jestem świadom tego, że nie wszystko układa się po mojej myśli.

^Dźwignąłem się jakoś, ale zrobiłem to wyłącznie z powodu córki. To dla niej odbudowałem „Elegance”. Myślę, że w mojej propozycji wspólnego wyjazdu w góry nie ma nic złego. Proszę panią jedynie o to, żeby pojechała pani na tygodniowy urlop z synem. Tym samym mogłaby pani odpocząć od tutejszych codziennych obowiązków.

Cary straciła głowę. Sama nie wiedziała, co ją tak rozprasza i denerwuje.

- Proszę mi wybaczyć - rzekła i pośpiesznie wymaszerowała z gabinetu McCready'ego.

Na dole czekała na nią zaaferowana June. Cary jednak nie była w stanie teraz z nią rozmawiać. Minęła ją jak

261

burza, rzucając jedynie spojrzenie, które **miało znaczyć**, że wszystko wyjaśni później.

- Wylał cię? - zawołała za nią June.

- Nie! - krzyknęła Cary i zatrzasnęła za **sobą drzwi**. Oparła się o nie i spojrzała na dłonie. Drżały.

Właściwie nie było nic złego w propozycji McCready'ego. Cary powinna była wyrazić mu swą wdzięczność i jechać. Narty w New Hampshire. Byłoby jak w bajce. Gruba pokrywa śniegu, a wśród niego samotna góraska chatka.

Zamknęła oczy.

Wiedziała, dlaczego się nie zgodziła. Nie chciała być w tak wspaniałym miejscu z mężczyzną. I to na dodatek z Jasonem McCready. Zbyt ją pociągał. Wołała, gdy zwracał się do niej w bardziej oficjalnych sprawach, a tym samym zachowywał służbowy dystans. Tym niemniej coraz śmielej dochodziła do niej myśl, że Jason McCready interesuje ją jako mężczyzna.

Zadzwoił telefon. Cary podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

- Cary Adams. Słucham.

- Proszę! - głos w słuchawce był niski, dźwięczny i potężny. Była tak zaskoczona, że aż uśmiechnęła się do siebie.

- To niemożliwe. Jestem pewna, że i tak o tej porze roku w New Hampshire jest tłoczno. Na pewno nie znajdę wolnego pokoju.

- Owszem.

- To nie będzie takie łatwe.

- Będzie. -Ale...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Pani Adams - szepnął ze znużeniem McCready - ja mam tam dom.

- Och!

- No więc?

- Ja... - zawahała się. Wszystko jednak przemawiało za tym, żeby się zgodziła. Danny byłby zachwycony. Angela pewnie też. Na pozór nie było powodu, żeby odmawiać, a jednak... Przyczyną wątpliwości Cary był McCready we własnej osobie. Wprawdzie nie podrywał jej, ale...

- Pani Adams?

- Dobrze. Dobrze. Pojedziemy.

- Przyjadę po was w niedzielę rano. O dziewiątej, zgoda?

- Zgoda - odparła. - Niedziela rano.

Odłożyła słuchawkę i z przerażeniem zaczęła myśleć, co też najlepszego zrobiła.

Nadeszła pora wyjazdu. Cary z niepokojem śledziła wskazówki zegara. Zastanawiała się, czym McCready zajędzie pod jej dom. Limuzyną? Może mercedesem? Nie. Na pewno rolls roycem. Czy będzie sam, czy w towarzystwie?

- Dobrze się czujesz, mamusiu?

Cary wyglądała przez okno i gdyby nie rękawiczki, na pewno obgryzłaby do krwi paznokcie.

Kochany Danny! Dla niego nie było nic dziwnego w tym, że szef zaprasza swoją pracownicę na wspólny urlop. Wtem uświadomiła sobie, że tak naprawdę to tylko ona miała obiekcje co do wyjazdu.

Nawet June była zachwycona tą propozycją i nie widziała w niej nic nieprzyzwoitego.

Milowymi krokami zbliżała się godzina dziewiąta. Cary

zaczęła się denerwować. Może to i prawda, że McCready zaprosił ją tylko z powodu Danny'ego. Ale z drugiej strony czuła, że jego propozycja nie do końca była niewinna.

Oparła czoło o szybę, żeby je trochę ostudzić. Czuła takie podniecenie, że aż skręcało ją w brzuchu. Wtem pod dom zajechał potężny jeep. Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Za kierownicą wozu siedział Jason McCready. Miał na sobie błękitne dżinsy i skórzaną kurtkę. Mimo mrozu nie nosił czapki. Podniósł wzrok, próbując wypatrzeć Cary w oknie. Wiatr targał mu włosy i zwiewał je na czoło. Dostrzegła w jego oczach osobliwy błysk. Wiedzioną instynktem, zapragnęła natychmiast odwołać wspólny wyjazd. Na to jednak było już za późno. McCready zdążył wypatrzeć ją w oknie. Uśmiechnął się i pomachał jej. Serce Cary gwałtownie podskoczyło do gardła. Wreszcie przyznała się przed samą sobą, że jej szef jest niezwykle przystojnym mężczyzną.

- Już jest! - wrzasnął Danny z zachwytem.

- Tak, tak. Bierz swój worek, Danny, i nie krzycz tak głośno, bo zwariujemy już pierwszego dnia. Chłopiec najwyraźniej nie przejął się tą uwagą. Rzucił jedynie matce zmieszany uśmiech. Jego oczy pałały niewy-słowioną radością. Chwycił worek i popędził do wyjścia. Nie zdążył jednak przestąpić progu, bowiem wyprzedził go McCready.

- - No, cóż. Wstąpiłem, żeby się upewnić, czy jesteście już gotowi, ale wygląda na to, że tak.

- Tak jest, proszę pana! Dziękuję, proszę pana! Jesteśmy gotowi. Tak się cieszę. Po prostu umieram z radości. Czy już panu podziękowałem?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Jasona rozbawił potok słów chłopca.

- Tak. Już mi podziękowałeś. Ja zaś dziękuję wam, że zdecydowaliście się jechać. Angela też bardzo się cieszy. Czeka w samochodzie. Biegnij do niej, a ja pomogę twojej mamie nieść bagaż.

Nie oglądając się, Danny zbiegł na dół. Cary została sam na sam z Jasonem. Zwilżyła językiem zaschnięte ze zdenerwowania usta. Odniosła wrażenie, że stoi tak już od wieków i poddaje się hipnotycznemu działaniu bacznego spojrzenia tego mężczyzny. Mimo iż na dworze było zimno, czuła, że jej ciało trawi gorączka.

- To pani jedyny bagaż? - zapytał, wskazując na torbę.

- Słucham? O, tak. Mam tylko to - bąknęła.

Jason chwycił torbę i dyskretnie przyjrzał się mieszkaniu.

Cary uwielbiała starocie, które współgrały z architekturą dwupiętrowego ceglanego budynku z początków osiemnastego wieku.

Salon łączył w sobie akcenty z epoki króla Edwarda i królowej Wiktorii, jak i bardziej nowoczesne elementy. Pleciony dywanik przed kominkiem, wysoka, stara sofa, pokryta owczą skórą i miedziane garnuszki oraz inne bibeloty, porozstawiane niemal na każdym meblu - wszystko to tworzyło niepowtarzalny klimat. W oknach wisiały bia-łp-błękitne zasłony w holenderskie wzory. Jason uznał, że ten wystrój nie jest ostatnim krzykiem mody, ale za to czyni pomieszczenie przytulnym i gościnnym. Nie przyznał się jednak na głos do swych spostrzeżeń.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak.

265

- Zapewniam, że nie jedzie pani **do jaskini lwa**.

Cary uniosła brew i zamarła w bezruchu. **McCready** coraz szerzej się do niej uśmiechał. Nie **dał po sobie poznać**, że widzi, jak jest zdenerwowana.

W milczeniu pośpieszyła do drzwi. Nie **zauważyła nawet**, że w przejściu otarła się o Jasona, on zaś **zaciągnął się** zapachem jej włosów i subtelną wonią perfum.

Doszła do wniosku, że w sumie nie miałyby **nic przeciwko** randkom z tak przystojnym mężczyzną jak **Jason** McCready. On przynajmniej na pewno nie podciąga **spodni** aż pod sam nos - pomyślała, a po chwili skarciła siebie **za** niedorzeczne myśli. To przecież nie miało nic wspólnego z wyglądem. A trzeba było przyznać, że Jason McCready miał się pod tym względem czym pochwalić. Cary doszła jednak do wniosku, że o jego uroku decydował nie sam wygląd, a magnetyczne spojrzenie, głęboki głos i wyjątkowy uśmiech...

Wtem uświadomiła sobie, że jedzie na urlop jako opiekunka syna. I nikt więcej. Z rozpalonymi policzkami popędziła w dół po schodach. Zanim doszła do samochodu, zdążyła się już wziąć w garść i uspokoić.

Dzieci usadowiły się na tylnym siedzeniu i wesoło do siebie szczebiotały. Kiedy Jason układał torby w bagażniku, Angela wyskoczyła z samochodu i przytuliła się do Cary.

- Dziękuję pani! Tatuś mówił, że chyba nie zgodzi się pani puścić Danny'ego w góry. Ale ja wiedziałam, że tak nie będzie. Tak się cieszę, że pani z nami jedzie.

- Dziękuję - rzuciła Cary pod nosem. Jason podszedł i otworzył jej drzwi. Posłała mu pytające spojrzenie, on **zaś**

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jedynie wzruszył ramionami. Cary nie zdawała sobie nawet sprawy, ile McCready o niej wiedział. Począł, aż usadowił się w fotelu, po czym zamknął za nią drzwi, obszedł samochód i wsunął się za kierownicę. Pomiedzy przednimi siedzeniami leżał elektryczny koc. Dostrzegłszy zdziwienie Cary, Jason uśmiechnął się do niej.

- Czeka nas długa podróż. Prawie trzy godziny. Wzięłem ten koc na wypadek, gdyby zrobiło się pani zimno.

- Dziękuję za troskę.

Tego dnia na drogach nie było tłoczno. Nawet w samym Bostonie panował niewielki ruch. Podczas podróży dzieci rozmawiały ze sobą, a Jason w skupieniu prowadził wóz.

- Pani jeździ na nartach?-zapytał Cary, ona zaś pokręciła przecząco głową. - To nic. Nauczymy panią.

- Czyżby? - mruknęła. - Nie musi mnie pan zabawiać. Nagle podskoczyła jak na rozżarzonych węglach. Jason

położył dłoń na zagłówku jej siedzenia i przesunął od nie-sjchcienia palcami po szyi kobiety.

- Proszę się odprężyć. Jedziemy w miejsce, gdzie wszyscy narciarze stawiają swoje pierwsze kroki na deskach. Pani i Danny jesteście naszymi gośćmi i bardzo mi zależy, żebyście się dobrze bawili.

Cary poczuła, że do oczu cisną się jej łzy. W przyływie czułości zapragnęła przytulić się do tego silnego mężczyzny i położyć mu głowę na ramieniu! Wówczas dopiero w pełni mogłaby się odprężyć i poddać obezwładniającemu dotykowi jego palców.

Jason jednak cofnął rękę. Cary zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się.

267

- Dziękuję panu, panie McCready.

- Tato ma na imię Jason - odezwała się **niespodziewanie** Angela.

- Tak. Wiem - odparła Cary.

- A mama ma na imię Cary - zawtórował **Danny**. Jason wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i **spojrzał**

na chłopca we wstecznym lusterku.

- Wiem, synu, ale dziękuję za przypomnienie.

- No więc jeśli obydwójecie wiecie, jak macie na **imię**, - kontynuowała Angela - to dlaczego cały czas zwracacie się do siebie po nazwisku?

Z uśmiechem na twarzy Cary odwróciła się do dzieci.

- Ten pan jest moim szefem - wyjaśniła dziewczynce.

- A ta pani jest moja pracownicą - dodał Jason.

- Ale to nie zmienia waszych imion, prawda? - zapytał Danny z niewinnym uśmiechem.

- Nie - odpowiedział Jason, po czym spojrział ukradkiem na Cary. - Ostatecznie mogę mówić ci Cary, jeśli zechcesz zwracać się do mnie per ty.

- Chętnie. Tak będzie łatwiej. Jason. To tylko dwie sylaby.

Jeep pędził po autostradzie. Cary uświadomiła sobie, że tak naprawdę zna Jasona McCready już około trzech lat. Aż tu nagle, w ciągu niespełna kwadransu, zaczęła mu mówić po imieniu. Do tego jeszcze było jej gorąco. Za gorąco jak . na tak mroźny zimowy dzień.

ROZDZIAŁ TRZECI

Górska posiadłość Jasona wzbudziła zachwyt Cary.

Z zewnątrz dom przypominał alpejską chatkę. Był cały z drewna i miał pięknie rzeźbione narożniki.

W największym pokoju na pierwszy plan wybijał się kominek z drewna i kamienia, udekorowany paczuszkami z gwiazdkowymi prezentami. Wokół stały: miękka skórzana kanapa, fotele i krzesła.

Popołudniami podawano tu gorące i chłodne napoje, w tym grzane wino z korzeniami i kawę dla dorosłych oraz gorącą czekoladę z bitą śmietaną dla dzieci.

Jason wskazał palcem na kilkumetrową choinkę w holu, którą właśnie wniósł pewien młody i miły blondyn. Cary pomyślała, że chłopak na pewno lubi swojego szefa. Najwyraźniej zależało mu na tym, żeby przypodobać się gospodarzowi.

- Widzę, że pan przyjechał. Mam nadzieję, że po drodze nie mieliście państwo kłopotów. Zatrzymała was zła pogoda?

Jason pokręcił przecząco głową i zdjął rękawiczki.

- Nie, Randy. Mieliśmy doskonałą podróż. Po drodze wyskoczyliśmy nad Basin - wyjaśnił i uśmiechnął się do Cary. Rzeczywiście, w porze lunchu zatrzymali się w tym miejscu i zjedli pizzę. Basin leżał tuż obok Franconia's

Notch, malowniczego miasteczka, **położonego w pobliżu** huczących wodospadów i strumieni **przedzierających się** przez skały i lodowe jezory. Cary uznała, **że jest to jeden** z najpiękniejszych zakątków, jakie kiedykolwiek **widziała**. Bystra woda w strumykach, ośnieżone, **urwiste brzegi**... Zresztą, miejsce to musiało wyglądać **tak samo urokliwie** o każdej porze roku.

Z całą pewnością ten górzysty teren wart był **odwiedzin**, zwłaszcza w towarzystwie Jasona McCready. W **obawie**, żeby się nie pośliznęła, chwycił Cary mocno pod **ramię**, dzieci zaś pognały przodem. Jason w milczeniu przyglądał się swojej towarzyszce i wydawało się, że zgaduje jej **myśli**.
- Latem wszystko tu pławi się w soczystej zieleni -mówił. - Rośnie wredy mnóstwo dzikiego kwiecia. Jesienią jest olśniewająca feeria barw. Zimą, jak sama widzisz, mamy tu kryształowy pałac z lodu. Wiosną wezbrane strumienie płyną bystro, szumiąc crescendo, a kwiaty rozkwitają, zapraszając do siebie ptaki... - zawiesił głos i wzruszył ramionami. Obydwoje stali nieruchomo i patrzyli na siebie. Cary nigdy nie myślała, że Jason McCready może być aż tak romantyczny. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że w tak poetycki sposób potrafi opowiadać o przyrodzie.
- Jest pięknie. Po prostu uroczo - szepnęła i szybko dodała: - Jestem ci wdzięczna, że zatrzymałeś się w tym miejscu specjalnie dla mnie... i dla Danny'ego, oczywiście.
- Cała przyjemność po mojej stronie, pani... **Cary** -poprawił się pośpiesznie, po czym odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Cary zastanawiała się, czy często przyjeżdżał tutaj z Sarą, i czy to miejsce obudziło w nim teraz wspomnienia.

Kiedy ponownie wsiedli do samochodu, Jason milczał. Na jego twarzy malowało się napięcie. Angela wyprosiła, żeby puścił kasetę z kolędami. Jason pochwycił spojrzenie Cary i spróbował się uśmiechnąć. Spełnił prośbę córki, ale nie przyłączył się do chóralnego śpiewu.

Teraz jednak, kiedy wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia, był już o wiele bardziej odprężony i przyjacielski. Odwrócił się, złapał Cary za rękę i poprowadził ją do sympatycznego blondyna.

- Randy, to jest jedna z moich najlepszych dziennikarek, Cary Adams. Cary, pozwól, że ci przedstawię Randy'ego Skylara. A to jest syn Cary, Danny.

Randy uścisnął dłoń kobiety i uśmiechnął się szeroko.

- Cudownie, że pani przyjechała, pani Adams - rzekł, po czym przeniósł wzrok na swojego szefa. - Tak jak pan prosił, przygotowałem dla państwa apartamenty w tyle domu. Czy chciałby pan, żebym teraz coś podał?

- Nie, dziękuję. Niestety, zaraz muszę jechać na spotkanie z personelem działu sprzedaży - odparł Jason. - Ale może Cary i Danny mają na coś ochotę?

Cary już zaczęła zaprzeczać ruchem głowy, gdy wtem pomyślała o dzieciach.

- Angelo, może pójdziesz z nami do naszego pokoju, a Randy poda nam wszystkim gorącą czekoladę, co? Poczekamy tam, aż wróci tatuś.

- Pewnie. Mogę, tato? - zapytała nieśmiało Angela.

- No, cóż. Może najpierw państwo Adams rozpakują -t bagaże - zaproponował Jason.

271

- Nie ma problemu. Naprawdę - **przerwała mu Cary.** - Nie jestem zmęczona. Powrzuć **rzeczy do szuflad** zabierze mi najwyżej kilka minut.

Jason wzruszył ramionami.

- W takim razie spotkamy się na kolacji - **odparł i wyszedł.**

Randy zaprowadził pozostałą trójkę do pokoi **gościnnych.** Weszli do obszernego, a jednocześnie przytulnego pokoju z osobnym kominkiem i granitową ścianą. Na dywanie w odcieniu malinowym stała biała skórzana sofa, a za zaokrąglonym barkiem z sosnowego drewna znajdowała się w pełni wyposażona kuchnia. Do głównego pokoju prowadziło dwoje drzwi. Cary spojrzała na Randy'ego, po czym przespacerowała się po pokojui podeszła do pierwszych drzwi. Otworzyła je i zobaczyła sypialnię z wielkim, królewskim łóżem, przykrytym grubą kołdrą, ^awet tam był kominek, obok którego stała wyłożona kafelkami wanna typu jacuzzi.

Cary zamknęła drzwi i pośpieszyła do drugiego pomieszczenia, mniejszego, bez wanny, ale tak samo przytulnego i gustownie urządzonego. Pomyślała, że wystrój wnętrza jest bardzo rodzinny. Apartament stanowił romantyczną przystań dla dorosłych i wspaniałą frajdę dla dzieci. Cary zastanawiała się, czy Jason sam zaprojektował te wszystkie pokoje. W końcu był właścicielem domu.

Na koniec wróciła do głównego pokoju i pewnie zniar-szczyła brwi, bo Randy zapytał pośpiesznie:

- Czy coś nie tak?

- Nie, nie. Tu jest tak... - urwała w pół zdania, dostrzegłszy, że Angela przygląda się jej z zaciekawieniem. Tu jest **tak**

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pięknie! - chciała krzyknąć, ale wtem naszła ją myśl, że tak naprawdę to nie ją zaprosił tu Jason, a Danny'ego. - Mam wrażenie, że zajmiemy za dużo miejsca - stwierdziła.

- Ależ skąd! - zapewniła ją Angela. - Mamy tu jeszcze dwa takie apartamenty. My z tatusiem będziemy obok, za tymi drzwiami. Tato nigdy nie wynajmuje tych pokoi turystom. Nigdy. Są przeznaczone tylko dla jego gości. Naprawdę. Mam nadzieję, że podoba się tu pani.

- Bardzo - przyznała Cary, w której nieoczekiwanie zaczęło narastać osobliwe odczucie. Poczula się jak... przysła gospodyni tego domu.

- Proszę za mną, pani Adams - odezwał się Randy. - Nie widziała pani nawet połowy domu! Poprowadził ją przez główny pokój i popchnął francuskie drzwi. Nad głową Cary ukazał się szklany sufit, w dole zaś, za szybą, spowity w ciepłych oparach kryty basen. Z bulgoczącego whirlpoola woda wylewała się kaskadami wprost do właściwego basenu.

Za szybą rysowały się sylwety ośnieżonych górskich stoków. Ten widok zaparł Cary dech w piersi. Nagle doszedł ją czyjś przytłumiony śmiech. Spojrzała przez gęstą mgłę i zobaczyła bawiące się obok basenu dzieci. Tuż przy nich jakaś zakochana para - pewnie ich rodzice - śmiała się do siebie radośnie. Mężczyzna siedział w wodzie, a kobieta przeciągała się na brzegu basenu.

Ten sielankowy obrazek ścisnął Cary za gardło. Kiedyś i ona tak żyła. Wystarczyłoby, żeby zamknęła oczy, a przypomniałaby sobie wakacje z Richardem i Dannym, kiedy to zostawiali za sobą wszystkie troski dnia codziennego i wyjeżdżali w siną dal.

- Podano gorącą czekoladę! - oznajmił Randy. Cary odwróciła się. Młody człowiek pchał przed **sobą wózek**, na którym stał srebrny dzbanek z apetycznie dymiącym **gorącym** napojem i talerz z ciastkami.

- To się nazywa życie! - zawołał wesoło Danny, ale szybko popatrzył na matkę, która z uwagi na jego chorobę przestrzegała go zwykle przed słodkim obżarstwem. - **Mogę** zjeść ciastko?

- Oczywiście. Nawet kilka - zapewniła go z uśmiechem. Jednocześnie pomyślała, że gdy tylko zostaną sami, zmierzy synowi poziom cukru we krwi i poda insulinę. Cary miała specjalny przyrząd do tego pomiaru. Wiedziała też, że Danny przyzwyczał się już do zastrzyków trzy razy dziennie. Mimo młodego wieku umiał już nawet sam je sobie aplikować. Cary była z tego dumna, ale mimo wszystko wolała sama dopilnować, żeby wszystko przebiegało, jak należy.

Uśmiechnęła się do dzieci. Zauważyła, że Danny nadal bacznie ją obserwuje.

- No, dalej. Łapcie ciastka i do pokojów. Popływamy, weźmiemy prysznic, a później przeberzemy się do kolacji. Do tego czasu pewnie przyjedzie twój tato, Angelo.

- O, tak - rzekła dziewczynka. - Tato nigdy się nie spóźnia i nigdy nie kłamie.

- To mu się chwali - bąknęła pod nosem Cary, uśmiechnęła się do dzieci, Randy'ego i pokojówki i zniknęła za drzwiami głównej sypialni. Pomyślała sobie przy tym, że jej syn miał rację. To się nazywa życie!

Wyciągnęła się na łóżku i zamknęła oczy. Jak cudownie byłoby, gdyby mogła się znaleźć w takim jak to miejscu z Richardem. Wyobraziła sobie basen i ośnieżone szczyty

GWIAZDKA MIŁOŚCI

gór za oknem, ogień trzaskający w kominku i siebie, opartą czule o ramię przystojnego bruneta. Wtem aż podskoczyła z wrażenia. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Uświadomiła sobie, że mężczyzna, którego sobie przed chwilą wyobraziła, nie był Richardem. Wszak jej mąż był blondynem. Podobnie jak Danny. Ów brunet był kimś innym. Był Jasonem McCready. Cary jęknęła i ukryła głowę w poduszce. Leżała tak, dopóki nie przyszedł Danny i oświadczył, że przyniesiono ich bagaż. Teraz mogli już przebrać się w stroje kąpielowe i zejść na dół, żeby popływać w basenie.

Po kąpieli Angela poszła do apartamentu, który dzieliła z ojcem. Przebrała się i godzinę później zapukała do sąsiednich drzwi. Cary wpuściła ją natychmiast.

- Czy ktoś już ci powiedział, że jesteś prześliczna, panno McCready? - zapytała z uśmiechem.

Angela oblała się rumieńcem, tak intensywnym jak jej purpurowa sukienka z aksamitu. -% -

Naprawdę tak pani sądzi?

- Naprawdę.

- Pani też jest bardzo piękna.

- Dziękuję ci za komplement.

- To samo powiedziałam tatusiowi.

- Och! - szepnęła Cary.

- Rzeczywiście tak powiedziała, ale zupełnie niepotrzebnie - nad ramieniem dziewczynki zabrzmiał donośny głos Jasona. - Sam wiem, że jesteś piękna - dodał.

McCready był świeżo ogolony. Jego włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć po kąpieli pod prysznicem.

W czarnej marynarce i czerwonej kamizelce wyglądał bardzo atra-

kcyjnie. A ona? Nie wiedziała, jak ma się ubrać na kolację. W końcu włożyła delikatną białą sukienkę z dzianiny, która opinała jej zgrabne ciało. Dół sukienki rozszerzał się tuż poniżej kolan. Cary miała nadzieję, że ubrała się odpowiednio, niezależnie od tego, czy posiłek będzie bardzo uroczysty, czy też zupełnie zwykły.

Uwaga Jasona sprawiła, że oblała się teraz rumieńcem, podobnym do tego, jaki malował się na twarzyczce Angeli. Różnica między nimi polegała jednak na tym, że Cary nie była niewinnym dzieckiem tak jak córeczka McCready'ego. Lata doświadczeń z mężczyznami kazały jej teraz trzymać fason.

- Dziękuję. Mogę się odwzajemnić podobnym komplementem?

- Uważa pani, że tatuś jest piękny? - zapytała Angela z chichotem.

- Anie?

- O, tak!-Odparła dziewczynka ze śmiertelną powagą. - Tatuś jest przystojny. Bardzo, bardzo przystojny.

Wysoki, przystojny brunet! - podpowiedział Cary wewnętrzny głos. Taki sam, jakiego wywróżyła jej June i Jeremy.

Mamy zarezerwowane miejsca w jednej z restauracji. Tam, aa stoku - powiedział Jason. - Nie dlatego, że jest jakaś wyjątkowa. Pomyślałem sobie, że w tygodniu może być pełnia, więc należy wykorzystać ją teraz, gdy jeszcze nie ma ruchu. Nie masz nic przeciwko?

- Oczywiście, że nie. Bardzo miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś - odparła Cary. - Ale naprawdę nie musisz się nami zajmować.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Wiem, pani Adams. Wiem, że nie muszę. Ja po prostu chcę się wami zajmować. Zrozumiano? - Uśmiechnął się szczerze i otwarcie. Od tego uśmiechu zrobiło się cieplej. Nawet świeczka zamigotała i zatańczyła jasnym płomykiem.

Cary uprzejmie przytaknęła w milczeniu.

Kolacja była wyśmienita. Sama restauracja też. Na ścianach, które wyglądem przypominały ściany wiejskiej chaty, wisiały wypchane głowy jeleni i łosi. Cary zjadła befsztyk z doskonałą sałatką i oddała się rozmowie z Jasonem. Okazało się, że dyskusja z nim może być łatwa i naturalna. Była zaskoczona, jak wiele tematów McCready poruszył w ciągu tego jednego wieczoru. Mówił o poziomie nauczycieli szkół średnich, sytuacji na Bliskim Wschodzie i mnóstwie innych rzeczy. Cała trójka, włącznie z Dannym i An-gelą, zanosiła się śmiechem, kiedy wyjaśniał, jak należy pluć na piłkę baseballową, żeby leciała po łuku. Angela uświetniła kolację piosenkami, od wykonania których uszy wędły nawet wypchanym zwierzętom.

Kiedy wychodzili z restauracji, na dworze panował mrok. Ledwo weszli do samochodu, a dzieci już zasnęły, opierając się jedno o drugie. Widząc to, Jason umilkł. Cary też czuła, że kleją jej się oczy.

Rozbudził ją łagodny głos mężczyzny.

- Chcę ci podziękować za to, że tu przyjechaliście.

- To ja powinnam dziękować. Apartament jest cudowny. Zbyt piękny jak dla nas. Podejrzewam, że czułabym się swobodniej w jakimś mniejszym pomieszczeniu.

- Pani Adams - powiedział z uśmiechem - pani zasługuje na ten apartament.

- No, cóż. Dziękuję za wyróżnienie - **odparła szeptem.**

Jason zamilkł. Samochód gładko **mknął drogą, a Cary** coraz bardziej chciało się spać. W końcu **na dobre zamknęła** oczy. McCready niemal podskoczył z **wrażenia, kiedy jej** głowa osunęła mu się na ramię. Zdołał jednak **zachować** spokój. Słodki zapach włosów Cary drażnił **mu nozdra,** więc na moment wstrzymał oddech.

Odezwała się w nim stara boleść. Minęło już **tyle** czasu, odkąd... Sara tak samo przy nim zasypiała. Od jej śmierci Jason zaledwie kilka razy pozwolił sobie **na** towarzyskie spotkania z kobietami. A i tak zachowywał **wobec** nich dystans i prawie nigdy nie spotykał się dwa razy z tą samą osobą. Wprawdzie prasa brukowa donosiła, że Jason McCready stanowi dobrą partię, ale on sam w głębi serca nie wierzył, iż byłby w stanie zainteresować się poważniej jakąś kobietą. Tak naprawdę nie umiałby już flirtować i umawiać się na randki. Dziwne to, zważywszy fakt, że oto na jego ramieniu spał nie kto inny, jak właśnie kobieta...

Jason szybko sobie wyjaśnił, że tylko Cary Adams miała prawo do takiego spoufalenia. Sam nie wiedział, dlaczego akurat ona. Wiedział tylko, że był jej wdzięczny z powodu Angeli. Podziękował jej za radość córki, ale też i swoją. Minęły lata, odkąd śmiał się tak jak tego wieczoru i odkąd miał ochotę oglądać kogo innego niż córkę.

Włosy Cary połaskotały go w brodę. Miękkie i puszyste, ciepłej kasztanowej barwy, były niczym jedwab dla ciała. Jason zacisnął palce na kierownicy i westchnął głęboko, bowiem nagle poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Nie przypominał sobie, żeby jakkolwiek inna **kobieta** poza Sarą wzbudzała w nim podobne odczucia.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

W końcu doszedł do wniosku, że Cary Adams i tak na pewno by go nie zechciała.

Wtem kobieta zamruczała słodko przez sen i wtuliła się w niego głębiej, przybierając wygodniejszą pozycję. Nieświadomie położyła na ramieniu Jasona dłoń, która wkrótce bezwładnie opadła mu na udo.

W reakcji na to mocniej zacisnął zęby.

Cary obudziła się, gdy tylko samochód zahamował. Niemalże w tej samej chwili wyprostowała się jak struna, zastanawiając się, w jakiej pozycji zasnęła. Nie wiedziała, czy ma przeproszać Jasona za swoje zachowanie, bowiem ten już zdążył wysiąść z samochodu.

- Dojechaliśmy - powiedział uprzejmie.

- Tak. Wezmę Danny'ego na ręce.

- Ja go wezmę. Ty weź Angelę, jest o wiele lżejsza. Mam nadzieję, że ją udźwigniesz.

- Naturalnie, że tak.

- Chciałem przez to powiedzieć, że sama na pewno jesteś zmęczona - sprostował. - Do diabła! Ty przecież Wcale nie jesteś wiele większa niż te dzieciaki.

- Dam sobie radę - podkreśliła Cary z poirytowaniem.

- Oczywiście, oczywiście - odparł i chwycił na ręce Danny'ego. Cary nachyliła się do Angeli i już miała ją dźwignąć, kiedy usłyszała słowa Jasona: - Czy mówiłem ci już, że czasami przypominasz mi pancernika?

Cary wsunęła dłonie pod plecy dziewczynki, uniosła ją i odwróciła się gwałtownie.

- Co za wyśmienite porównanie! Bardzo dziękuję, panie McCready.

- Nie powiedziałem, że pani wygląda jak pancernik,

pani Adams. Jest pani piękną kobietą i na pewno jest pani tego świadoma. Jestem pewien, że mimo iż minęło już sporo czasu, odkąd mówił to pani mąż, inni mężczyźni z pewnością nie szczędzą pani komplementów. **A** może i nie? Nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że mężczyźni nie potrafią do pani dotrzeć z powodu tego ochronnego pancerzyka.

- Jeszcze raz dziękuję. Pięknie mnie pan podsumował, panie McCready. Niech pan raczej zechce oceniać wszystkie te kobiety, z którymi umawia się pan na randki. A mnie proszę zostawić w spokoju

- rzuciła dumnie i popędziła do drzwi. Jason jednak kroczył tuż za nią.

- Kobiety, z którymi umawiam się na randki? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Ach! Tak. Dzisiaj mamy wtorek, w takim razie musi być jakiś rudzielec - przedrzeźniała Cary.

- Nie wiedziałem, że tak bardzo interesuje cię moje życie intymne.

Cary nie umiała zgrabnie odpowiedzieć na tę uwagę. Drzwi otworzył im Randy Skylar.

- Ja ją wezmę - zwrócił się do Cary, odbierając jej z rąk Angelę. Podążyła na górę za mężczyznami, siląc się na uśmiech, kiedy Randy zapytał ją, jak wypadła kolacja.

Jason szybko położył Danny'ego do łóżka. Randy z An-gelą na rękach poszedł w kierunku apartamentu McCready'ego. Cary została sam na sam z Jasonem. - - Życzę pani dobrej nocy, pani Adams.

- Dobranoc - mruknęła. - Dziękuję za kolację. Była doskonała.

- O, tak - odparł z leniwym uśmiechem i minął Cary,

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ocierając się o nią nieznacznie. Poczuła, jak jej ciało rozgrzewa się, dokładnie po tej stronie, po której dotknął go Jason.

Cary nakryła Danny'ego kołdrą, przebrała się w wygodną flanelową koszulę nocną i położyła do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć. Naciągnęła na głowę poduszkę, zacisnęła zęby i czyniła wszelkie wysiłki, żeby poczuć senność. Wciąż czuła ciepło dotyku Jasona. Zastanawiała się, jak spała w samochodzie.

Nazajutrz rano znalazła zatkniętą w drzwiach karteczkę. Od razu rozpoznała szerokie, duże i czytelne pismo Jasona, które świadczyło, jaką ma siłę i władzę. Wiadomość była krótka i uprzejma. McCready informował, że cały dzień będzie zajęty, ale prosi ją, żeby zostawiła dzieci pod opieką służby tak, żeby nie czuła, iż tylko dla nich tu jest. Jason zaznaczył, że dla dzieci zaplanowane są filmy, pierwsze lekcje jazdy na nartach i inne atrakcje.

Cary nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać z dziećmi ale miała też do napisania pilny artykuł dla „Elegance”. W końcu postanowiła zjeść z dziećmi śniadanie, potem popracować, a następnie odwiedzić je na stoku.

Dzień przebiegał zgodnie z jej planami. Po śniadaniu dzieci poszły oglądać kreskówki, a Cary zasiadła przed kominkiem w swoim apartamencie i zaczęła pracę. Zastanawiała się, czy zdoła się skoncentrować, ale ku własnemu zdziwieniu odkryła, że przytulne ciepło i spokój doskonale wpływają na jej inwencję. Nie oderwała nosa od artykułu aż do drugiej po południu.

Wówczas to przebrała się w kostium narciarski własnego pomysłu, a więc wełniany sweter, spodnie i wiatrówkę,

po czym poszła szukać dzieci, które akurat kończyły lunch i bardzo się ucieszyły na wieść o nartach. - Ja nie umiem jeździć, więc muszę się uczyć z wami na małej górze. No, chyba że ty już jeździsz, Angelo.

Jeździła. I to doskonale. Całe popołudnie spędziła z Dan-nym i Cary na stoku, występując w roli instruktora. Kiedy jej uczniowie tracili równowagę, śmiała się perliście i przyjacielsko. Na początku Cary nie mogła sobie dać rady z ciężkimi butami narciarskimi i nartami i nie potrafiła wcielić w życie uwag Angeli na temat techniki zjeżdżania. Pod wieczór jednak była już zachwycona. O własnych siłach pokonała stok!

Mimo wspaniałej zabawy Cary musiała przyznać, że zmarzła. Postanowili więc wracać. W domu dzieci szybko spałaszowały gorącą czekoladę, a Cary wypila kubek pysznej kawy po irlandzku.

Narciarze zdecydowali, że będą jeść kolację w apartamencie. Dzieci nie zdążyły jeszcze skończyć deseru, kiedy zaczęły ziewać. Angela wymknęła się przez sąsiednie drzwi do swojego pokoju. Po chwili wahania Cary postanowiła pójść za dziewczynką i pomóc jej się rozebrać.

Widać było, że Jason McCready nigdy i nikomu nie wynajmował swoich pokoi. O ile apartament Cary był doprawdy przytulny, to ten był jeszcze bardziej rodzinny. Na ścianach wisiały piękne grafiki gór. Kształtne dębowe biurko pokrywał stos gazet, a na stolyczku do kawy, obok sofy, leżało kilka numerów „Elegance” i innych magazynów. Nad stołem wisiała rodzinna fotografia McCreadych, a na niej Jason z dwiema ukochanymi kobietami, żoną i córką. Obydwie były blondynkami i miały coś anielskiego w spojrzeniu błękitnych oczu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Gary niespodziewanie odniosła wrażenie, że jest intruzem w tej prywatnej, rodzinnej świątyni, więc pośpieszyła do drzwi, prowadzących do sypialni Angeli.

- Angela?

- Cary? Proszę.

Dziewczynka miała już na sobie flanelową koszulę nocną i rozpuszczone włosy. Patrząc na nią, kobieta poczuła przedziwny przypływ nieomalże matczynych uczuć!

- Przyszłam utulić cię do snu i życzyć dobrej nocy. Angela szeroko otworzyła oczy.

- Ach... Dziękuję pani.

Cary ukołysała ją do snu i pocałowała w czoło. Potem wróciła do siebie, położyła spać Danny'ego i sama przebrała się do snu. Niestety, znowu, mimo zmęczenia, nie mogła zasnąć. Wstała z łóżka, zaparzyła sobie filiżankę herbaty i powędrowała do okna. Była przekonana, że o tej porze basen będzie już pusty. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła jednak, że ktoś tam jest.

, Od razu rozpoznała Bameya Mulraya, kolportera z Ohio, którego poznała kiedyś podczas zjazdu. Po chwili uświadomiła sobie, że w basenie aż roi się od dystrybutorów „Elegance”. W końcu basenu Cary dostrzegła też Jasona.

Pierwsza myśl, która przemknęła jej przez głowę, zaskoczyła ją samą. Pomyślała bowiem, że McCready doskonale wygląda w kąpielówkach. Jego opalonemu, szczupłemu i muskularnemu ciału nie można było nic zarzucić. Tak jak sobie wyobrażała, wzdłuż torsu biegł mu kuszący rząd ciemnych włosów. Cary opuściła wzrok na jego potężne uda i po raz kolejny stwierdziła, że Jason McCready jest fantastycznie zbudowany.

283

Nie tylko ona doszła do tego wniosku. Obok szefa siedziała drobna, młoda rudowłosa kobieta o wydatnych piersiach. Rozmawiała z nim, a Jason uważnie jej słuchał. Tym niemniej, gdy tylka usłyszał wołanie Barneya, zerwał się z miejsca i odszedł. Cary wychyliła się odrobinę mocniej, próbując zrozumieć słowa.

- Chodźmy na drinka - zaproponował Barney.

- Nie, dziękuję- odmówił Jason. - Pójdę zaraz na górę sprawdzić, jak tam Angela.

hmi też proponowali mu wspólny toast, ale McCready był nieugięty.

- Naprawdę, Jason. Jeden malutki drink. No, proszę. Jest jeszcze wcześniej - nalegała rudowłosa kobieta z imponującym biustem, przysuwając się coraz bliżej.

- Dzięki, Trudy, ale nie - rzekł stanowczo. - Jestem zmęczony i chciałbym zostać sam.

Trudy nie śmiała dalej nalegać. Wzruszyła ramionami, podniosła się i wyszła z resztą towarzystwa.

Nagle wokół basenu zrobiło się pusto i cicho jak makiem zasiał. Jason siedział nieruchomo, miał zamknięte oczy. Po raz kolejny Cary odczuła, że przeszkadza i już zaczęła się wycofywać, kiedy mężczyzna otworzył oczy i... skierował wzrok prosto na nią.

- Ach! Pani Adams! - zawołał.

- Wiłam - odparła zmieszana.

- Jak się udał dzień? - zapytał z sarkastycznym uśmiechem.

- Dziękuję. Było wspaniale. - A dzieci?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Angela?

- W porządku. Ja... ułożyłam ją do snu.

Cary zauważyła, że Jasonowi rozszerzyły się źrenice. Nie wiedziała tylko, czy z radości, czy ze złości.

- Tylko ty jeszcze nie śpisz - skomentował.

- Tak. Cóż... Właśnie chciałam pójść do łóżka.

- Nie. Chodź tutaj - zakomenderował nagle.

Cary zawahała się. Powinna iść spać, a nie dyskutować z Jasonem McCready nocą w basenie.

Wtem przypomniał jej się Richard, jego głos, śmiech... ale nie twarz. Teraz widziała tylko przystojną i pociągającą twarz mężczyzny, który siedział na dole.

- Usłyszałam przed chwilą, jak mówiłeś, że chcesz być sam - powiedziała wreszcie.

- Usłyszałaś?

- Tak - przyznała, zalewając się rumieńcem.

- No, cóż. Przed chwilą chciałem być sam, ale teraz byłoby mi przyjemnie, gdybyś zechciała mi towarzyszyć. Proszę, zejdź tutaj. Woda jest naprawdę ciepła.

Cary nagle zapragnęła tego ciepła, nie tylko wody, ale też męskiego ciała. Chciała chociaż namiastki zainteresowania. A zresztą, nawet nie przyjęłaby nic więcej.

Zwilżyła usta, wciąż się wahając.

- Cary?

- Już schodzę - odparła.

Dziwiąc się samej sobie, Cary szybko przebrała się w kostium i zbiegła na dół. Do ciepła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie zdążyła jeszcze wejść do pływalni, a już żałowała, że przystała na propozycję Jasona, który nagle gdzieś zniknął. Rozejrzała się wokół.

- Tutaj, chodź tutaj, Cary! - zawołał, siedząc w jacuzzi i obserwując jej ruchy.

Cary poczuła się nieswojo, zwłaszcza że na brzegu basenu zauważyła tacę z dwoma kieliszkami szampana, talerzem serów na przekąskę, krakersami i krewetkami.

Zesztywniała i odruchowo poprawiła pasek na kąpielowym szlafroku. Jason, widząc jej nerwowe poczynania, zaśmiał się gardłowo.

- Widzę, że znowu przywdziałas swój ochronny pan-cerzyk.

- Czy to źle?

- Nie. Skąd.

- Nie trzeba było zamawiać tych delikatesów.

- Dlaczego?

Cary zamachała dłonią, jakby chciała powiedzieć wszystko i nic zarazem.

- Wygląda to tak, jakbyś chciał...

- Cię uwieść, czy tak? Nie sądzisz, że wyciągasz zbyt śmiało wnioski?

286 GWIAZDKA MIŁOŚCI

- O, mój Boże! Od razu wiedziałam, że cały ten wyjazd jest nieporozumieniem - stwierdziła, odwracając się na pięcie i kierując do wyjścia. Nie zdążyła ująć kilku kroków, a już stał przy niej, ociekając wodą.

- Czy powiedziałaś tak dlatego, że Danny się tu nudzi? A może dlatego, że nagle się mnie przestraszyłaś? Zastanawiam się tylko, co jest we mnie aż tak przerażającego. No, powiedz. Podziwiałem cię za to, że potrafisz być bezpośrednia i bez ogródek mówić, o co ci chodzi.

- Wcale się ciebie nie przestraszyłam! - rzuciła cierpko.

- No więc, o co ci chodzi?

- Dlaczego zaprosiłeś mnie na dół? Jason uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Lubię cię. Jesteś moim gościem. Cały dzień pracowałem, a ty opiekowałaś się dziećmi. Pomyślałem, że miło będzie zamienić z tobą kilka słów. A ponieważ jest już późno, pomyślałem też, że przekąsimy coś lekkiego. Sądziłem, że spodoba ci się ten pomysł. I jestem przekonany, że byłoby tak, gdybyś wreszcie przestała się bronić.

Cary sama nie wiedziała, jak rozumieć te słowa. Najprawdopodobniej Jason miałąq'ę. Rzeczywiście zachowywała się jak pancernik.

Wciąż zaciskając palce na pasku od szlafroka, opuściła spojrzenie.

- Czy przypadkiem masz też sos do tych krewetek?

- Tak.

- No to mogę zostać - odparła ze spuszczonej oczami. Wciąż skrepowana, zdjęła szlafrok i wśliznęła się do jacuzzi. Parująca, gorąca woda podziałała na nią wspaniale-

- odprężająco i kojąco. Jason również do niej dołączył. Podał jej kieliszk szampana i usiadł naprzeciwko.

- Opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś - poprosił.

Cary chętnie opisała narciarskie wyczyny, swoje i dzieci. Jason zasypywał ją pytaniami, ona zaś czuła się coraz bardziej zrelaksowana, i to raczej z powodu jego ciepłego głosu niż z powodu przyjemnie bulgoczącej wody. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że coraz bliżej przysuwa się do Jasona. Zabrała się za krewetki, on zaś wybrał ser. Mało tego, pozwoliła, żeby dwukrotnie napełnił jej kieliszek. Kiedy jednak zakończyła sprawozdanie z mijającego dnia, zapanowała martwa cisza. Jason oparł głowę o brzeg basenu i na wpół przymknął oczy.

- Sam zaprojektowałeś te wszystkie wnętrza?

- Owszem - odparł, unosząc lekko powieki.

- Tak myślałam. Wszystko jest takie przemyślane...

- urwała czując, że się rumieni pod wpływem spojrzenia Jasona. - Zrobiłeś to dla Sary - wymknęło się jej. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tak.

- Pewnie teraz prześladują cię przykre wspomnienia.

- Nie są przykre - zaprzeczył. - A zresztą, jakie to ma znaczenie? Według ciebie i tak jestem przecież notorycznym podrywaczem.

- No, cóż. Głupio powiedziałam.

- Ale wcale nie lepiej się zachowałam.

- A co ja takiego zrobiłam?

- Okryłaś się szczelnie pancerzem.

- Janie...

- Wiesz, że przyjaźnię się z twoim kuzynem, Jeremym?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Cary wzięła nerwowy oddech. Jeremy! Co powiedział Jasonowi?

- Powiedział mi, że rocznie wychodzisz z domu w celach towarzyskich nie więcej niż trzy razy. I za każdym razem jesteś nieprzystępna jak królowa śniegu.

- Królowa śniegu?

- A i owszem. Powiedział mi też, że nawet nie szukasz rozrywki. Przynajmniej ja próbuję ci jej dostarczyć.

-, Lubię się bawić - zaprotestowała. Jason upił łyk szampana, nie spuszczać wzroku z Cary. Miał lekko przymknięte, ale wciąż bystre zielone oczy.

- Przestań!-warknęła.

- Co mam przestać?

- Może i jestem dla ciebie pancernikiem, ale w tym momencie ty przypominasz mi krokodyla, który tylko czeka, żeby odgryźć mi głowę.

Jason roześmiał się i nachylił do niej.

- Nie mam zamiaru odgryźć ci głowy.

Był blisko. Bardzo Miąko. Cary widziała, jak woda odbija się o jego twardą pierś i pozostawia na niej drobne bąbelki. Miała ochotę ich dotknąć, przysunąć się i zlizać krople wody z jego ciała. v

- Pro.. .wadzisz niewłaściwy tryb życia - powiedziała niepewnie. Nie mogła oderwać wzroku od wody, a właściwie od jego torsu. '

- Czyżby? - szepnął i przysunął się jeszcze bliżej. Cary poczuła, że Jason głaszcze jej policzek, unosi delikatnie brodę i... całuje - tak: całuje! - jej usta.

Poczuła się tak, jakby dziki pęd gorącej wody rozkosznie zalał jej ciało i duszę. Nigdy nie przeszło jej nawet

przez myśl, że będzie się tak całować z kimś innym niż Richard.

Może nawet domyślała się, jak McCready potrafi całować, bez krzty wahania, prowokująco i po mistrzowsku. Może i wiedziała, jak jego język sprawnie penetruje najdalsze zakątki ust, jak wzbudza pożądanie, które z każdą chwilą rośnie i nabrzmiewa, ale nie spodziewała się, że kiedyś sama się o tym przekona.

Cichutko jęknęła z rozkoszy. Nie mogła zarzucić Jasonowi, że ją zbałamucił. Jego pierwszy dotyk był niezwykle delikatny, nawet pierwszy pocałunek nie był zobowiązujący. W każdej chwili mogła się wycofać, ale zamiast tego to ona uwiodła Jasona. To ona pierwsza otoczyła go ramionami i przywarła do niego w ciasnym uścisku.

Jason znowu ją pocałował. I jeszcze raz. Jego palce powędrowały wzdłuż ciała Cary. Ona zaś mocno przytuliła się do jego muskularnego torsu. Wtem niespodziewanie obudziły się w niej wspomnienia o Richardzie, mężczyźnie, którego kochała. Jak bardzo różnił się od Jasona! Ale teraz nie liczyło się już dla Cary nic z wyjątkiem nagłej namiętności do Jasona. Wszystkimi zmysłami pragnęła tylko jego jednego.

Usiadła mu na kolanach, żądając wciąż więcej i więcej, a on uniósł lekko twarz i szepnął jej do ucha:

- Myślę, że teraz wreszcie obydwójce jesteście odprężeni.

- Dzięki wodzie...

- Nie bardzo, bo czuję, że nie wszystkie mięśnie mi się rozluźniły.

Cary szeroko otworzyła oczy, uświadamiając sobie, do czego naprawdę prowadzi jej zachowanie. Ale oto Jason przywarł

GWIAZDKA MIŁOŚCI

do jej ust jeszcze gwałtowniejszym pocałunkiem i znów zatraciła się w rozkoszy. Wrząca i bulgocząca woda nie była już dla Cary czymś zewnętrznym, ale częścią jej samej, odzwierciedleniem uczuć, które nagle nią owładnęły. Nagle Jason przerwał pocałunek.

- Nie możemy tutaj zostać - wykrztusił.

- Nie - szepnęła.

- Chciałbym więcej - stwierdził, dając Cary jeszcze jedną możliwość wycofania się.

- Wiem.

- Czy to szampan tak zadziałał?

- Na pewno pomógł - przyznała.

Poczuła, że Jason sztywnieje. Gdyby zechciała, mogłaby jeszcze odejść. Ale ona wcale tego nie pragnęła. Zwilżyła językiem usta i mocniej zacisnęła dłonie na jego ramionach.

- Proszę...-zamruczała.

Jason nie potrzebował większej zachęty. Wyszli z wody i przeszli wzdłuż basenu. Doszli do drzwi zamykających osobną klatkę schodową. Cary uświadomiła sobie, że schody prowadzą prosto do sypialni Jasona.

W pomieszczeniu paliło się jedno światło, które rzucało delikatny, niewyraźny blask na obszerne łóżko?, przyozdobione grafikami ściany i czerń, mosiądz oraz szkło mebli. Cary niemal nie dostrzegała tych wszystkich szczegółów, bowiem koncentrowała wzrok wyłącznie na Jasonie. On zaś świdrował ją w milczeniu spojrzeniem swych hipnotycznych, zielonych oczu. Nagle Cary zadrżała. Choć w sypialni panowało przyjemne ciepło, wyszła przed chwilą z wody i jej ciało zdążyło się oziębic. Nie na długo. Jason ułożył ją na łóżku! i przykrył ciepłem własnego ciała, po

czym gorąco pocałował. Raz jeszcze spotkał się ich wzrok. Mężczyzna po raz ostatni dawał jej szansę odwrotu.

- Zostaniesz?

Cary chciała odpowiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Przytaknęła, zamknęła oczy i mocniej wpiła się w jego ramiona, wtulając twarz w jego włosy.

- Otwórz oczy - zażądał, odciągając ją od siebie. Cary posłusznie zrobiła, co chciał. - Powiedz mi, że mnie pożądasz.

- Pożadam cię.

- Zwróć się do mnie po imieniu.

- Pożadam pana, panie McCready.

- Tak mam na imię? - zaśmiał się.

- Jason - poprawiła szybko. - Pragnę ciebie, Jason. Nie potrzeba było więcej słów.

Dotknął jej tam, gdzie chciała być dotykana...

Pocałował ją tam, gdzie chciała być całowana...

Wśród nocy rozkwitał płomień namiętności, palący niemal do bólu. Cary dostrzegła w oczach Jasona przyćmiony, magiczny błysk pożądania. Zobaczyła też jego opalone, muskularne dłonie, które oplotły jej ciało niczym bluszcz.

Pocałowała go. Koniuszkiem języka dotknęła nagiej skóry jego ramion dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła.

Wyrafinowana pieszczota trwała długo. Boleśnie długo...

I wtedy Jason zrobił to, na co czekała. Zrobił to pięknie i niewiarygodnie dobrze. Nie żądał niczego ponad to, co sam dawał. Tulił do siebie Cary, pieścił ją, dotykał delikatnie i kochał się z nią tak namiętnie, jakby darzył ją miłością.

Kiedy gorączka i pasja osiągnęły szczyt, Cary niemal

GWIAZDKA MIŁOŚCI

straciła przytomność. Po chwili, kiedy wydało się jej, że wróciła już na ziemię, zadrżała z rozkoszy. I szoku.

Dopiero teraz doszedł do głosu zdrowy rozsądek. Na myśl o tym, co przed chwilą zrobiła, wpadła w panikę. Mimo wszystko jednak zrobiła to z premedytacją i zupełnie świadomie.

Zagryzła wargę. Zastanawiała się, czy jest jakiś sposób, żeby wyjść z tej sypialni z godnością i honorem. Czy powinna podziękować Jasonowi za deszcz przyjemności, którym ją obsypał? A może po prostu wyjść, jak gdyby nigdy nic?

Jak teraz wróci do pracy? Musi się zwolnić na własne życzenie, a nie czekać, aż zrobi to Jason McCready. Nie. Nie mogła zostawić pracy, bo jej syn marzył o komputerze. Cary sama się zdziwiła, że w takiej chwili myśli o tym. Już chciała się podnieść, ale Jason zatrzymał ją silnym uściskiem.

- Muszę wracać - rzekła drżącym głosem. - Danny zaraz się obudzi.
- O pierwszej w nocy? - zapytał z uśmiechem, patrząc jej prosto w oczy.
- Muszę już iść - upierała się.

Jason zamknął jej usta pocałunkiem. Potem odsunął się od niej i wsparł na łokciu. Patrzył, jak Cary ilakłada strój kąpielowy, po czym sam, jakby od niechcenia, -narzucił na siebie szlafrok.

- Odprowadzę cię.
- Nie musisz.
- Zrobię, jak powiedziałem.

Kostium kąpielowy Cary ociekał wodą. Szybko przemknęła obok biurka, uderzając udem o jakiś przedmiot. O zdjęcie Sary. Tak pięknie uśmiechniętej. Na szczęście

293

Jason niczego nie zauważył. Otworzył jej drzwi i podążył za nią po schodach. Kiedy dotarli do basenu, podniósł z podłogi jej szlafrok i narzucił go Cary na ramiona.

- Cała się trzęsiesz.

- Jest mi zimno.

- Powinnaś była zostać ze mną w sypialni.

- Obydwoje mamy przecież dzieci.

- Zostało jeszcze dużo czasu do rana.

- Nie. - Potrząsnęła przecząco głową, odsuwając się od Jasona.

- Cary, jeśli żałujesz tego, co zrobiliśmy...

- Nie. Niczego nie żałuję. To było piękne. Zresztą sam wiesz... to znaczy... - Cary wiedziała, że po tak długiej przerwie na pewno nie była wyśmienitą kochanką. Postanowiła nie kryć swoich wątpliwości. - To był mój pierwszy raz, odkąd... Richard... Może teraz spojrzę inaczej na ludzi. Dziękuję ci.

Chciałabym jednak w tej chwili zostać sama.

- Cary...

- Muszę stąd wyjechać!

- Zaczekaj ! - zawołał stanowczo.

Cary nie umiała pojąć, dlaczego zachowuje się tak płochliwie.

- Muszę wyjechać bez względu na to, jakie to będzie miało konsekwencje w pracy. Nawet, jeśli miałbyś mnie zwolnić!

- Cary, nie mam zamiaru cię zwolnić! - powiedział Jason z ręką na sercu.

Nagle opuścił ją strach. Mimo to jednak czuła, że powinna się bronić.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- No więc nie muszę sprzątać moich rzeczy z biurka - szepnęła. Chciała się śmiać i płakać jednocześnie. Pragnęła ponownie rzucić się Jasonowi w ramiona.

Ale najbardziej chciała teraz zostać sama, żeby przemyśleć wszystko w spokoju. Nie mogła pozwolić, żeby McCready zaprowadził ją z powrotem do swojej sypialni. Odwróciła się więc i pobiegła co sił w nogach do własnego apartamentu.

Następnego ranka obudziła się z męczącym poczuciem winy. Widocznie jednak udało się jej ukryć własne emocje, bo Danny i Angela nie zauważyli żadnych zmian w jej zachowaniu. Cary nie wiedziała, gdzie się podział Jason. Nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Nie pojawił się też na wspólnym śniadaniu.

Ku jej zdziwieniu, spotkała go po południu na stoku, na którym uczyła się jeździć na nartach. Mimo iż na ten czas miał zaplanowane spotkanie służbowe, przyjechał i przywiózł ze sobą biznesmenów. Cary rozpoznała kilku z nich. Mężczyźni obrzucili ją niedwuznacznymi spojrzeniami, ale nie śmieli głośno komentować jej obecności u boku McCready'ego.

Cary uznała całe to zamieszanie za kpinę i groteskę, szczególnie kiedy nieporadnie zjechała po stoku. Mimo determinacji i wszelkich wysiłków wylądowała w śniegu/ Jason natychmiast gładko i sprawnie zjechał do niej i podał rękę.

- Dzisiaj wieczorem porozmawiamy - oświadczył.

- Nie! Dzieci...

- Dzieci pójdą do specjalnego klubu i tam zjedzą kolację. Spałaszują hot doga, pograją w różne gry, pośpiewają kolędy, przygotowują prezenty pod choinkę i na pewno będą się doskonale bawić. Mamy przecież święta! Technij w siebie trochę

tego uroczystego ducha - poradził. - Bądź gotowa na szóstą - dodał i odjechał, zanim Cary zdążyła chwycić kijki.

- Mam być gotowa? Na co? - krzyknęła za nim, ale Jason już jej nie słyszał.

Danny wcześniej wyszedł do klubu, tak więc Cary miała czas, żeby się wykapać i starannie ubrać. Nie wiedziała, dokąd zabierze ją McCready. Na wszelki wypadek wybrała więc czarną sukienkę z aksamitu, która była elegancka, ale bez przesady. Tym razem postanowiła, że nie będzie uciekać przed Jasonem. Miała mu zamiar wyjaśnić, że dalej nie mogą się już posunąć, gdyż...

Bardzo zależało jej na pracy, a nie mogłaby znieść podejrzliwej atmosfery w biurze. Poza tym nie miała ochoty być kolejną zdobyczą McCready'ego. I to właśnie było główną przyczyną, dla której chciała jak najprędzej zakończyć tę przygodę. Z drugiej jednak strony musiała przyznać, że zależy jej na Jasonie. Fascynował ją od samego początku. Nikomu nie udało się tak łatwo naciągnąć jej na zwierzenia. Żaden inny mężczyzna nie sprawił, że zapomniała o Richardzie.

Nie. Nie zapomniała.

O, tak - przyznała się ze wstydem. Zapomniała o nim dla kilku cennych chwil w ramionach Jasona. Zamknęła oczy. Zmusił ją, żeby wypowiedziała jego imię, ale sam tego nie zrobił.

Pukanie do drzwi przerwało jej myśli. Cary chwyciła płaszcz i popędziła do wyjścia. Nie chciała, żeby Jason wchodził do jej apartamentu. A właściwie jego apartamentu. Wszystko tu przecież należało do niego. Kiedy na niego spojrzała, wstrzymała oddech. W jego oczach dostrzegła osobliwy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

błysk. Stwierdziła więc, że Jason nadal jest na nią zły. W dzinsach i skórzanej kurtce wyglądał o wiele mniej elegancko niż ona.

- Och! Przebioreę się - mruknęła pod nosem.

- Nie musisz. Strój jest teraz zupełnie nieważny. Nie tam, dokąd jedziemy. Chodź.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Tam. - Wskazał palcem budynek na wzgórzu. Cary westchnęła. Nie była to zbyt wyczerpująca odpowiedź.

Podróż jeepem trwała krótko. Gdy dotarli do prywatnej chatki Jasona, wszystko już było przygotowane na ich przybycie. W kominku migotał wesoło ogień, a na stole apetycznie dymiło jedzenie.

Jason zdjął kurtkę i rzucił ją na fotel. Nie pomógł Cary rozebrać się z płaszcza, tylko podszedł do stołu i uchylił pokrywkę.

- Boeuf strogonof i biały burgund. Usiądź - rzekł i odsunął jej krzesło. Cary nadal miała na sobie płaszcz.

- Jason, nie zgodziłaś się na prywatne...

- Chcesz powiedzieć, że miałaś zamiar publicznie dyskutować o naszym związku?

- Nie ma między nami żadnego związku! - podkreśliła z naciskiem. /

- No dobrze. Usiądź i powiedz mi, dlaczego tak bardzo się go obawiasz.

Zupełnie wykończona, Cary jęknęła i usiadła na wskazanym miejscu. Jason nalał wina, po czym usiadł naprzeciwko. Kiedy unosił do ust kieliszek, napotkał jej spojrzenie.

- No więc?

- Nie mogę się już z tobą widywać - powiedziała.

- Dlaczego?
- Po pierwsze, jesteś moim szefem...
- Nie jesteśmy w pracy.
- Ale do niej wrócimy.
- Sama wiesz, że to nie ma nic wspólnego z zawodowymi sprawami.
- W porządku. Chcesz usłyszeć inny powód? Nie chcę być jedną z wielu.
- Jedną z wielu? - powtórzył, unosząc jedną brew. - Chyba nie jest aż tak źle, co?
- Po prostu ja...-Zapłonila się.

Jason nachylił się do niej przez stół i zacisnął palce na jej dłoni. Cary poczuła napływające, kuszące i przerażające zarazem ciepło.

- Cieszę się, że jesteś ze mną. Lubię cię i podziwiam.
- Chyba zagubiłeś się we wspomnieniach - rzuciła.
- Naprawdę? No dobrze, Cary. Dzielimy te same problemy. Ty też darzysz miłością ducha, ale musisz przyznać, że w moim towarzystwie dobrze się bawisz. Otworzyłaś się przede mną. Nie zrobiłaś wczoraj niczego pochopnego i bezmyślnego. Kochałaś się ze mną! A to, do diabła, już coś znaczy! Cary podskoczyła z wrażenia, kiedy trzasnął kieliszkiem o stół.
- Ja przynajmniej nie staram się uciekać! - oznajmił. Ale też i mnie nie kochasz - dodała w myślach Cary.

Nagle uświadomiła sobie, że jest jej z tego powodu smutno, beznadziejnie, źle... Czyżby już się w nim zakochała? Ale kiedy? Czy wszystko zaczęło się, gdy przyjechał po nią tydzień temu? Nie. To potężne uczucie narodziło się wcześniej i wyrosło z fascynacji osobą Jasona.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Chociaż ten tydzień - poprosił.

- Słucham?

- Do diabła! Zostań chociaż do końca tygodnia. Potem, jeśli chcesz, możemy zakończyć ten związek. Wrócimy do pracy i będziemy udawać, że się nie znamy.

Cary doskonale zdawała sobie sprawę, że Jason nie żartuje. Gdyby nalegała, na pewno odwiózłby ją do domu. Wystarczyło jedno jej słowo. Ale przecież rzeczywiście dobrze się tu czuła. Z dziećmi. I z Jasonem.

Tylko do końca tygodnia...

W końcu zbliżały się święta. Zasłużyła na rozrywkę.

Cary siadła głębiej w krześle.

- Zjedzmy obiad - mruknęła.

Stało się, jak zaproponowała. Zjedli obiad. Nic więcej się nie zdarzyło. I wtedy właśnie zaczął padać śnieg. Podeszli do okna i patrzyli na opadające różnokształtne płatki. Potem usiedli przed kominkiem i zaczęli rozmawiać o baseballu i o dzieciach. Nagle, ni stąd, ni zowąd, obydwójce wyciągnęli się na podłozę, tuż obok płomieni.

Cary wiedziała, że chce się z nim kochać. Jeszcze raz. Przed nimi i między nimi płonął ogień, który trawił ich z coraz większą siłą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tydzień upłynął jak z bicza strzelił. Cary wiedziała, że zapamięta go na całe życie.

Po pierwsze nauczyła się całkiem znośnie jeździć na nartach. Oczywiście, z wydatną pomocą Jasona i Angeli. Kiedy ona lub Danny wpadali w zwały śniegu, dziewczynka śmiała się tak serdecznie jak nigdy dotąd.

Śmiech. Tak. To pewnie zapamięta najdłużej. A może raczej ciepło spokojnych wieczorów. Albo uczucie radości i błogiego rozluźnienia.

Jason kazał się jej odprężyć i korzystać z życia.

Tak też zrobiła. Wspólnie pływali, jeździli na nartach, jedli, bawili się z dziećmi i spędzali intymne chwile tylko we dwoje.

Ale ich urlop nieubłaganie dobiegał końca, a Jason zachowywał się tak, jakby po powrocie do pracy nic nie musiało się zmieniać.

Pobyt w górach był rzeczywiście bajeczny, lecz przecież wkrótce czekał ich bolesny powrót do szarej rzeczywistości. Ostatnią noc przed wyjazdem Cary spędziła na rozmyślaniach. W sumie żałowała tego, co się stało, mimo iż kiedyś tak bardzo marzyła o takiej przygodzie.

Jason. Uprzejmy i czarujący. Tak łatwo udawało mu się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rozśmieszyć Cary. Nie wyobrażała sobie kochanka, który byłby czulszy i bardziej podniecający niż on. Ale nie miała prawa zapominać, że Jason wciąż kochał Sarę...

Pierwszej nocy po powrocie Cary prawie nie zmrużyła oczu.

Nie widziała się z Jasonem całe poniedziałkowe przedpołudnie. Zjadła lunch w towarzystwie June, zdecydowana nie zdradzać jej szczegółów wspólnego urlopu. Przyjaciółka nalegała, ale Cary stwierdziła tylko, że wyjazd był bardzo udany, Jason przemiły, a dzieciaki wniebowzięte. Nic więcej. Myślała, że tego dnia jeszcze go spotka. Tak jednak się nie stało. Sama nie wiedziała, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy smucić.

Również kolejnych kilka dni upłynęło jej pod znakiem rozłąki. Całe noce¹ przewracała się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Przypominając sobie każdy dotyk Jasona, zaciskała zęby, zła na siebie, że znów się zakochała. I to na dodatek w mężczyźnie, który nie tylko nie odwzajemniał jej uczuć, ale nawet nie miał ochoty się z nią widzieć.

Do piątku Cary zdążyła przemyśleć sprawy na tyle, że postanowiła zerwać wszelkie kontakty z Jasonem. Gdyby kiedykolwiek zaprosił ją na kolację, przedstawienie czy kawę, odmówi.

Na domiar złego przy każdym lunchu zaczepiała ją June.

- Może umówisz się z nim na przedwigilijną imprezę? Cary zacisnęła zęby.
- June, w ubiegłym tygodniu dobrze się bawiłam w towarzystwie McCreadych. To wszystko.
- A czy oni równie dobrze bawili się w twoim towarzystwie?

301

- Przestań, June - ostrzegła przyjaciółkę.

Kiedy wróciły z lunchu, zobaczyły, że na biurku Cary stoi wyśniony komputer Danny'ego.

- Właśnie ten, na który nie mogłaś sobie pozwolić! -krzyknęła June. - Jak się tu znalazł? Kto go...?

Och! - Spojrzała na przyjaciółkę i zaczęła się śmiać. - Widzę, że McCre-ady rzeczywiście dobrze bawił się w twoim towarzystwie.

- June! - syknęła ze złością Cary.

- Och, dzieciaku. Wybacz mi. Naprawdę nie miałam niczego złego na myśli. Słowo.

Przeklęty Jason McCready! - pomyślała Cary. Najpierw rozpałił w niej uczucie, a później ją zlekceważył. Nie dość tego, w biurze rozeszły się plotki.

Cary poczuła, że na policzki występują jej rumieńce. Nie potrafiła odpowiedzieć June tak, żeby ta dała jej wreszcie spokój. Pomyślała, że lepiej będzie, jeśli tego dnia nie pójdzie do biura szefa. Sekretarka pewnie zaraz rozpuści dalsze plotki.

Przeklęty Jeremy i ten jego bożonarodzeniowy pył. Nie mogła zaprzeczyć, że komputer na jej biurku wyglądał jak zapłata za usługi, które znacznie przekraczają urzędowe relacje między pracodawcą i pracownicą. Raz kozie śmierć - zdecydowała wreszcie i wyszła z biura w kierunku wind. Nie czekała, aż zaanonsuje ją sekretarka i bez pukania weszła do gabinetu Jasona, który oczekiwał jej... telefonu.

Dla niego ubiegły tydzień był równie nieznośny jak dla Cary. Codziennie późnym wieczorem podjeżdżał pod jej dom, wahając się, czy zapukać. Za każdym razem, kiedy podchodził do jej drzwi, trzęsły mu się ręce. W końcu tchórzył i wracał do siebie.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Tego ranka pomyślał o komputerze. Miał nadzieję, że wybrał właściwy model i Cary powie mu, jak bardzo ucieszył się Danny. Chłopiec często wspominał o tym komputerze podczas pobytu w górach i opowiadał Angeli, jakie wspaniałe rzeczy może robić ta maszyna.

Jason chciał porozmawiać z Cary. Pragnął znowu usłyszeć jej głos. Od momentu kiedy odwiózł ją pod dom w niedzielę, nie mógł uwolnić się od tęsknoty za nią. Tęsknił za czułym spojrzeniem, wygięciem ust w uśmiechu, za jej piękną twarzą i drobnym, zmysłowym ciałem. Tęsknił za kimś, z kim mógłby dzielić miłość do dzieci. Brakowało mu śmiechu Cary. Brakowało mu też jej westchnień i szeptów.

Wspomnienia ubiegłego tygodnia prześladowały go i sprawiały mu ból.

Całe noce leżał bezsennie i rozmyślał, a kiedy wstawał rano, czuł, że boli go serce. Pragnął cofnąć się w czasie do tych kilku cudownych dni, jakie spędził z Cary. Po raz pierwszy od pięciu lat znowu był szczęśliwy. Miał nadzieję, że komputer sprawi, że ona będzie szczęśliwa.

Najwyraźniej jednak prezent nie zachwycił jej tak, jak to sobie wyobrażał. Cary wpadła do jego gabinetu jak burza. Jej oczy pałały gniewem, a piękna twarz zastygła we wściekłości niczym maska.

W rękach ścisnęła ołówek, który cisnęła w Jasona, zanim zdążyła się odezwać.

- Co ty mi, do diabła, robisz?! * Mężczyzna natychmiast przybrał pozę obronną i podniósł się z krzesła. Obszedł biurko, przycupnął na jego rogu i skrzyżował ręce na piersi.

- O co ci chodzi?

- Komputer!

303

- Jest dla Danny'ego.
 - Ach tak?! Jest też i dla mnie. Ale ja nie mogę go kupić, a tym bardziej przyjąć od ciebie w prezencie. Nie chcę od ciebie niczego, na co sama nie mogę sobie pozwolić. To wygląda jak... Jak zapłata!
 - Jak zapłata?! - powtórzył z oburzeniem.
 - Wszyscy już pewnie wiedzą, że...
 - Sypiasz ze mną? - dokończył. Powiedział to takim tonem, jakby miłość do Cary była złem. Ale tak naprawdę znaczyła dla niego wszystko. Znaczyła zbawienie.
 - Ja z tobą nie sypiam. To się po prostu zdarzyło...
 - Cary, zapewniam cię, że kupując ten komputer, nie myślałem o żadnej zapłacie. Nie mogę uwierzyć, że...
 - Och! - westchnęła zrezygnowana. - Rezygnuję z pracy.
 - Dlaczego?
 - Nie widzisz, co zrobiłeś? Nie odzyskam już dawnej pozycji zawodowej. Stałam się przypadkową ofiarą twojej beztroski, ale pamiętaj, że muszę codziennie tu przychodzić i znosić upokorzenie...
 - Nie sądziłem, że były między nami jakiegokolwiek przypadkowe relacje - odparł, mrużąc ze złości oczy. - Zamierzałem zadzwonić do ciebie dzisiajszego popołudnia.
 - Czyżby? Nie! To nie ma znaczenia. Nie daję sobie z tym wszystkim rady. Sam zresztą widzisz. Nie mogę tu pracować ze świadomością, że wszyscy widzą we mnie...
 - To, co się między nami wydarzyło, było wspaniałe.
 - Było! Ale się skończyło. Nigdy więcej już się nie spotkamy!
- Jason milczał. Widać było, że jest bardzo spięty. Po chwili jednak odezwał się łagodnie:

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- W porządku. Ożenię się z tobą.

Cary zaniemówiła ze zdziwienia i wytrzeszczyła oczy, które natychmiast napęłniły się łzami. „W porządku. Ożenię się z tobą”... Zabrzmiało to, jakby godził się na kompromis, dobijając interesu. Nie mówił prawdy. Jak mogła zapomnieć, że tylko zbieg okoliczności sprawił, iż trafiła na wysokiego, przystojnego i bogatego bruneta? Przeklęta June, Jeremy, jego magiczny pył i całe święta! Jason McCready wcale nie zamierzał się z nią związać. Zaproponował małżeństwo, żeby zasznurować jej usta.

Cary pokręciła głową.

- Niemożliwe, żebyś naprawdę tego chciał. To nie ma sensu. A jeśli...

- Chcę tego z całego serca. Naprawdę. - Podeszedł do niej i zatrzymał się na odległość oddechu. - Nasze małżeństwo będzie miało bardzo głęboki sens. Mamy wiele wspólnego. Ja rozumiem twoje problemy, ty moje. Dzielimy...

Z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie rozumiała, dlaczego czuje się zraniona. - Jason chciał ją pojąć za żonę, hołubić i rozpieszczać. Zamiast się cieszyć, Cary zachciało się płakać.

- Nie potrzebuję męża. Wcale nie musisz się ze mną żenić. Sama doskonale dam sobie radę.

- Tak, tak. Wiem o tym. Ale byłoby ci lepiej przy moim boku. Mogę zrobić dla Danny'ego to, czego ty nie możesz.

- Jestem dobrą matką - odparła z wyrzutem.

- Ale nie możesz zastąpić mu ojca.

- To szaleństwo.

- Angela cię pokochała. A Danny, jak widzę, polubił mnie.

305

Jason trzymał dłonie na ramionach Cary i wbijał w nią wzrok - stanowczy, władczy i nie znoszący sprzeciwu.

Cary udzieliło się jego podekscytowanie. Stwierdziła, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby za niego wyszła. Jason proponował jej przecież coś, czego nie oferował żadnej innej kobiecie. I choć czegoś w tym brakowało, to jego oferta była lepsza niż samotność.

- Zgódź się-prosił.

- Ja... - odskoczyła gwałtownie. - Muszę iść.

- Dziś wieczór będę w domu. Poszukaj kogoś, kto zajmie się Dannym i przyjdź do mnie. Z odpowiedzią.

Cary wyszła z gabinetu. Popołudnie wypełniły jej smutne rozmyślania. Jeremy zajrzał do niej na chwilę. Po jego minie było widać, że całe biuro trąbi już o komputerze.

- Mmmm! Pomyśl tylko, co mogłabyś dostać, gdybyś wyjechała z nim na miesiąc!

Cary miała ochotę cisnąć w kuzyna biurkiem.

- Wynoś się stąd wraz ze swoim magicznym pyłem! Ale nie tak łatwo było pozbyć się Jeremy'ego.

Usiadł na

rogu blatu, zmarszczył brwi i popatrzył na Cary.

- Nie miałem złych intencji. Jason na pewno też.

- On jest taki beztroski! Przywykł do tego, że wszystko ma, i że śpi na pieniądzech...

- Cary, Jason był sierotą, opuszczonym chłopcem, którego wychowywała głównie ulica. Do wszystkiego, co ma, doszedł własną pracą. Nie jest taki znowu beztroski.

Wbiła wzrok w biurko. Nie wiedziała nic o przeszłości Jasona. Nigdy o niej nie mówił. Być może kroczył krętą i ciernistą ścieżką, ale to było wiele lat temu. Niewątpliwie jego droga do kariery wyglądała imponująco. On sam zre-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

sztą też był nie mniej interesującym mężczyzną. I dlatego właśnie udało mu się rozkochać w sobie Cary. Ale lubił też, gdy na skinienie palcem wszystko było u jego stóp. A tego właśnie nie znosiła i tego się bała.

O dziewiątej wieczorem Cary była w drodze do Cambridge. Jechała taksówką z mocnym postanowieniem, że jej odpowiedź będzie brzmiała: „nie”.

Dom Jasona był przepiękny - stary i pełen antyków. Służba zaprowadziła ją do pokoju z osiemnastowiecznymi malowidłami. Siedział tam McCready i, sącząc brandy, czekał na nią w milczeniu.

Poczuła się nieswojo. Nie przywitał jej żadną wesołą uwagą, jedynie spojrzął na nią w skupieniu. Skinęła głową.

- Jason, nie mogę... rzekła i popatrzyła na niego. Nie dostrzegła w jego oczach rozczarowania. - Naprawdę nie mogę tak cię wykorzystywać.

- Mnie? Cary, ja ciebie pragnę!

- Wydaje mi się, że małżeństwo byłoby zbyt wygórowaną ceną, którą musiałbyś zapłacić za...

- Cena nie gra roli. Ty jesteś dla mnie wszystkim. Ale do czasu - dodała w myślach Cary.

- Dam ci wszystko, czego zapragniesz - obiecał.

- Jason, ja po prostu...

- Nie chcesz być jedną z moich nałożnic, czy tak? Cary, ty będziesz moją żoną! Dam Danny'emu, co tylko będzie chciał - najlepsze wykształcenie, przyszłość. Wszystko. Nie musisz się obawiać. Zbliżają się święta, a właśnie ty i Danny jesteście prezentem, który bardzo chciałbym dostać pod choinkę.

- Ale ja nie jestem w stanie dać ci nic w zamian!

- Do diabła, Cary! Przestań! Dajesz mnie i mojej córce prawdziwy dom! - krzyknął.

Cary zwinęła palce w pięść. Stwierdziła, że Jason proponuje jej najzwyklejszy na świecie kontrakt handlowy. Nie był to jednak wcale taki zły pomysł.

- Dobrze - odparła.

- Genialnie! - Uśmiechnął się szeroko. Jak na skrzydłach podbiegł do Cary, wziął ją za rękę i, zanim zdała sobie z tego sprawę, wsunął jej na palec pierścionek z diamentem. Był piękny. Dość duży, ale w dobrym stylu. Oczko otaczały maleńkie szmaragdy, wtopione w złoto.

- Jason, ja nie mogę...

- To jest pierścionek zaręczynowy przypieczętowujący naszą umowę. Pierścionek i pocałunek - poprawił się i przytulił Cary.

Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, gorąca namiętność owładnęła nią całkowicie. Pocałunek pogłębiał się z każdą sekundą. Doszła do wniosku, że pieszczoty Jasona są tak piękne i naturalne, jakby był on jej... mężem. I to narastające jak lawina pożądanie...

Tej nocy Cary odwiedziła jego sypialnię. Widziała potężne dębowe szafy i toaletki, szeroką, obłożoną kafelkami wannę i miękkie małżeńskie łóżce, w którym można było się zgubić. Czowała wyraźnie każdy dotyk Jasona, muśnięcie jego dłoni, ciężar ciała i pasję. Poddawała się namiętności niczym prądowi w rwącej rzece. Kiedy wreszcie wodospad uczuć opadł potężną siłą, odkryła, że wciąż drży pod wpływem cudownych wrażeń, jakich dostarczył jej Jason. Znowu łzy napłynęły jej do oczu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Leżała w delikatnej pościeli, otoczona ramieniem mężczyzny. Gdzieś z oddali doszła ją świąteczna melodia „Cichej nocy” - przesłanie wiary i nadziei. Obietnica cudu. A miłość, ta pierwsza i najważniejsza obok nadziei i wiary? Czy była w jej sercu miłość?

Jason dotykał jej ramienia i wpijał się pocałunkiem w jej ciało. Nie mogła mu się oprzeć. Wtuliła się w niego i odpowiedziała na jego pocałunek - gorąco i natychmiast.

Kiedy ponownie wypełniła się ich namiętność i Jason zasnął jak dziecko, Cary wstała i szybko się ubrała.

- Dokąd idziesz? - Zbudził się i zapytał leniwie.

- Do domu. Do Danny'ego.

- Odwiozę cię.

- Nie. Proszę. Nie jest jeszcze tak późno. Poradzę sobie - odparła, ale zdała sobie sprawę, że salonowe maniery Jasona nie pozwolą mu na to, żeby zostawić ją samą bez opieki. Nawet jeśli byłaby to przypadkowa randka.

I rzeczywiście - McCready odeskortował Cary pod same drzwi.

- Czy mówiłem ci już, że bardzo podoba mi się twoje mieszkanie? - zapytał.

- A ja kocham twój dom - przyznała.

- To dobrze - stwierdził z uśmiechem. - Może więc zmienisz go tak, żebym i ja go pokochał. -

Pocałował ją. Cary chciała się odsunąć, ale nie miała na fõ siły. Przywarła więc do Jasona i dała ponieść się magii.

Gdy weszła do mieszkania, ujrzała w nim June.

- Cześć, mamó! - zawołał podekscytowany Danny. Wiedział, że Cary wraca od Jasona.

- Cześć, kochanie! - Ucałowała go w płowã główkę

309

z myślą, że małżeństwo z Jasonem mogłoby bardzo pomóc jej synowi. - Czas iść do łóżka - oznajmiła. June patrzyła na przyjaciółkę z niepokojem.

- Jesteś smutna! Wyglądasz, jakbyś miała się rozplakać. A to drań! Powiedział pewnie, że wszystko skończone!

- Nie. Jason poprosił mnie o rękę - wyjaśniła Cary.

- Co?! - wykrzyknęła June. - To cudownie! - Chwyciła poduszkę i przetańczyła przez pokój, po czym stanęła nieruchomo. - Mam nadzieję, że się zgodziłaś...

- Tak - westchnęła Cary. - Ale obawiam się, że... jutro złożę w pracy wymówienie. Możesz przejąć moją papierkową robotę - oświadczyła i zdjęła z palca pierścioneł. - To też możesz wziąć - dodała.

- Co? Och, Cary! Niemożliwe, żebyś aż tak go nie lubiła albo była na niego taka zła...

- Lubię go i wcale nie jestem na niego zła - wyjaśniła z uśmiechem. - Właściwie to go kocham.

Jason McCready nie posiadał się z radości.

Istotnie, świat był piękny. Po raz pierwszy od lat nie mógł doczekać się świąt Bożego Narodzenia. Bolesny ciężar, który tak długo leżał mu na sercu, nagle zniknął. Pokochał to, co niegdyś sprawiało mu przykrość. Zdecydował, że pobiorą się jeszcze przed świętami.

Usiadł za biurkiem i zabrał się do pracy. Nie był jednak w stanie się skupić. Odchylił się w krzesło, zamknął oczy i potarł dłonią czoło. Zastanawiał się, czy Danny nie potrzebuje nowego kija baseballowego albo rękawicy.

Nagle zadzwoniła sekretarka i zaanonsowała przybycie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

June. Jason nie spodziewał się jej, więc instynktownie wyczuł, że coś jest nie tak.

- Panie McCready... - zaczęła kobieta drżącym głosem. - Powierzono mi bardzo niewdzięczną misję.

Cary . wycofuje się z waszej umowy.

Jason pobladł, zaskoczony tym, jak bardzo wstrząsnęła nim ta wiadomość.

- Nie mogła mi sama tego powiedzieć?

- Myślę, że bała się z panem spotkać - odparła June, zwilżając usta. - Obawiała się, że nie zechce jej pan wysłuchać. Ja tego nie rozumiem, ale... - Wyciągnęła ku niemu pierścionek.

Jason popatrzył na niego, wstał i wsunął go do kieszeni, po czym podszedł do okna.

- Poza tym Cary postanowiła odejść z pracy. Więcej się tu nie pokaże - kontynuowała June ściszym głosem.

- Takie zachowanie jest niepodobne do Cary Adams - rozmyślał na głos. W myślach dodał, że życie bez niej będzie dla niego jałowe i hezsensowne. W tym momencie dotarło do niego, że darzy Cary prawdziwą miłością.

June dostrzegła przygnębienie na twarzy Jasona. Miała ochotę go pocieszyć, a przyjaciółkę ukarać za bezduszość.

- Cary zwykle sama zajmuje się swoimi sprawami - wyjaśniła. - Podejrzewam, że i tym razem postąpiłaby podobnie. Ale jeśli ktoś powoduje miłość, to traci się zdrowy rozsądek... Dla mnie jest to niepojęte..

- Co takiego?! - krzyknął zachrypniętym głosem, który przeraził June. - Co pani powiedziała?

- Powiedziałam, że nie rozumiem Cary. Nie wiem, dlaczego to robi, skoro, pana kocha...

311

- Niech pani powtórzy ostatnią część zdania.

- Cary pana kocha. Sama mi to powiedziała.

Jason jednym susem dopadł June, uniósł ją i pocałował w policzek, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cary za mnie wyjdzie! Dzięki, June. Będzie moja! June ze zdziwienia otworzyła usta. Jason przemknął

obok niej i wybiegł z biura.

Było późne popołudnie. Cary pomyślała, że do tego czasu Jason na pewno dowiedział się już o jej decyzji. Zapłakała gorzko. Było jej tak ciężko na sercu...

Wciąż spoglądała na telefon zastanawiając się, czy powinna do niego zadzwonić. Źle zrobiła, że wysłała do Jasona June. Z drugiej jednak strony bała się rozmawiać z nim w cztery oczy. Obawiała się bowiem, że kiedy wyciągnie do niej rękę, zabraknie jej odwagi i ulegnie jego urokowi.

Kiedy Danny wrócił ze szkoły, Cary zastanawiała się, czy powiedzieć mu o wszystkim. Decyzję podjął za nią syn. Cały wieczór wspominał z zachwytem wspólnie spędzony tydzień w górach. Miał nadzieję, że wkrótce znów spotkają się w tym samym gronie. Cary skuliła się w sobie z bólu i udreki... Nie wspomniała słowem o swej decyzji. Nie miała odwagi.

O dziesiątej położyła się spać, ale nie mogła zmrużyć oka. Po jej policzkach zaczęły toczyć się łzy.

Nagle usłyszała uderzenie śnieżki w szybę. Gdy gruchnęło drugi raz, podbiegła do okna. Ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy. Na dole stał Jason McCready, bez czapki i szalika, i mocnym głosem intonował romantyczną świąteczną piosenkę. W sąsiednim oknie ukazała się pani Crowley.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Co się tu, u licha, dzieje? - zapytała.
- Jason, proszę! Przestań! - błagała Cary. - Co ty wyprawiasz?
- Próbuję zwrócić na siebie twoją uwagę.
- No, cóż, młody człowieku - wtrąciła się sąsiadka. - Udało ci się zwrócić moją uwagę - rzekła żartem.
- Przyszedłem jeszcze raz prosić Cary o rękę - wyjaśnił jej z szelmowskim uśmiechem.
- Jason! Nie mogę za ciebie wyjść! - krzyknęła Cary.
- Właściwie czemu? - dopytywała pani Crowley.
- Widzi pani, źle motywowałem swoje oświadczenia. Mówiłem, że do siebie pasujemy, będziemy dobrymi rodzicami dla naszych dzieci i razem nie będziemy czuć się samotni.
- Dla mnie- brzmi nieźle - rzekł pan Calahan, który również wychylił się z okna.
- Niech pan mówi dalej - zachęcała pani Crowley.
- Pragnę teraz oświadczyć się inaczej. Chcę, żeby Cary wiedziała, iż chcę ją poślubić z jednej jedynej przyczyny. Najważniejszej. To ona przywróciła mi do życia i nadała mi sens. I dlatego kocham ją całym sercem!
- Och, Jason! - szepnęła Cary.
- Ależ romantycznie! - zachwyciła się pani Crowley.
- Niech mi pani powie „tak”, młoda damo! - przynaglił pan Calahan. - Inaczej ten biedak tu zamarznie.
- Tak! Tak! - wrzasnęła Cary. - *Nie ruszaj się! Zaraz tam będę - dodała, popędziła na dół i rzuciła mu się w ramiona. - Och, Jason! Czy to wszystko to tylko sen?
- Nie. To najprawdziwsza prawda. - Poglądził ją po brodzie. - Pragnę uszczęśliwić ciebie i Danny'ego.
Nie

313

chcę, żebyś rezygnowała z pracy. Kocham cię, najdroższa Cary. Całym sercem!

- Ja ciebie też kocham, Jason!

- Pocałuj go, dziewczyno! - zawołała pani Crowley.

- Ty jeszcze podsłuchujesz? - oburzył się Calahan.

- Zamknij się, stary koźle! - odcięła się sąsiadka. - No, dalej, młoda damo! Pocałuj go i wchodźcie do środka, bo inaczej nie zaśniemy!

Cary posłuchała rady.

Wspięła się na palce, zamknęła oczy i pocałowała Jasona. Namiętnie i głęboko. Pani Crowley westchnęła i zamknęła okno.

Zaczął padać śnieg. Drobne, gęste płatki zwiastowały prawdziwą zimę na święta. Cary chwyciła Jasona za rękę i pociągnęła go do domu. Kiedy weszli do środka, ponownie spoczęła w jego ramionach.

- Tó nie fair, Jason. Co ja ci mogę dać pod choinkę?

- Siebie. Owinięta w czerwoną wstążkę. Nic poza tym. - Pocałował ją. Cary uśmiechnęła się nieśmiało. - Może jest jeszcze coś... Zawsze wyobrażałem sobie cudowną, dużą rodzinę.

Wychowywałem się sam i dlatego tak kocham dzieci. Mamy wspaniałego chłopca i dziewczynkę. Ale jeśli będziesz chciała, możemy postarać się o kolejną dwójkę. Co ty na to?

- Sądzę, że to doskonały pomysł.

- A więc wyjdiesz za mnie?

- Tak, Jason. Tak! Wyjdę za ciebie.

- Super! - krzyknął Danny, którego obudziła głośna rozmowa. - Mówicie serio?

- Serio - odparł Jason.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Kiedy ślub? - dopytywał się chłopiec. - Koniecznie przed świętami, proszę.

- Załatwione - obiecał McCready.

Ślub odbył się dwudziestego grudnia. Na uroczystość przybyli wszyscy pracownicy „Elegance”.

Państwo młodzi odłożyli podróż poślubną na później. Do Nowego Roku postanowili mieszkać u Cary, a potem przenieść się do Jasona.

W Wigilię we czwórkę wybrali się do kościoła/ Kiedy wrócili, Jason ułożył dzieci do snu, a sam włączył lampki na choince. Zauważył, że na jednej z gałęzi wisi wiadomość dla niego: „Mam dla ciebie prezent. Za pięć minut przyjdź do mojego pokoju”. Zaintrygowany, odczekał dłuższą chwilę i pognął do sypialni Cary.

A tam... Na śnieżnobiałej pościeli siedziała nago, przewiązana jedynie czerwoną kokardą, jego żona. Jego własna żona. Jason westchnął i podziękował w myślach Bogu za ten wspaniały prezent. Potem, śmiejąc się, podszedł do łóżka i wziął swój cenny podarunek w ramiona.

EPILOG

Było już bardzo późno, ale Danny mimo wszystko wymknął się z łóżka. W domu panowała cisza. Wszyscy spali. Pobiegł wprost do choinki. Kiedy zobaczył swoje prezenty, stanął jak wryty i otworzył buzię. Spodziewał się, że coś dostanie, ale aż tyle...? Zamknął oczy i otworzył je znowu, żeby się przekonać, czy nie śni. Zastanawiał się, czy zawołać Angelę, żeby zobaczyła te wszystkie wspaniałości. W końcu stwierdził, że Angela na pewno już wie, co leży pod choinką. Danny doszedł do wniosku, że jego nowa siostrzyczka jest cudowna, mimo iż jest dziewczynką. Jego nowy tato też. I choć nie mógł mu zastąpić prawdziwego ojca, tak jak Cary nie mogła zastąpić Angeli jej zmarłej matki, to obydwójce byli bardzo kochani. Obydwójce też mieli do zaoferowania najwspanialszy prezent, jaki dziecko może sobie wyobrazić. Miłość.

Danny zadrzał. To były najcudowniejsze święta w jego życiu. Podszedł do pięknej szopki, którą przygotowała jego mama i dotknął figurki Chrystusa. Potem podszedł do okna.

Na ciemnym niebie dojrzał Gwiazdę Północną. Wiedział, która to, gdyż wcześniej pokazał mu ją Jason.

- Cześć! - zawołał, po czym odchrząknął, stwierdzając, że nie tak należy zacząć modlitwę. - Drogi Boże!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- mówił cichutko. - Chciałem Ci po prostu podziękować. Bo ja... No, cóż. Wierzę w świąteczne duszki i cuda, ale wiem, że Mikołaj, z którym rozmawiałem, to był mój kuzyn, Jeremy. Tak więc jestem przekonany, że wszystko, co dostanę pod choinkę, wszystkie te cuda, są od Ciebie. - Uśmiechnął się.
- Nowy tatuś i komputer! Tak bardzo Ci dziękuję! - szepnął gorąco. - Dałeś nam kiedyś swojego Syna, a teraz mnie dałeś tatę, Angelę i mamę. Mam siostrę, a ona brata. Mamusia ma Jasona, a on ma mamusię. To cud! Dziękuję Ci!

Danny'emu zdało się, że Gwiazda Północna zamigotała jaśniejszym światłem. Potem zaczęła gasnąć. Chłopiec jeszcze przez chwilę spoglądał na niebo. Tak, Gwiazda gasła, gdyż budził się pierwszy dzień świąt. Danny westchnął i popędził do pokoju Angeli.

- Mamy święta! Wstawaj śpiochu!

- Jest jeszcze tak wcześnie - ziewnęła dziewczynka i wygramoliła się z łóżka. - Mamy ich obudzić?

- Pewnie. Jesteśmy dziećmi. Są święta - zapewnił ją. Cary zbudził dziecięcy -pj|k i wrzask radości.

Wciąż

jednak bała się otworzyć oczy. Obawiała się, że gdy to zrobi, pryśnie czar i nie będzie przy niej Jasona. Ale nie było powodów do obaw - Jason, jej mąż, przytulał ją czule do siebie. Czuła jego ciepło i miłość. Nie mogła nawet wyobrazić sobie piękniejszego gwiazdkowego prezentu.

Obydwoje spodziewali się wizyty dzieci, więc przed pójściem spać nałożyli pidżamy.

- Mamo! - zawołał Danny.

- Tato! - wrzasnęła Angela do ucha Jasonowi, po czym wskoczyła Cary na brzuch, a Danny przywarł do budzącego się ojczyrna.

317

- Hej! Co jest? - protestował rozespany Jason.

- Są święta! Wstawajcie!

- Zaparzę kawę, a dzieciom zrobię kakao - zaproponowała Cary.

Niedługo potem zasiedli za stołem do świątecznego śniadania - Cary obok Jasona, który otoczył ją czule ramieniem. Dzieci natomiast zaczęły otwierać prezenty. Wtem przy drzwiach zadzwonił dzwonek. Cary uniosła brew.

- Nie patrz na mnie - powiedział Jason. - To pewnie twój kuzyn, Jeremy.

Rzeczywiście. W drzwiach stał Jeremy w towarzystwie June. Obydwoje byli obładowani prezentami i sprzeczali się głośno. Jason nalał dorosłym kawy, a Cary pilnowała, żeby każdy dostał swoje podarki.

- Jason, pozwolisz mi wziąć dzieci na Paradę Elfów? - zapytała June. - To niedaleko stąd - dodała niepewnie.

- Jesteś pewna, że dasz sobie z nimi radę?

- Jeremy pójdzie ze mną.

- Naprawdę? - zapytał Jeremy. June kopnęła go pod stołem, on zaś odwdzieczył się jej wściekłym spojrzeniem. Po chwili jednak dotarło do niego, że June chce, żeby młodożeńcy pobyli trochę sami. - Oczywiście, że pójdę.

W ciągu kilku minut dzieci były ubrane i gotowe do wyjścia. June i Jeremy czekali już na nie przy drzwiach.

Cary spojrzała na tę parę i przechyliła głowę. June i Jeremy? Czemu nie? Na pożegnanie Jeremy pocałował kuzynkę w policzek, ona zaś zatoczyła dłonią krąg nad jego głową.

- Co to było? - zapytał.

- Magiczny pył.

- Co?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nic takiego. Bawcie się dobrze.

- Dzięki. Do zobaczenia.

- Obiadjemy u nas - zawołał za nimi Jason.

- Dobra - przytaknął Jeremy, którego June popychała już do wyjścia. Zmarszczył nos i wskazał na towarzyszkę. - Czy ona też jest zaproszona?

- Tak.

- Super.

- Magiczny pył - powtórzyła z uśmiechem Cary.

Po chwili dom opustoszał. Cary odwróciła się do męża, wtuliła się w jego ramiona i pociągnęła go za rękę na kanapę. Ich usta spotkały się w gorącym pocałunku.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent - rzekła.

- Czyżby następną wiadomość? - zapytał filuternie.

- Może. - Uśmiechnęła się. - Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że nie jestem w stanie dać ci niczego, bo wszystko już masz? Ty wtedy odparłeś, że chcesz tylko mnie. No więc masz mnie.

- Będę cię wielbił do końca życia - obiecał czule.

- Dziękuję ci. - Zarumieniła się. - Ale powiedziałeś też, że chciałbyś mieć jeszcze dwójkę dzieci.

Myślę, że moglibyśmy zacząć się starać o nie już teraz. Jesteśmy sami, świadomi i przytomni...

- I bardzo chętni - dokończył Jason ze śmiechem, po czym wziął Cary na ręce i przytulił ją do siebie gorąco. Ona zaś poczuła, jak drży z wszechogarniającej radości. Pocałowali się. McCready zajrzał jej w oczy.

- Jestem taki szczęśliwy, że cię mam.

- A ja jestem szczęśliwa, że mam ciebie. Cieszę się z powodu wszystkich tych cudów i... magicznego pyłu.

319

- Magicznego pyłu? Musisz mi wytłumaczyć, co to takiego - poprosił z zawadiackim uśmiechem.
 - Och! No, cóż. Widzisz...
 - Później - wszedł Cary w słowo, spojrzał na nią z pożądaniem, po czym wziął na ręce i zaniósł do sypialni. Zdążyli tylko położyć się obok siebie, a już eksplodował w nich wulkan namiętności. Godzinę później leżeli obok siebie z błogim poczuciem spełnienia.
 - Musimy się zabrać za indyka - mruknął Jason.
 - Ano musimy - przytaknęła Cary, ale ani ona, ani on nie ruszyli się z miejsca. Po dłuższej chwili Jason uniósł się na łokciu i złożył pocałunek na nosie żony.
 - Cuda! - szepnął. - Dziękuję za nie Bogu i tobie, mój bożonarodzeniowy cudzie! - Pocałował ją znowu, a potem wyciągnął z pościeli. - Ktoś naprawdę musi się zająć tym indykiem. No, chyba że zrobią to za nas elfy. Co ty na to?
- Cary uśmiechnęła się. Nie spodziewała się dzisiaj elfów. Chociaż, kto wie, może to nie koniec niespodzianek?
- Roześmiała się, nałożyła sukienkę i zeszła na dół do kuchni. Ostrożnie otworzyła drzwi. W końcu z Jasonem, tym specjalistą od niespodzianek, nigdy nic nie wiadomo...